Lek. Maja Herman

Epidemia samotności zabija po cichu

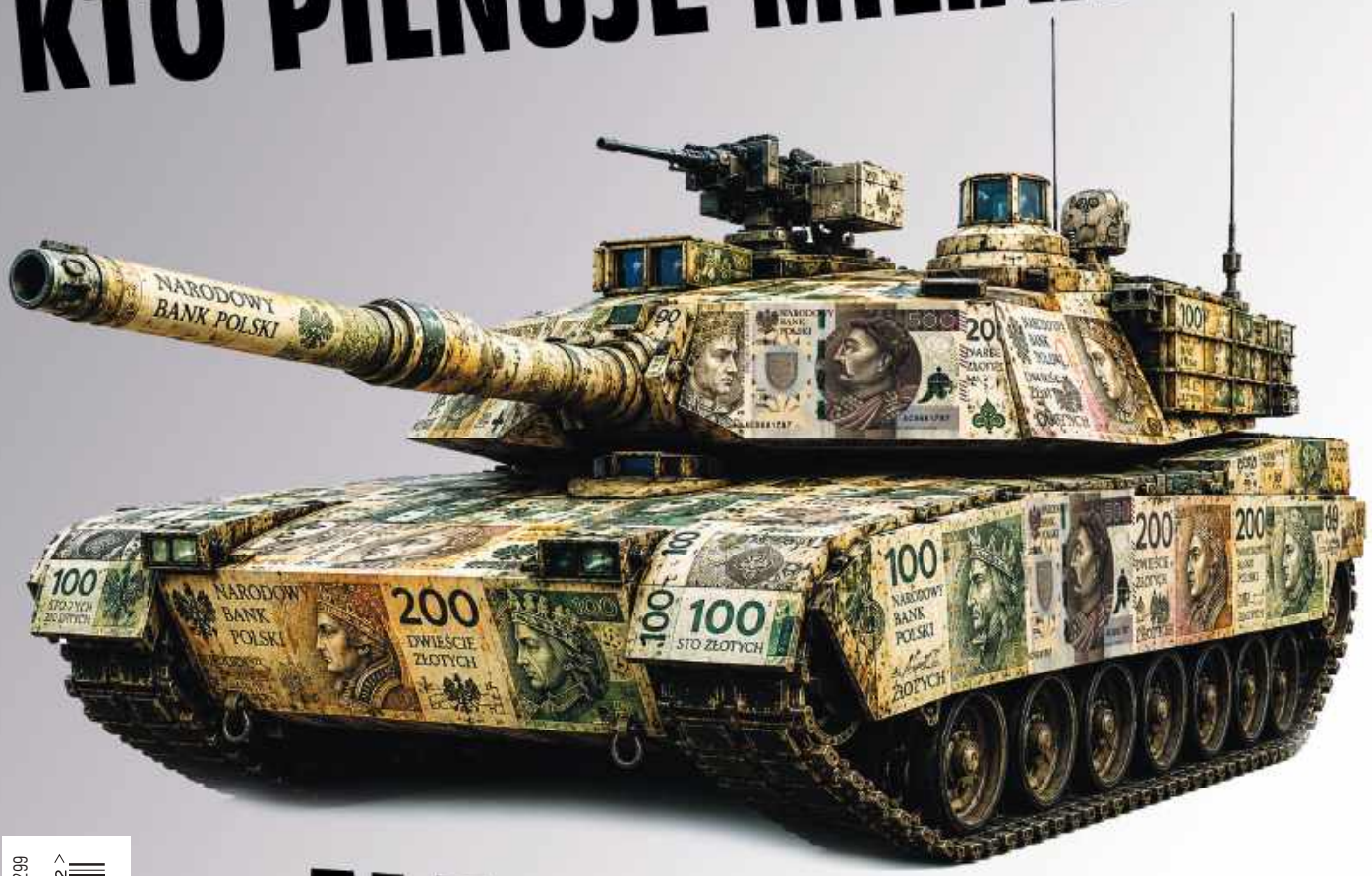


tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 22 (1377)
25-31.05.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

KTO PILNUJE MILIARDÓW



NA WOJSKO

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509-3115
9 771509 311607 22

eprasa.pl 1dd8509f48

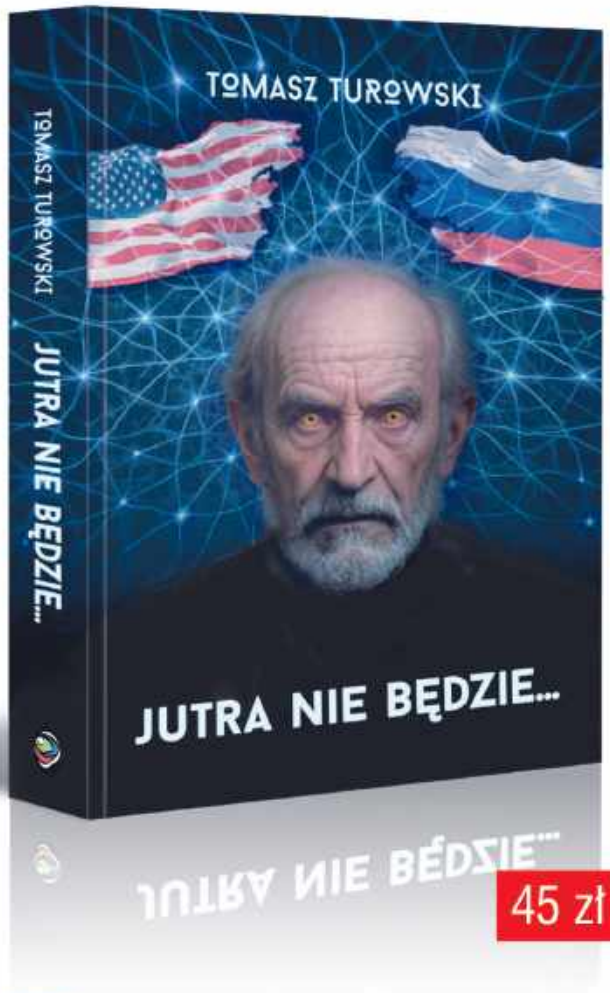
DLA MIŁOŚNIKÓW POWIEŚCI SENSACYJNYCH

Powieść legendarnego oficera polskiego wywiadu Tomasza Turowskiego

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI ŚWIAT KSIĄŻKI I SALONÓW EMPIK

Czy pragnienie zemsty starego, zgorzkniałego, lecz majętnego człowieka może przybrać rozmiary globalnej katastrofy? Otóż może, gdy stare, sprawdzone metody szantażu i przekupstwa połączy się z najnowszymi osiągnięciami AI i IT. Wprowadzenie w życie diabolicznych planów ułatwiają dodatkowo karygodna opieszałość służb jednego supermocarstwa nuklearnego i sieć spiskowa, kiełkująca w drugim.

Kolejna powieść sensacyjna legendarnego oficera wywiadu polskiego, „nielegała", Tomasza Turowskiego, łączy elementy klasycznej fabuły szpiegowskiej z fikcją polityczno-naukową i faktografią.



45 zł

Wydawnictwo MELANŻ



Smakowita lektura dla miłośników powieści sensacyjnych. Kto przeczyta *Jutra nie będzie…* będzie z niecierpliwością czekał na kolejne książki autora. Bo jak pisał jeden z najwybitniejszych krytyków literackich Leszek Bugajski (zm. w 2024 r.): „Kto dotąd zadawał sobie pytanie, czy jest możliwy polski John le Carré, ten, biorąc do ręki powieść Tomasza Turowskiego, znajdzie odpowiedź".

eprasa.pl 1dd8509f48



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Twitterowa telenowela Trumpa

Przez kilka dni mieliśmy w Polsce zaskakujący pokaz jedności polityków prawie wszystkich opcji. Przymusiła ich do tego wolta Amerykanów, którzy zapowiedzieli zmniejszenie obecności swoich wojsk w Polsce. Dla tych, którzy opowiadali o wiecznej przyjaźni z USA i żelaznym sojuszu po wsze czasy, byłaby to wizerunkowa katastrofa. Od Tatr po Bałtyk poniósł się lament nad losem naszej ojczyzny. Co to będzie, co to będzie? Do USA polecieli chyba wszyscy, którzy kogoś tam znają. Misja była oczywista. Uprosić Amerykanów, by nie wyjeżdżali. Jakie posłańcy mieli argumenty? Przypominali każdemu, kto chciał słuchać, że to Polska jest najszybsza i najhojniejsza w wydawaniu kasy na zakupy w USA. Że jesteśmy najwierniejszym sojusznikiem. Lojalnym jak nikt na świecie. A za żołnierzy, których do nas przysyłają, płacimy w całości i przed terminem. I głośno nie mówimy, że na stałe jest tych żołnierzy trochę ponad 300, a reszta to ciągłe rotacje.

Jak nie ulec Polakom, którzy ledwo co wstali z kolan, a już wrócili do tej niewygodnej pozycji. Prosili, prosili i wyprosili. Trump ogłosił, że będzie u nas 5 tys. żołnierzy amerykańskich. Co to naprawdę znaczy, nie wie nikt. A przynajmniej w piątkowy wieczór, gdy piszę ten tekst, nikt nie potrafił powiedzieć, co decyzja Trumpa będzie znaczyła w praktyce.

Słucham więc niekończących się podziękowań kierowanych pod adresem Trumpa. I polityków licytujących się, który ma z nim najlepsze kontakty. Nie ma w tym większego sensu, bo przecież już przed wyborami prezydenckimi było wiadomo, że Trump i jego administracja postawili na Nawrockiego. I że nie były to tylko deklaracje. Amerykanie wykonali, ingerując w naszą suwerenność, ciężką pracę, by Nawrocki wygrał. Trump nieustannie się tym chwali. Nie dziwię się, bo jakoś o innych jego sukcesach nie słyszę. Przed laty modne były brazylijskie telenowele. A teraz świat dostaje twitterowe telenowele Trumpa. Poziom jest porównywalny.

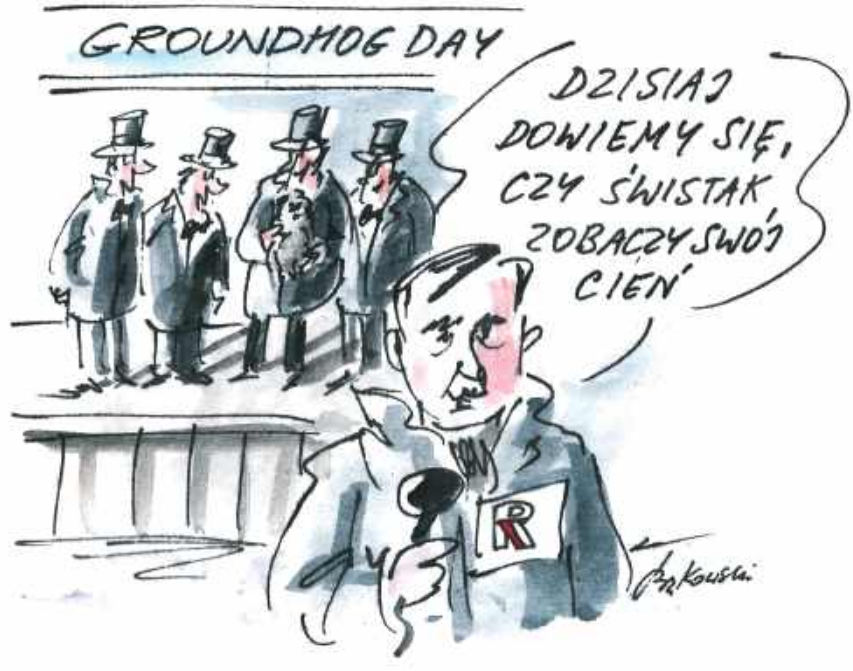
Gdy już nasi politycy zakończą świętowanie decyzji Trumpa, powinni oswoić się z tym, że w relacjach między państwami deklaracje mają skromne znaczenie. Pora na przyśpieszoną lekcję realizmu politycznego. Amerykańskie interesy lokuje się już w innych rejonach świata. Im szybciej to pojmiemy, tym mniej czeka nas rozczarowań. I lamentów.



PIERWSZA PRÓBA SPRAWIEDLIWEJ OCENY

SKLEP.TYGODNIKPRZEGLAD.PL

BĄKOWSKI



eprasa.pl 1dd8509f48

W NUMERZE

KRAJ

8 **Samotność znika, gdy pojawia się sens życia**
– rozmowa z lek. Mają Herman

11 **Kto pilnuje miliardów złotych wydawanych na wojsko?**
Zakupy muszą być przemyślane

15 **Spiskowe szaleństwo**
Intryga przeciw TV Republika

18 **3% dla nauki**
Apel naukowców

22 **Wilanowskie techno nocą**
Skutki imprezy Circoloco

26 **Nagrody rozdane**
Złoty Prus dla Elżbiety Jaworowicz

42 **Czas na ubrania z historią**
Zetki a moda z second-handów

45 **Angielska Grobla – archipelag zapomnienia**
Gdańsk faworyzuje deweloperów

48 **Z Częstochowy do Krakowa**
Dar dla muzeum Kossaków

ZAGRANICA

28 **Kasa wasza będzie nasza**
Andrij Jermak, czyli pokusy władzy

31 **Paryż chce wyższych podatków od big techów**
Korespondencja z Francji

34 **Meksyk między nadzieją a przemocą**
– rozmowa z ks. Tomaszem Janem Chlebowskim

HISTORIA

38 **Republika ludzi młodych**
Losy polskich dzieci w ZSRR

OPINIE

40 **Wiesław Żółtkowski**
Ciągłość dziejów gospodarki

KULTURA

50 **Yayoi Kusama – konfrontacja z mitem**
Magia kropek i dyń

53 **Qulturalia**

66 **Ewa Juszkiewicz. Wystawa w Madrycie**

SPORT

54 **Nie masz trenera nad Baska**
Unai Emery triumfuje w Lidze Europy

NAUKA

56 **Na podbój ósmego kontynentu**
Apetyt na zasoby Księżyca

OBSERWACJE

60 **Król pod ziemią**
Dlaczego ziemniaki są tak wspaniałe

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Twitterowa telenowela Trumpa

7 **Jerzy Bralczyk**
Polubić manipulację

25 **Andrzej Romanowski**
Ojczyzna Europa

49 **Tomasz Jastrun**
Zmyślona prawda

59 **Wojciech Kuczok**
Jak by to pięknie rozwinąć?



8
KRAJ

SAMOTNOŚĆ ZNIKA, GDY POJAWIA SIĘ SENS ŻYCIA
– rozmowa z lek. Mają Herman



50
KULTURA

YAYOI KUSAMA – KONFRONTACJA Z MITEM
Magia kropek i dyń



66
GALERIA

EWA JUSZKIEWICZ. WYSTAWA W MADRYCIE



Projekt okładki: Krzysztof Kettner

FOT. CHATGPT, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1dd8509f48

Lewica wobec zamachu majowego

Pomijając drobne usterki w tekście, warto zwrócić uwagę na wyeksponowanie bratobójczej walki żołnierzy (zginęło 215 oficerów i żołnierzy), co oba teksty tylko sygnalizują. Mało kto wie, że gen. Kazimierz Sosnkowski, wielbiciel Marszałka, próbował popełnić samobójstwo. Wypadałoby wspomnieć choćby o upamiętnieniu poległych pomnikiem czy imieniem ulicy (kto wie, jak wygląda grób zbiorowy – pomnik na Powązkach?). Zachęcam też do lektury „Spowiedzi" ks. kpt. Józefa Panasia.

Gabriel Zmarzliński



Ja, były kapelan wojsk legionowych Piłsudskiego, oświadczam wobec Boga, trumien pomordowanych mych braci i wszystkich obecnych, co następuje:

Zgrzeszyłem ciężko, gdyż niemal bałwochwalczo czciłem i wierzyłem w prawość i uczciwość żołnierską Piłsudskiego, lecz Pan Bóg sprawiedliwy mnie za to ukarał, gdyż dzisiaj muszę patrzeć na największą ze zbrodni w świecie, którą popełnił Piłsudski.

Ordery te, które dotąd zdobiły mi piersi, mianowicie:

– Krzyż Virtuti Militari V kl., otrzymany za obronę Przemyśla;

– Oficerski Krzyż Polonia Restituta, otrzymany za zorganizowanie rewolucji II Brygady przeciw Austrii, bitwy pod Rarańczą i obronę honoru żołnierza polskiego w procesie Marmarosz-Sziget;

– czterokrotny Krzyż Walecznych za zasługi w Legionach Polskich i wojnie polsko-bolszewickiej, otrzymane z rąk Piłsudskiego, nosiłem z dumą i chlubą.

Dziś, po tej zbrodni, palą mi piersi, zrywam je, gdyż te same ordery znajdują się na piersiach gen. Dreszera, zwycięzcy w bratobójczej walce.

Rzucam mu pod nogi, ponieważ zostały zhańbione.

ks. kpt. Józef PANAŚ
Katedra Polowa WP
Warszawa, 17 maja 1926 r.

Demokratyczna Polska wyrosła na fundamentach PRL


Demokratyczna Polska wyrosła na fundamentach PRL

Lewica nie powinna się wstydzić ani Polski Ludowej, ani III RP

Polska Rzeczpospolita Ludowa dała nam podstawy III RP i przygotowała do tego, czym dziś jesteśmy. Nawet nabyliśmy „szykanowanie inaczej myślących". Oczywiście lewica powinna walczyć o swoją przeszłość i nie dopuszczać do negowania osiągnięć społeczno-gospodarczych PRL. Znam to z autopsji, jestem „podwójnym sierotą po PRL", doznałem biedy i osiągnąłem wiele przez 80 lat mojego życia. Wstydzić się nie będę za to, co przeżyłem, lecz boję się o to, w co wkraczają moje wnuki i prawnuki zaczynające edukację.

Trafnie pisze Paweł Siergiejczyk, że lewica nie powinna się wstydzić. Ja bym dodał, że nie mogła wygrać tej walki o swoją przeszłość. Pamiętam tamte czasy – „wolność i demokracja", ogólne zadowolenie społeczne. W tej aurze politycznej wszystkie ugrupowania, na wszystkie strony i we wszystkich mediach, od rana do wieczora zionęły nienawiścią do lewicy i SLD. Na przykład „mentor" obecnego premiera na konferencji w Davos w lutym 1991 r. powiedział: „45 lat komunizmu wyrządziło Polsce więcej szkód niż okupacja hitlerowska".

Trudno w osamotnieniu walczyć ze wszystkimi, przy własnych pomyłkach, które nie powinny się zdarzać. Nie staję w obronie lewicy, lecz pamiętam i czuję do dziś ekspansję nienawiści do PRL pod sztandarem Solidarności w porozumieniu z szeryfem zza oceanu.

Zbigniew Olszewski, sierota po PRL

ZDJĘCIE TYGODNIA



Deportowani przez Izrael aktywiści z Globalnej Flotylli Sumud wylądowali na tureckim lotnisku. Stambuł, 21 maja 2026 r.

FOT. MURAD SEZER/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 1dd8509f48

Rok 2025 żegnało w Polsce **37,3 mln osób**. W ciągu roku **ubyło nas 156 tys.**

•

USA mają 887 baz wojskowych w ponad 80 krajach, Wielka Brytania 145, Turcja ok. 130, a Rosja ok. 20 **(„Angora”)**.

•

W marcu zarejestrowanych było **956 tys. osób bezrobotnych (6,1%)** i liczba ta ciągle rośnie.

•

Zarząd Agory, wydawcy „Gazety Wyborczej”, zwalniający co roku dziennikarzy i płacący im gorzej niż w innych wydawnictwach, nie żałuje sobie na wynagrodzenia. W 2025 r. przeznaczono na nie 6,19 mln zł. **Prezes Bartosz Hojka zarobił 2 mln zł, Anna Kryńska-Godlewska 1,05 mln zł, Wojciech Bartkowiak 881 tys. zł, Agnieszka Siuzdak-Zyga 871 tys. zł, Maciej Strzelecki 613 tys. zł i Tomasz Jagiełło 612 tys. zł („Press”).**

•

Bezczelność wiceprezesa PiS nie ma granic. Ziobro ucieka przed sprawiedliwością z jednego kraju do drugiego, ale nie zapomina rozliczać w Sejmie tzw. kilometrówek. Dostał za nie ponad 45 tys. zł, choć od listopada nie było go w Polsce.

•

Itamar Ben-Gwir, izraelski minister bezpieczeństwa narodowego, który szydził z zatrzymanych aktywistów Globalnej Flotylli Sumud, w tym Polaków, ma pięcioletni zakaz wjazdu do Polski.

•

„Mapomatyka” Pauliny Rowińskiej (Wydawnictwo RN) otrzymała **tytuł Mądrej Książki Roku 2025.** Konkurs organizuje Uniwersytet Jagielloński i portal Mądre Książki.

PRZEBŁYSKI



Kwaśne miny wielbicieli Orbána

Chcieć nie znaczy móc. PiS i Nawrocki tak bardzo chcieli wygranej Orbána, że jeździli do Budapesztu, by wspierać go całą mocą. Wygrał jednak Magyar. Gdy przyjechał do Polski, spotkał się z Nawrockim. Kwaśna mina wielbiciela Orbána była bezcenna. W otoczeniu Nawrockiego sporo jest ludzi wielkiej wiary w triumf Orbána. Taki Karol Gac z „Tygodnika Solidarność” kilka dni przed wyborami napisał: „Intuicja podpowiada mi, że wbrew sondażom i dominującej narracji w Polsce Orbán władzę utrzyma, a może i wszystkich zaskoczy”. Gac na tej swojej intuicji wyszedł jak Kaczyński na Ziobrze.



Może choć trochę kultury

Bywalcy Muzeum Sztuki Nowoczesnej już nie pokrzepią się w bistro Rumory. Tuż przed majówką kazano im się spakować i wynieść. Bistro było modne. Szef kuchni Przemysław Suska ma w dorobku gwiazdki. O co więc poszło? Muzeum kierowane przez Joannę Mytkowską w specyficzny sposób kontaktuje się ze światem. Można do nich pisać. Można o coś pytać. A nawet o coś prosić. Dla muzeum to żaden problem. Po prostu nie odpowiadają. Znamy to, bo nas też tak potraktowano. Nie dziwi więc skarga bistro, że nikt w muzeum nie chciał z nimi rozmawiać. A byłoby o czym. Bo czynsz wysoki, a wady wynajętego lokalu też duże. Można było coś z tym zrobić. Pewnie tak, gdyby nie bardzo specyficzne podejście dyrekcji MSN do KULTURY… w kontaktach z ludźmi. Parasol Trzaskowskiego nad muzeum może na tę chorobę nie wystarczyć.

PYTANIE TYGODNIA | Czego życzyć dzieciom na Dzień Dziecka?

PROF. MARIA MENDEL,
pedagożka, badaczka przestrzeni edukacyjnych, Uniwersytet Gdański

Życzę dzieciom, by potrafiły zapomnieć o telefonach, które za bardzo zabierają nam relacyjny świat. Ważne jest rozumienie rzeczywistości jako przestrzeni, w której przez nieustanny kontakt z otoczeniem – drugim człowiekiem, drzewem czy ławką w parku – stajemy się sobą. Potrzebujemy tu miejsca na wspólne działanie z dorosłymi, dlatego modna edukacja na świeżym powietrzu powinna być czymś więcej niż tylko wyprowadzaniem dzieci do lasu przez przedszkola. Nie zrzucajmy tego na instytucje. Prawdziwy klej społeczny rodzi się w codziennych relacjach z rodziną, sąsiadami czy współpasażerami w tramwaju. Miasto to nasz wspólny dom, w którym uczymy się nawzajem. Dzieciaki – jesteście częścią wspólnego świata i jesteście tak samo ważne jak inni.

ŻANETA RACHWANIEC,
psycholożka, socjolożka, psychoterapeutka, USWPS, Fundacja Po Skrzydła

Życzę wam czegoś z pozoru nieoczywistego: prawa do nudy i wolnego czasu bez presji na kolejne certyfikaty. Współczesność karmi nas lękiem i przebodźcowaniem informacyjnym, a szkoła zbyt często goni za podstawą programową, zamiast uczyć kompetencji miękkich i umiejętności psychospołecznych. Chciałabym, aby najbliżsi byli dla was kojącą bazą, a nie źródłem czarnych scenariuszy. Przede wszystkim jednak życzę odwagi do bycia blisko ze swoimi emocjami. Nie zagłuszajcie ich używkami czy ucieczką w ekran. Nauczcie się nazywać to, co czujecie, i miejcie elastyczność, by stawiać czoła trudnościom bez ponoszenia nadmiernych kosztów psychicznych. Słuchajcie własnych potrzeb – macie prawo po prostu być sobą.

MARTA SKIERKOWSKA,
prezeska Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę, psycholożka

Obok tradycyjnych słów o beztrosce i zabawie chciałabym najmłodszym przekazać życzenia czegoś absolutnie fundamentalnego: prawdziwego bezpieczeństwa oraz uważnych opiekunów wokół. Z badań naszej fundacji z 2023 r. wynika, że 79% dzieci w Polsce doświadczyło jakiejś formy krzywdzenia. To alarmujący wynik. Ich spokój zależy nie tylko od rodziców, ale też od reakcji nas wszystkich – od tego, czy potrafimy dostrzec przemoc i odważnie stanąć po stronie młodych. Czasem wystarczy uwierzyć. Ta sama odpowiedzialność dotyczy świata online. Dbajmy o to, aby w sieci technologie projektowano z myślą o ochronie dzieci, a nie monetyzacji algorytmów. Troska zaczyna się od dorosłego, który widzi młodego człowieka, słucha go i daje mu siłę.

Rozmawiał Maciej Belowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

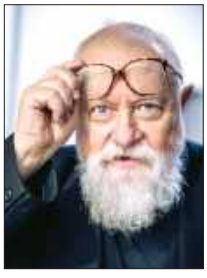
eprasa.pl 1dd8509f48

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



mleczko.pl

sklep.mleczko.pl



Jerzy Bralczyk

Zrządzenia i zrzędzenia

Polubić manipulację

Właściwie już ją polubiliśmy. Wiemy, że jak ktoś coś nam mówi, a tym bardziej do nas (nie nam – to różnica), musi mieć jakiś interes. Dotyczy to zwłaszcza języka publicznego. I chce nas przekonać, najlepiej tak, żebyśmy nie wiedzieli, że przekonuje. Reklama, pi-ar, polityka – przecież to wszystko nakłanianie, a i reszta publicznych tekstów, w tym internetowych, jest po to chociażby, by skłonić do ich czytania. To banał, to oczywiste.

I oczywiste jest także, że coś z tego my, odbiorcy, musimy mieć. Coś, co lubimy: obietnice, komplementy, wyrazy sympatii. Przekonujące odwoływanie się do bliskich nam wartości. Przecież w końcu i cała retoryka temu miała i ma służyć. I wolimy, kiedy ktoś nas nie przymusza, nie każe, nie szantażuje, tylko uśmiecha się z sympatii, choćby nienajczystszej. I np. pokazuje, jacyśmy dobrzy. Albo w ogóle robi coś, co lubimy. Nawet jeśli wiemy, że to po to, żeby nas zjednać. A zresztą może to tylko z dobrze rozumianej ogólnej życzliwości i idącej w ślad za nią grzeczności, a może z dobrego wychowania…

Chcemy manipulacji, czekamy na nią. Skoro tak, samiśmy sobie winni. Chętnie ulegamy atrakcyjnym, a nawet i mniej atrakcyjnym wpływom. Stąd zresztą nowa wspaniała grupa ludzi, zawód właściwie: influencerzy, wpływacze po naszemu.

Nie zawsze się przyznajemy, że lubimy takie wpływanie, że bywa dla nas co najmniej ciekawe, atrakcyjne, często estetycznie, czasem zabawne. No, może w duchu. Badania pokazują, że według nas reklama działa, ale nie na nas – na innych. My jesteśmy uodpornieni. I politykom wierzymy – tym, którym chcemy, bo lubimy ich sympatyczne dla nas argumenty, stosowane zresztą manipulacyjnie, o czym przecież dobrze wiemy.

Jak się zastanowić, to powinniśmy woleć, żeby przekonywali nas raczej ci, co przekonywać nie umieją, więc są naturalni i nie stosują manipulacyjnych chwytów, ale cóż z tego, skoro to manipulowanie nami może być tak przyjemne…

Lubimy manipulację. Wolimy, gdy ktoś nie mówi nam „zrób to!”, ale jak mówi: „ty tak dobrze to robisz…” i jeszcze się uśmiecha.

Najlepiej szeroko i na stałe. ■

eprasa.pl 1dd8509f48



Lek. MAJA HERMAN
– psychiatrka, psychoterapeutka, medinfluencerka, prezeska Polskiego Towarzystwa Mediów Medycznych, autorka kampanii społecznościowych z okazji Światowego Dnia Zapobiegania Samobójstwom, Dnia Zdrowia Psychicznego oraz Dnia Walki z Depresją. Autorka i pomysłodawczyni spotu kampanijnego na Światowy Dzień Zapobiegania Samobójstwom: „Dekalog życia".

SAMOTNOŚĆ ZNIKA, GDY POJAWIA SIĘ SENS ŻYCIA

100% pacjentów zgłaszających się do gabinetu psychiatrycznego mówi, że czują się samotni

Rozmawia Beata Igielska

Czy samotność to nasza wina, sami na nią pracujemy?
– Nie zgadzam się, że sami jesteśmy sobie winni. Człowiek ma naturalną zdolność do przewidywania skutków swoich wyborów. Usiądzie, jeśli wie, że stojąc, przewróci się. Jeżeli może czemuś zapobiec, zapobiegnie. Absolutnie nie powinniśmy się obwiniać za to, że jesteśmy samotni. Obwinianie się do niczego dobrego nigdy nie prowadzi. Nie warto sobie dokopywać, zwłaszcza że współczesny świat jest tak skomplikowany, jesteśmy w nim tylko malutkim trybikiem, a nie osią.

Nie ma medycznej jednostki chorobowej samotność, a jednak coraz więcej ludzi z jej powodu cierpi na depresję, zaburzenia lękowe i wykazuje zachowania samobójcze. Samotność niszczy nam psychikę. Czy to cena rozwoju cywilizacji?

– Samotność to bardziej stan socjologiczno-psychologiczny, który powoduje, że cierpimy. Cierpienie zaś wywołuje różne zaburzenia – od chorób psychiatrycznych po somatyczne. Według Dirka Scheelego, profesora neurobiologii społecznej na Uniwersytecie Ruhry, samotność może być tak szkodliwa dla zdrowia jak palenie 15 papierosów dziennie. Przebadano ponad 300 tys. osób i wyszło, że te o niskim poziomie integracji społecznej, tj. mające tendencję do bycia samotnymi, mają zwiększone ryzyko śmiertelności. To wstrząsające badanie pokazuje, jak silna jest potrzeba bycia z drugim człowiekiem.

Jak w takim razie zdefiniowałaby pani samotność? Brak bliskich relacji, fizyczna nieobecność innych?

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 1dd8509f48

– Samotność zdefiniowałabym przede wszystkim jako poczucie osamotnienia, mimo faktu, że tak wiele dookoła mnie się dzieje. Nie możemy powiedzieć, że dookoła nas we współczesnym świecie jest za mało ludzi i wydarzeń.

Wręcz przeciwnie, jesteśmy przebodźcowani i pewnie też dlatego samotni.

– Skłaniałabym się nawet do kontrowersyjnej tezy, że mechanizm ewolucyjny chronienia samego siebie jest przestrzelony. Za dużo bodźców, wydarzeń, ludzi dookoła nas – żyjemy na przeludnionej planecie – powoduje, że próbujemy się chronić i uciekamy od ludzi i bodźców do spokoju i ciszy, co nie do końca jest czymś, czego potrzebujemy. Trzeba znaleźć balans – mieć czas na spokój, gdy jest się samemu ze sobą i ze swoją głową, i na bycie obok drugiego człowieka. Jako ludzkość zbudowaliśmy cywilizację, ponieważ jesteśmy socjalni. To w nas nie zaginęło. Uciekanie od ludzi nam szkodzi, czujemy się z tym źle. Uciekamy, żeby siebie ochronić. To trudna sytuacja, wymagająca dobrej edukacji, kiedy będziemy mówić, że drugi człowiek jest potrzebny, że nic nie zastąpi dotyku i wszystkich elementów zmysłowych, takich jak mimika, mikromimika itp. Że pod wpływem bliskości fizycznej wydzielają się neurohormony: wazopresyna, oksytocyna, dopamina, serotonina, adrenalina, noradrenalina. Te neurohormony sprawiają, że lepiej funkcjonujemy, szybciej myślimy, jesteśmy bystrzejsi, sprawniejsi intelektualnie.

Czyli potrzebujemy drugiego człowieka, ale czasem destrukcyjnie trzymamy się go z lęku przed samotnością. Nawet jeżeli nas bije.

– W żadną ze stron nie można przesadzać – ani z socjalizacją, ani z chęcią bycia z kimś na zasadzie: muszę z nim być, bo jak nie, to będę sama i już nigdy nikogo nie znajdę. Takie myślenie powoduje, że tkwimy w związku z oprawcą/oprawczynią, który/która bije, poniża, stosuje przemoc psychiczno-fizyczną. A z drugiej strony jestem samiusieńka, bo boję się związać z kimś, bo zakładam, że będzie dla mnie niedobry, mam poczucie, że świat stanowi zagrożenie. Mamy dziś epidemię samotności. I dlatego musimy o niej rozmawiać, przestać ją traktować jak tabu. Nie możemy jej romantyzować, musimy ją oswajać, pogłaskać, popatrzeć jej w oczy.

Myślę, że „Mały książę" to jednak bardzo mądra książka.

– Odniesienie się w tym momencie do Antoine'a de Saint-Exupéry idealnie pasuje do tego, jak dziś żyjemy i funkcjonujemy. Tyle lat temu stworzył piękną historię o samotności, ale i jedną z trudniejszych.

Często w kontrze do samotności ustawia pani miłość, ale nie romantyzuje pani tego uczucia. Mówi o miłości do pracy, hobby, zwierząt. I że samotność jest mniejsza, kiedy np. hodujesz rośliny w domu.

– Ludzie, którzy dyskutują z kwiatkami na różne tematy, nie cierpią na żadne zaburzenie. Jeżeli twoje kwiatki sprawiają ci przyjemność, stanowią element codziennej rutyny, są istotkami, które dzięki tobie żyją i rozwijają się, to jest OK. Paradoks samotności polega na tym, że odczuwamy ją wtedy, kiedy czujemy się samotni, a nie wtedy, kiedy nie mamy obok siebie drugiej osoby. Możemy mieć towarzysza – psa, kota, świnkę morską. Ważna jest uważność na codzienność, która nas otacza.

Nic dziwnego, że ogrodnik to jeden z najszczęśliwszych zawodów świata.

– Jeśli chodzi o rośliny, ważna jest satysfakcja, która czyni szczęśliwym, ponieważ mózg bardzo lubi efekty. W ogrodnictwie efekt widać szybko i spektakularnie, bo jak roślina zakwita, to nie ma piękniejszej nagrody za twoją pracę. W ogrodnictwie jest też aktywność fizyczna, która pozytywnie wpływa na zdrowie psychiczne. Ruch plus tworzenie, plus efekt, równa się satysfakcja.

Co zatem człowiek musi mieć, żeby nie czuć się samotny?

– Sens życia, po prostu. Dla niektórych sensem życia jest wyhodowanie pięknego ogrodu. Dla innych urodzenie i wychowanie dzieci na dobrych, ciekawych ludzi, a jeszcze dla innych sensem życia jest praca zawodowa. Każdy z nas musi znaleźć swój sens życia. Nie ma tak, że jeden sens jest lepszy, drugi gorszy. Tylko dla mnie samej ma znaczenie, czy coś jest satysfakcjonujące. Sens życia stanowi podstawę poczucia niesamotności.

I tak oto wracamy do prawd, które głosili starożytni: wsłuchaj się w siebie, poznaj samego siebie, odpowiedz na pytanie, kim jesteś i czego potrzebujesz. Tak głęboko. To z braku odpowiedzi na te pytania ludzie czują się samotni w tłumie?

– Jeśli tłum traktują instrumentalnie, żeby zagłuszyć siebie samego, nie musieć się w siebie wsłuchiwać, przyjrzeć się sobie, żeby coś w sobie ukryć, wtedy czują się w nim samotni. Jeżeli zaś będę się akceptować, lubić, będę się szanować, co wcale nie jest takie proste, jeżeli umiem sama ze sobą być, to będę umiała być w tłumie i nie będę w nim samotna. Tłum nie będzie mi służył do ukrycia mnie samej.

Samotność może być tak szkodliwa dla zdrowia jak palenie 15 papierosów dziennie.

À propos zagłuszaczy samego siebie, są nimi używki wszelkiego typu. Na przykład nastolatki – nie wiedzą, co zrobić z samotnością, i niekiedy sięgają po wspomagacze.

– Nastolatek co do zasady czuje się samotny, bo przechodzi bardzo trudne zmiany w mózgu, w neurohormonach i w hormonach. To powoduje, że nie wie, kim jest, czego chce, dokąd zmierza. Dzisiejsze nastolatki są bardzo przebodźcowane. Mózg nie jest w stanie przerobić ilości bodźców dostarczanych przez świat i to powoduje różne samopoczucie. Młodzi czują się niezrozumiani, nieakceptowani. Nastolatek jak każdy z nas potrzebuje kogoś obok. Ale nie że im więcej przyjaciół, tym lepiej. Często słyszę w gabinecie od młodych pacjentów: „Mam tylko jedną przyjaciółkę, której co prawda mogę wszystko powiedzieć...". Zawsze pytam: „I co w tym złego?".

eprasa.pl 1dd8509f48

„Bo Zosia to ma osiem przyjaciółek". „I? Czy może z nimi porozmawiać o tym, o czym ty możesz porozmawiać ze swoją przyjaciółką?". „Nie może, bo się boi, że one będą się z niej później śmiały". „No to masz odpowiedź". Jedna osoba jest naprawdę sto razy więcej warta niż tysiąc osób, które tylko ci klaszczą albo są obok ciebie, bo akurat masz jakieś stanowisko lub coś, co możesz im dać.

Mówimy o samotności w adolescencji, a na drugiej szali mamy miejskich seniorów – więźniów czwartego piętra. Albo samotnych starych ludzi na wsi. Rodziny wielopokoleniowe dziś już prawie nie istnieją.

– Część osób, z którymi seniorzy żyli do tej pory, zmarła. My, młodsi, powinniśmy wykorzystywać wiedzę seniorów, doświadczenie, widzenie świata. Nauczmy młodych ludzi słuchania i doceniania seniorów. To powinien być element edukacji zdrowotnej: zastanów się, co starsza osoba może ci dać. Bo przywykliśmy do przesuwania seniorów jak nieużyteczne, stare meble, które trzeba wymienić. A prawda jest taka, że to senior pomoże ci zaopiekować się twoją samotnością, a ty zaopiekuj się jego samotnością. Nauczysz się od niego czegoś, czego nigdy nie przeczytasz w książkach.

Co możemy zrobić, żeby seniorzy nie czuli się tak samotni? Spacerując po mojej dzielnicy, w której żyje wyjątkowo dużo seniorów – przedstawicieli starej inteligencji – rozmawiam ze starszymi kobietami, bo widzę, jak łakną kontaktu. Jeżeli mam chwilę, zatrzymuję się, poświęcam pięć, dziesięć minut na rozmowę.

– Właśnie to powinniśmy robić – zatrzymać się i porozmawiać. Zagadnąć: „Widziała pani, jak pięknie zakwitło to drzewo?". To wystarczy, żeby nawiązać kontakt.

Taka rozmowa dla seniorów jest przygodą dnia – tak to czuję. Starsi ludzie chodzą do lekarzy, bo w kolejce przed gabinetem mogą doświadczyć socjalizacji. Wielu z nich przychodzi przed czasem wizyty, rozmawiają ze sobą.

– I z tego samego powodu notorycznie jeżdżą autobusami i tramwajami – tam też mają możliwość bycia wśród ludzi.

Z jednej strony, mówimy o epidemii samotności, a z drugiej – boimy się bliskości.

– Tak, bo kultura nie nauczyła nas tolerowania dyskomfortu. Boimy się bliskości, bo boimy się zranienia. W świecie, gdzie wszystko jest łatwe i na wyciągnięcie ręki, emocje związane z odrzuceniem, zawodem miłosnym, lękiem, niepewnością, dostosowaniem się do drugiego człowieka są bardzo źle przez nas tolerowane. Potrzeba na nie bardzo dużo zasobów energetycznych, mózg musi uruchomić bardzo wiele ścieżek. Ludzie nie chcą tego. Bliskość przywiązuje do kogoś, a przywiązanie to ryzyko, że ktoś nas zostawi. A my dziś bardzo źle tolerujemy frustrację. Kultura nas wtłoczyła w potrzebę: rób wszystko, żebyś czuła się wspaniale. Jesteś najważniejsza, jedyna. Nie musisz tolerować ludzi, którzy są dla ciebie wyzwaniem, których nie lubisz. Owszem, rozumiem przesłanie: nie toleruj ludzi, którzy cię krzywdzą, ale nie rozumiem tego: kasuj ludzi, którzy mają inne zdanie. Jeżeli mam obok siebie człowieka, który ma zupełnie inne zdanie niż ja, ale wyraża je w sposób kulturalny, nie atakuje, rozmawiamy, to jest niezwykle rozwijające. Oczywiście też bardzo trudne, bo muszę się konfrontować z innym zdaniem, ze swoją złością, gdy nie mogę kogoś przekonać. A kultura nam powiedziała: nie musisz robić nic trudnego. Wszystko musi być łatwe. I to jest błąd kulturowy.

Przez który zaczynamy żyć w Republice Singli. Nie tylko w Polsce.

– Cały świat jest taki. Przecież 30-latkowie nie wiążą się w pary, są traktowani jak dzieci. W Parlamencie Europejskim, z którego wracam, zakiełkował pomysł, żeby „młodymi dorosłymi" nazywać ludzi do 30. roku życia. Wtedy można zakazać im spożywania niektórych substancji… Argumentacja jest taka, że mózg rozwija się do trzydziestki. Tymczasem mózg rozwija się do ostatniego dnia naszego życia, więc powinniśmy wszystkiego wszystkim zakazać.

A potem dziwimy się, że mamy pokolenie samotnych młodych ludzi, którzy nie potrafią podjąć decyzji.

– Bo nie wiedzą, czy są wystarczająco dorośli, żeby podjąć decyzję, czy kupić wodę gazowaną czy niegazowaną. Wiem, że spłycam, ale tak to się kończy.

Nieprawda, że pani spłyca: zaczyna się od nieumiejętności podjęcia prostych decyzji, a kończy się na nieumiejętności podjęcia dużych. Obecnie odbywa się odwrócenie od demokracji, co opisał Erich Fromm w „Ucieczce od wolności". Tę ucieczkę powoduje samotność, którą niesie cywilizacja: nie potrafię podjąć decyzji, jestem samotny, więc potrzebuję, żeby ktoś podjął decyzję za mnie. Potrzebuję autorytarnej struktury, która powie mi, jak żyć.

– Dlatego w Stanach Zjednoczonych wybory mógł wygrać Donald Trump – mówił, jak żyć. Ogłaszał: robimy tak i nie ma dyskusji. Mówił, że biała siła jest super, a Ameryka musi być *great again*.

Na koniec naszej rozmowy proszę powiedzieć, ile pani pacjentek i pacjentów skarży się na samotność?

– 100% pacjentów zgłaszających się do gabinetu psychiatrycznego mówi, że czują się samotni.

Nie wiem, co powiedzieć.

– Samotność to jedna z najtrudniejszych spraw, z jakimi teraz się borykamy. I trzeba o niej bardzo głośno i dobitnie mówić. Jak ludzie usłyszą o problemie, przyzwyczają się do niego, to potem zaczną szukać rozwiązania. Bez mówienia o samotności nie potrafią nazwać zjawiska, które ich drenuje, a to najgorsza sytuacja w medycynie. A kiedy uciekają od tego zjawiska, to dla społeczności jest bardzo niebezpieczne, bo wykwitają te wszystkie totalitaryzmy.

Beata Igielska

Samotność to jedna z najtrudniejszych spraw, z jakimi teraz się borykamy. I trzeba o niej bardzo głośno i dobitnie mówić.

eprasa.pl 1dd8509f48

Kto pilnuje miliardów złotych wydawanych na wojsko?

Robert Walenciak

Najważniejsze rzeczy dzieją się w sferze obronności. Decyzje prezydenta Trumpa w sprawie wysłania żołnierzy amerykańskich do Polski przez tydzień zajmowały czołowych polskich polityków. Oni nie wiedzieli, i nie wiedział Pentagon, dlaczego przyjazd 4 tys. żołnierzy został wstrzymany, a potem, gdy Trump ogłosił coś zupełnie przeciwnego, że wyśle 5 tys., też wiedzieli niewiele więcej.

Panuje chaos. Nie mamy pojęcia, jaka jest polityka USA wobec Europy, nie wiemy więc, w jakim stopniu obecność amerykańskich żołnierzy wzmacnia polskie bezpieczeństwo. Bo trudno je opierać na dobrym humorze prezydenta Trumpa.

Chaos schodzi na niższe szczeble. Nie wiemy – to tylko jeden z przykładów – czy możemy liczyć na dostawy wyrzutni rakiet HIMARS, nie mówiąc już o tym, ile miałyby kosztować. Nie wiemy też – choć to z chaosem akurat nie ma nic wspólnego – jak potoczy się wojna rosyjsko-ukraińska, czyli jak zmieni się sytuacja polityczna i militarna Polski. Tu akurat zachowujemy się racjonalnie. Przyjmujemy wariant pesymistyczny, więc na obronność Polska wydaje rekordowe kwoty. W 2026 r. będzie to przeszło 200 mld zł. Czy mamy świadomość, jak wielka to suma?

Spójrzmy na skalę zmian. Jeszcze w 2021 r., raptem pięć lat temu, na obronność wydaliśmy 49 mld zł. W 2023 r. już 111 mld zł. Teraz na te wydatki złożą się trzy „nogi". Pierwsza to środki z budżetu państwa – 127 mld zł. Druga to Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych, instytucja działająca przy BGK, która ma przynieść 73-79 mld zł. Razem już ponad 200 mld zł! I jeszcze trzecia noga – środki z SAFE. Czyli 43,5 mld euro pożyczek rozłożonych na kilka lat. Tak czy inaczej – kolejne dziesiątki miliardów złotych.

Mamy więc do czynienia ze skokowym wzrostem wydatków na obronę. A nastroje społeczne są takie, że nikt tego nie kwestionuje ze względu na wojnę za wschodnią granicą. Przeciwnie, obserwujemy przypływ patriotycznego nastroju – politycy licytują się, kto więcej przeznaczy na wojsko. 10 mld w jedną czy drugą stronę – to nie ma znaczenia. Kto chce więcej wydawać, ten jest lepszym patriotą. Wolność nie ma ceny.

Mimo tych emocji powinniśmy jednak zadać podstawowe pytania: czy ktoś te wydatki kontroluje? Czy ktoś ocenia, jaki rodzaj broni przyda nam się bardziej, a jaki mniej? W co warto inwestować, a jakie wydatki lepiej wstrzymać? Czy ktoś rozumie, co to jest ekonomika wojny? I czy ktoś się zastanawia, ile te wszystkie zbrojeniowe przedsięwzięcia będą kosztowały Polskę w najbliższych latach? Czy wydatki zbrojeniowe nas nie uduszą? Bo przecież wojna to zbyt poważne zajęcie, by pozostawiać ją w rękach generałów.

Kto chce więcej wydawać, ten jest lepszym patriotą. Wolność nie ma ceny.

•

Wiadomo, gdy wybuchła wojna na Ukrainie, a nawet jeszcze wcześniej, gdy szef CIA poinformował polski rząd, że jest ona nieunikniona, trzeba było radykalnie zwiększyć wydatki na techniczną modernizację wojska. Niestety, były to typowe zakupy w panice, *panic buy*. Ze wszystkimi możliwymi błędami. Kupowaliśmy głównie za granicą, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych i w Korei. Dziś widać doskonale, że wielkim błędem był brak poważnej dyskusji poza wojskiem w sprawie uzbrojenia, przemysłu zbrojeniowego, polskiej gospodarki, jej możliwości i potrzeb. Jeżeli już doszło do jakichś dyskusji, toczyły się one w Sztabie Generalnym, w Agencji Uzbrojenia, wewnątrz sił zbrojnych. Generał mówił, że trzeba, minister kupował. A przecież to nie wojsko będzie spłacać pożyczki zaciągnięte na zakup czołgów czy śmigłowców, tylko obywatele RP.

W ten sposób najważniejsze decyzje dotyczące bezpieczeństwa Polski, ale i jej finansów, sytuacji gospodarczej, włożono w ręce wąskiej grupy. Polityków i generałów. Politycy… W ich perspektywie troska o publiczne pieniądze, przekonanie, że trzeba je racjonalnie wydawać, schodzi na daleki plan, bo nie z tego są rozliczani, tylko z gestów. A skoro tak, to każdy pomysł jest dobry, jeżeli jest odpowiednio efektowny. Warto więc wołać: 96 Apache'ów! Bo to brzmi! Oto jest polityk, który sprawę bezpieczeństwa Polski załatwił. Kupił i załatwił. Prawda, jakie to proste? Do tej melodii dostosowują się generałowie. „My jesteśmy od kupowania, od tego, żeby wybrać dla polskiej armii jak najlepszy sprzęt – mówią. – Finansowanie, serwis, offset, współpraca z przemysłem to nie nasza sprawa. Niech przemysł się dogaduje".

Tylko jeżeli kontrakt został już podpisany, to polski przemysł możliwości rozmawiania na temat offsetu czy serwisu ma praktycznie

eprasa.pl 1dd8509f48

zerowe. Bo jakimi argumentami dysponuje?

Ta atmosfera wielkich pieniędzy, które są transferowane do sektora zbrojeniowego, rodzi nowe sytuacje. Wzrost popytu na broń, bo każdy chce kupować, zmienia ceny. Pocisk 155 mm przed inwazją na Ukrainę kosztował ok. 2 tys. euro. Dziś cena za jedną sztukę dochodzi do 8 tys. euro. Wielokrotnie podrożał też sprzęt. Na całym świecie. I różne z tego wyciąga się wnioski.

Jest opowieść Radosława Sikorskiego z lutego 2026 r. o jego rozmowach z przedstawicielami amerykańskich firm zbrojeniowych: „Mówię do bardzo wysokiego przedstawiciela administracji amerykańskiej: Słuchaj, nie lobbujecie nas w sprawie SAFE, bo przecież wasze firmy i tak nie są w stanie w tej chwili wypełnić kontraktów, które mają, a mają dziesięcioletnie koszyki zamówień. On mówi: Wiem, faceci płacą sobie bonusy po 50 mln dol., a fabryki pracują na jedną zmianę przez cztery dni w tygodniu".

Jest też inna opowieść, osoby związanej z wojskiem. O tym, że wojskowi, którzy kończą służbę, natychmiast po niej przechodzą do pracy w zachodnich koncernach zbrojeniowych: „Idę na ważne spotkanie dotyczące spraw wojska, patrzę, a po drugiej stronie, w cywilnym garniturze, siedzi człowiek, który jeszcze chwilę temu był w Sztabie Generalnym. Myślę, że to jest ten obieg, niewidoczny, nieformalny, który też ma pewien wpływ na to, gdzie i co kupujemy".

Mamy więc finansowe eldorado. Polska musi w tej nowej sytuacji tak działać, by popełnić jak najmniej błędów.

•

W pakiecie polskich zakupów wojskowych są te udane i te kompletnie nietrafione, na które przepalamy pieniądze.

Spójrzmy na lotnictwo. Kupiliśmy myśliwce F-35. Za pakiet 32 myśliwców F-35A Lightning II Polska zapłaciła 4,6 mld dol. (ok. 18 mld zł). Cena objęła pakiet szkoleniowy dla pilotów i techników, części zapasowe i część uzbrojenia. Ale nie obejmowała kosztów dostosowania infrastruktury do nowych samolotów, budowy hangarów itd. Koszty tych transakcji MON szacował na 1-1,5 mld zł. Wydaliśmy więc górę pieniędzy na 32 myśliwce. Bez offsetu. OK, F-35 to znakomite samoloty, czy jednak nie mogliśmy lepiej negocjować?

Jednocześnie w ramach *panic buy* kupiliśmy 48 koreańskich samolotów FA-50. Maszyn nie wiadomo jakiego przeznaczenia, czy szkolnego, czy bojowego. Zaklasyfikowano je jako „lekkie samoloty wsparcia bojowego". A zapłaciliśmy za nie ponad 14 mld zł.

„Z powodu zaniedbań i błędów wynikających z kontraktu podpisanego przez poprzedniego ministra obrony Mariusza Błaszczaka samoloty szkolno-bojowe – koreańskie FA-50 – przez kilka miesięcy były uziemione",

W pakiecie zakupów wojskowych są te udane i te kompletnie nietrafione, na które Polska przepala pieniądze.

lamentował więc wicepremier i szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz. Wyliczał, że FA-50 kupiliśmy bez uzbrojenia, czyli nie mogą być używane w operacjach bojowych. Kupiono je też bez certyfikatów na środki pirotechniczne umieszczone w fotelach katapultowych. Piloci nie mogli więc nimi latać. Ale to nie koniec kłopotów. Okazało się, że są problemy z integracją z samolotem rakiet średniego zasięgu powietrze-powietrze. Amerykanie, bo to w ich rakiety miały być wyposażone FA-50, swoje zgody przeciągają. No to zaczęto przemyśliwać o europejskich rakietach Meteor… W każdym razie samolotów, które miały być w Polsce w komplecie w 2025 r., możemy się spodziewać w 2027 r. I trzeba będzie jeszcze wiele zainwestować, by był z nich jakiś pożytek.

Inne wielkie zamówienie z Korei to czołgi K2 Black Panther. Odbywa się ono etapami. Najpierw w 2022 r. kupiliśmy 180 czołgów, zapłaciliśmy za nie wraz z pakietem szkoleniowym, logistycznym i kilkudziesięcioma tysiącami pocisków 120 mm 3,37 mld dol. netto. Minusem tej umowy była nieobecność polskiego przemysłu, był to produkt „z półki". Z wszystkimi tego konsekwencjami, choćby takimi, że serwis, remonty i części zamienne pozostawiono w gestii Koreańczyków. U nich będziemy musieli to wszystko kupować i wiadomo, że tanio nie będzie.

Druga umowa, podpisana w sierpniu 2025 r., wygląda na korzystniejszą. Po pierwsze, dlatego że z zamówionych kolejnych 180 czołgów 60 zostanie zmontowanych w gliwickim Bumarze Łabędy. Po drugie, jest szersza – uwzględnia zakup wozów towarzyszących: 31 wozów zabezpieczenia technicznego, 25 wozów inżynieryjnych i 25 mostów. „To cały pakiet logistyczny: szkoleniowy, serwisowy, naprawczy – wszystko po to, by Wojsko Polskie zyskało nie tylko sprzęt, ale i kompetencje", mówił po podpisaniu umowy Władysław Kosiniak-Kamysz.

Sukces? Ale za jaką cenę! Ten drugi pakiet kosztować będzie 6,8 mld dol. Dlaczego tak dużo? Umowa jest znacznie szersza od poprzedniej, zawiera pakiet serwisowy, więc to my będziemy serwisować czołgi, a nie Koreańczycy. No i miejmy świadomość, że w ostatnich latach sprzęt wojskowy drożeje w tempie lawinowym. Poza tym wprawdzie umowa przewiduje transfer technologii do Polski i montaż w Bumarze, ale będzie to głównie montaż koreańskich podzespołów. I wciąż w Czarnej Panterze stosunkowo mało będzie elementów produkowanych w Polsce. To nie jest prawdziwa polonizacja. Nasz przemysł za mało na tym skorzysta.

A powinien, bo w produkcji czołgów, haubic oraz wozów bojowych mamy odpowiednie kompetencje. I jest co rozwijać. A tak, zwłaszcza z powodu *panic buy* w 2022 r., finansujemy rozwój zbrojeniówki koreańskiej, nie polskiej. Za sprawą naszych zamówień na samoloty, czołgi, armatohaubice i wyrzutnie rakiet – ich wartość sięga 100 mld zł – Korea stała się piątym eksporterem broni w świecie.

eprasa.pl 1dd8509f48



Zatwierdzenie umów na samoloty FA-50. Mariusz Błaszczak w Bazie Lotnictwa Taktycznego w Mińsku Mazowieckim, 6 września 2022 r.

•

Jeden z moich rozmówców nie ukrywa goryczy: „Obecna władza popełniła błąd już na samym początku. Trzeba było siąść i przejrzeć programy modernizacji przygotowane w czasach PiS. I, jak trzeba, zrezygnować z gigantomanii PiS, z różnych szalonych pomysłów. A tu cisza. Nic nie ruszono. Ze strachu, że będzie wielki jazgot, że nowa władza osłabia wojsko, że jest niepatriotyczna. A przecież zamiast FA-50 mogliśmy kupić F-16. Cena jednego F-16 to ok. 70 mln dol. Za te same pieniądze można było kupić dwie eskadry Efów! Część zakupów oceniam więc jako gigantomanię. Przykładem są Apache".

•

Zakup 96 śmigłowców uderzeniowych AH-64E Apache to chyba najbardziej krytykowany pomysł MON. Kontrakt negocjowany przez Mariusza Błaszczaka, a podpisany w sierpniu 2024 r., opiewa na kwotę ok. 10 mld dol. (ok. 40 mld zł). Obejmuje śmigłowce wraz z uzbrojeniem, pakietem logistycznym, szkoleniowym oraz transferem technologii.

Tu wszystko jest źle. Po pierwsze, dlaczego akurat 96 maszyn? Po co aż tyle? „Chciałbym usłyszeć chociaż raz, dlaczego to było 96, a nie 64 albo 48 – zastanawia się jeden z naszych rozmówców. – Podobno dlatego, że zaplanowano na wzór armii amerykańskiej. Że każda dywizja ma mieć eskadrę śmigłowców. A że mamy mieć sześć dywizji, śmigłowców zamówiono 96. No, sześciu dywizji nie mamy i raczej nie będziemy mieli. Ciekaw jestem też, kto zastanawiał się, ile Polskę ten zakup będzie kosztował. Podstawowa cena to ponad 10 mld dol. Ale potem koszty rosną. Nawet dwukrotnie".

Minister Błaszczak kupił 250 Abramsów za 23 mld zł. Bez przetargu.

O jakich kosztach mowa? Fachowcy wyliczają: koszty logistyki, koszty serwisowania, koszty przyszłych modernizacji. To ok. 700 mln dol. rocznie. Przez 40 lat, bo tyle trwa żywot techniczny sprzętu. Ale to nie koniec. Mówił o tym w mediach prezes Wojskowych Zakładów Lotniczych numer 1 (Łódź i Dęblin) dr inż. Jacek Goszczyński: „Zakupiono 96 śmigłowców Apache, które będą dostarczane do Polski w latach 2028-2032. Sam zakup śmigłowców to jednak nie wszystko. Według standardów NATO, aby w pełni wykorzystać potencjał tej floty, niezbędne jest wyszkolenie w krótkim czasie ok. 500 pilotów. Do tego potrzebne są śmigłowce szkolne, których dziś w Polsce brakuje. Dodatkowo nie możemy zapominać o personelu technicznym. Producent zakłada, że do obsługi jednego śmigłowca typu Apache potrzeba 30 mechaników. To pokazuje skalę wyzwania, przed którym stoi polska armia".

Policzmy: piloci, mechanicy… Pomijając pensje – tym ludziom trzeba będzie zapewnić mieszkania, i to raczej rodzinne niż kawalerskie. Poza tym pracę dla żon i szkoły dla dzieci. Gigantyczne przedsięwzięcie. Jeżeli to wszystko się podliczy, okazuje się, że kupując za 40 mld zł śmigłowce, Polska wzięła na swoje barki zobowiązania rzędu 3 mld zł rocznie. Powtórzmy: przez 40 lat.

Dodajmy jeszcze jeden element. Otóż wojna na Ukrainie pokazała, że śmigłowce, nawet te

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 1dd8509f48

najnowocześniejsze, odchodzą do historii. Z uwagi na drony nie operują blisko linii frontu, tylko na dalekim zapleczu. Bo gdy do linii frontu się zbliżają, ich przeżywalność gwałtownie spada. Kupiliśmy zatem sprzęt, którego walory na współczesnym polu walki maleją. Uwiązaliśmy się na lata w kwestii jego eksploatacji. Chyba powinniśmy umowę renegocjować, zrezygnować choćby z połowy zamówionych maszyn. Bo przecież za niewielką część tych pieniędzy moglibyśmy pozyskać sprzęt o wiele bardziej przydatny. Rozwinąć prace nad bezzałogowcami. Drony – to nie jest przyszłość, to już jest teraźniejszość! Zresztą wszyscy o tym wiedzą.

Eksperci głośno mówią, że Polska, kupując sprzęt często „z półki", podejmując zobowiązania na dziesiątki miliardów dolarów, wpada w pułapkę „starej armii". Że topić nas będzie spłata sprzętu, który szybko okaże się przestarzały. I nie będziemy mieć pieniędzy na broń najnowszej generacji, rzeczywiście skuteczną. Że powinniśmy raczej stawiać na rozwój naszego zaplecza technologicznego i broni przyszłości.

•

A Abramsy? Minister Błaszczak kupił 250 Abramsów za 23 mld zł. Oczywiście bez przetargu. Potem ten kontrakt rozszerzano. Przydatność Abramsów zweryfikowała wojna na Ukrainie. Są za ciężkie, słabo bronią się przed dronami, zużywają makabryczne ilości paliwa i są bardzo awaryjne. Ale je mamy. I wcześniej podjęte decyzje trzeba jakoś naprawiać.

Otóż w czołgach Abrams stosowane są silniki ze śmigłowców. Wymagają one specjalistycznego serwisu na poziomie certyfikowanych zakładów lotniczych. Na te wymagania nikt nie zwrócił uwagi. O serwisowaniu pomyślano dopiero po podpisaniu kontraktu. I nagle znaleźliśmy się w sytuacji, że kupiliśmy 366 czołgów Abrams w różnych wersjach plus wozy zabezpieczenia technicznego, które trzeba serwisować w… USA. Ostatecznie za 300 mln zł, na mocy umowy między PZL 1 a koncernem Honeywell, do 2028 r. powstanie w Dęblinie Autoryzowane Centrum Serwisowe silników Abrams. Za te pieniądze wybudowana zostanie hamownia, magazyn części zamiennych (to istotne, bo dostawy niektórych części z USA potrafią trwać kilkanaście miesięcy), przekazane zostaną stronie polskiej dokumentacja i prawa licencyjne.

•

Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego Polska wydaje dziesiątki miliardów złotych na sprzęt obronny, podejmuje zobowiązania na lata i to wszystko odbywa się w zaciszu gabinetów, w gronie mocno ograniczonym? Przecież są państwa, w których inwestycjom w sprzęt wojskowy towarzyszą gorące dyskusje. Uczestniczą w nich i politycy, i fachowcy z różnych branż. Zadajmy więc sobie pytania: dlaczego w Polsce takich dyskusji nie ma? I kto powinien brać w nich udział?

Logiczne jest, że w takiej poważnej dyskusji kierunkowej powinny brać udział komisje obrony Sejmu i Senatu. A przynajmniej ich prezydia. A także reprezentanci komisji finansów oraz gospodarki. Czyli przedstawiciele wszystkich głównych sił, władzy i opozycji. Jeżeli bowiem debatujemy o programach dotyczących obrony państwa, i to mających horyzont w przedziale 20-40 lat, to podział na władzę i opozycję nie ma większego sensu. Bo z wielkim prawdopodobieństwem każda z tych sił w tym czasie zazna możliwości sprawowania władzy. Podobnie ma się rzecz z przedstawicielami prezydenta RP. Oni też powinni w tej dyskusji uczestniczyć. Do tego grona powinniśmy dorzucić ekspertów od finansów, gospodarki i obrony. To logiczne – przecież chodzi nam o zbudowanie mechanizmu, w którym za jakąś sumę zbudujemy maksymalnie efektywny system obrony, jednocześnie wzmacniając polski przemysł i sektor naukowy.

Tyle teoria. A praktyka? Nasza praktyka ostatnich lat taką debatę wyklucza. Polska jest tak podzielona, że wspólna debata, która powinna zakończyć się porozumieniem, a nie oskarżeniami o zdradę i wyprzedaż Polski, stała się niemożliwa. A przecież na świecie, w państwach demokratycznych, ważni politycy mają wpływ na zakupy. W Stanach Zjednoczonych Komisja Sił Zbrojnych Senatu ma potężny wpływ na zakupy armii, bardzo dokładnie analizuje plany, potrafi nawet rozpatrywać ceny jednostkowe. W Niemczech Komisja Obrony Bundestagu opiniuje każdy zakup uzbrojenia powyżej 25 mln euro.

W Polsce taki system jest dziś niemożliwy. A coś mniej eksponowanego, np. ciało, w którym zasiadaliby przedstawiciele kluczowych dla obronności i rozwoju kraju resortów? Obecna Polska też źle coś takiego by zniosła. I nie jest to dobra wiadomość.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

JAKUB DYMEK FAŁSZYWIE OSKARŻANY

13 kwietnia Sąd Apelacyjny w Warszawie podtrzymał wyrok sądu pierwszej instancji nakazujący czterem autorkom portalu Codziennik Feministyczny przeprosić Jakuba Dymka i zapłacić zadośćuczynienie za opublikowane pod koniec 2017 r. pomówienia. Zamieszczony wówczas tekst fałszywie przypisywał Jakubowi Dymkowi dopuszczenie się gwałtu i molestowania seksualnego. Najpierw prokuratura umorzyła w tej sprawie śledztwo z braku dowodów, następnie jedna z autorek przeprosiła z własnej woli, później Dymka w trybie sprostowania przeprosiła „Krytyka Polityczna" (która wcześniej zwolniła go z pracy w związku z nieprawdziwymi zarzutami), a na końcu przyszły wygrane sądowe przeciwko Codziennikowi Feministycznemu i innym mediom, które powielały te fałszywe oskarżenia. Całość jednak zakończyła się prawomocnym wyrokiem dopiero po niemal dziewięciu latach! Pozwane wyrok wykonały i zapłaciły zadośćuczynienie, a przeprosiny znalazły się na stronie głównej „Krytyki Politycznej" i Codziennika Feministycznego.

Redakcja „Przeglądu" konsekwentnie wspierała red. Dymka w walce z oszczerstwami.

Jerzy Domański

eprasa.pl 1dd8509f48

Spiskowe szaleństwo

Kto i dlaczego przypuścił zamach na pisowskich propagandystów Sakiewicza

Andrzej Sikorski



Tomasz Sakiewicz, redaktor naczelny TV Republika, został wezwany do Prokuratury Krajowej w związku z ucieczką Zbigniewa Ziobry do USA. Warszawa, 20 maja 2026 r.

To musiała być misternie uknuta intryga. W środę, 13 maja, rozpoczęła się seria fałszywych alarmów wymierzonych w Strefę Wolnego Słowa. Najpierw policja i straż pożarna przyjechały do redakcji TV Republika w poszukiwaniu rzekomo podłożonej bomby. W czwartek pogotowie dostało informację o pobitej osobie w propisowskiej telewizji. W kolejnych dniach służby interweniowały w domach Michała Rachonia i Katarzyny Gójskiej (są małżeństwem), Adriana Klarenbacha i Tomasza Sakiewicza. Zgłoszenia dotyczyły terrorysty z pasem szahida, znalezionych zwłok i próby samobójczej.

Dramatycznie wyglądała interwencja u Tomasza Sakiewicza. W piątek, 15 maja, policjanci otrzymali informację (na infolinię alarmową) z biura Rzecznika Praw Dziecka, że w mieszkaniu szefa Republiki przebywa dziecko, które zamierza popełnić samobójstwo. Na miejscu mundurowi zastali roznegliżowanego Sakiewicza w towarzystwie jakiejś damy, która nie była żoną ultrakonserwatywnego redaktora. Wedle komunikatu przekazanego przez Komendę Stołeczną Policji kobieta „nie chciała się przedstawić i współpracować w celu jak najszybszego wyjaśnienia wszystkich okoliczności zdarzenia", dlatego, „mając na uwadze bezpieczeństwo zarówno jej, jak i swoje, policjanci zastosowali wobec tej osoby kajdanki".

Nie popisał się też Sakiewicz, „który ignorował przekazywane przez policjantów informacje odnoszące się do powodu interwencji i ich pytania", a przy tym był „nastawiony konfrontacyjnie wobec policjantów, którzy cały czas podkreślali, że ich działania mają na celu ochronę życia osoby, której dotyczy otrzymane zgłoszenie". Po wyjaśnieniu sprawy i ustaleniu, że zgłoszenie było fałszywe, funkcjonariusze rozkuli kobietę i zakończyli czynności.

Atak Tuska na wolne media

Jednak Sakiewicz uznał, że to dobra okazja do rozpętania awantury politycznej. Jeszcze tego samego dnia Republika, nie ujawniając powodów interwencji policyjnej, alarmowała o „represjach państwa policyjnego" i „atakach kryptodyktatury", „reżimu Tuska", na jedyne niezależne polskie medium. A Jarosław Olechowski, szef wydawców Republiki, w serwisie X informował międzynarodowe organizacje dziennikarskie, że „Tusk chce zniszczyć jedyną całkowicie niezależną od władzy dużą telewizję". Emocjonujący dzień zakończył się „spontanicznym" wiecem poparcia dla stacji i jej naczelnego, który Republika zorganizowała pod swoją siedzibą (sic!).

Według propisowskiego Centrum Monitoringu Wolności Prasy Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich interwencja służb stanowiła „skandaliczne naruszenie zasady wolności słowa demokratycznego państwa". Jarosław Kaczyński stwierdził, że atak na Republikę i jej szefa to sprawka szajki Tuska. „Najbardziej boją się prawdy. Systematycznie uderzają w filary demokracji: wolność i niezależność. Dzisiaj na celowniku znalazły się media demaskujące obłudę i kłamstwa ich rządu. Chcą zastraszyć. Chcą zniszczyć. Odpowiedzią musi być jedność opozycji", napisał prezes w serwisie X. Operetkowy kandydat na premiera Przemysław Czarnek oznajmił zaś, że „mamy do

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 1dd8509f48

czynienia ze zmasowanym atakiem państwa Tuska i Kierwińskiego, i Żurka na wolne media", który „jest efektem tego, że TV Republika ujawnia skandale tego rządu, dramat państwa polskiego pod rządami Tuska".

Zdaniem Karola Nawrockiego interwencja policji u Sakiewicza była „przekroczeniem niebezpiecznej granicy", a „pamiętając doświadczenia komunizmu, będziemy bronić wolności słowa i przeciwstawiać się nękaniu mediów". Z kolei szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Bartosz Grodecki zapowiedział, że wystąpi do ministra spraw wewnętrznych i administracji Marcina Kierwińskiego „o przedstawienie szczegółowych informacji na temat działań podległych mu służb w sprawie nękania dziennikarzy Telewizji Republika", i pogroził rządowi palcem, mówiąc, że „nie ma zgody na ograniczanie wolności słowa i paraliżowanie pracy niezależnych mediów w Polsce". Swoje trzy grosze dorzucił nawet Zbigniew Ziobro, którego zdaniem „uderzenie w Telewizję Republika" było osobistą zemstą Tuska za to, że Ziobro nie dał się schwytać, a w USA podjął współpracę z Republiką.

Psychicznie uszkodzony Kierwiński

Na nic zdały się rzeczowe tłumaczenia ministra Kierwińskiego, że podległe mu służby nie prowadzą działań wobec żadnego medium, jedynie reagują na sygnały o potencjalnym niebezpieczeństwie i zagrożeniu życia, a policjanci, strażacy i ratownicy medyczni też są ofiarami przestępców, bo zamiast nieść pomoc faktycznie potrzebującym, angażowali cenny czas, siły i środki zwiedzeni fałszywymi alarmami.

„To jest człowiek, którego nie można poważnie traktować – zbył go Tomasz Sakiewicz. – On jest psychicznie uszkodzony, ma problemy z koordynacją tego, co mówi. Z drugiej strony jest on wyjątkowo niebezpieczny. (…) Ja walczyłem z bezpieką jako nastolatek i na mnie taki gnojek jak pan Kierwiński nie działa. Ja widzę, jak młodsi koledzy, którzy nie mieli takich doświadczeń, cierpią. Ten typ zbydlęcenia koalicji rządzącej wyklucza ich z demokratycznego życia. Przekroczyli wszystkie granice".

W podobnym tonie, co szef MSWiA, czyli tłumacząc potrzebę sprawdzania zawiadomień, wypowiadał się w rozmowie z Onetem Rafał Jankowski, przewodniczący Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowy Policjantów: „Wyobraźmy sobie, że by tego nie zrobili i doszłoby do tragicznego zdarzenia. Wtedy dopiero wylałby się hejt. Musimy sprawdzać każde zawiadomienie, nawet najgłupsze i najmniej racjonalne, bo taki jest nasz obowiązek. Dlatego sprzeciwiam się, gdy działaniom policji nadaje się polityczne barwy. To wystawia bowiem na szwank opinię o ludziach, którzy są codziennie społeczeństwu potrzebni".

Fałszywy telefon z infolinii CBA odebrał prof. Marcin Matczak. Rozmówca poinformował go, że jego syn nie żyje.

Aby nie było już żadnych wątpliwości co do działań służb, przytoczę jeszcze wypowiedź dla „Rzeczpospolitej" dr. Wojciecha Górowskiego, karnisty z Uniwersytetu Jagiellońskiego: „Fałszywość zgłoszenia nie oznacza automatycznie, że policja działała bezprawnie. Policjant nie wie na wejściu, że alarm jest fałszywy. Ma zgłoszenie o zagrożeniu życia i musi je zweryfikować. (…) Mówiąc kolokwialnie: jeżeli służby dostają informację o realnym zagrożeniu życia, to »wchodzą z drzwiami«, bo dopóki nie sprawdzą sytuacji, nie mogą zakładać, że to żart, prowokacja albo złośliwe zgłoszenie".

Oszalali partyzanci wolnego słowa zaczęli uderzać na oślep. Na antenie Republiki Michał Rachoń jako odpowiedzialnego za ataki wskazał Jana Adryańskiego. Tyle że mężczyzna sam jest ofiarą hakerów, którzy podszywają się pod niego, wysyłając fałszywe informacje z mejla z jego imieniem i nazwiskiem. Jak wynika z oświadczenia, które Adryański zamieścił w mediach społecznościowych, policja od grudnia 2023 r. nie potrafi znaleźć sprawców fałszywych zgłoszeń, a po aferze z pracownikami Republiki stróże prawa po raz kolejny zrobili mu przeszukanie i skonfiskowali sprzęt elektroniczny. Adryański zaapelował do Rachonia, aby nie nasyłał na niego swoich wielbicieli.

Dostało się też Bogu ducha winnemu policjantowi ze Śląska. Republika podała imię i nazwisko mundurowego oraz pokazała jego zdjęcie z podpisem na czerwonym pasku: „Funkcjonariusz Kierwińskiego złamał prawo. Skoordynowany atak reżimu Tuska na Republikę". Okazuje się, że wskazany policjant nie uczestniczył w żadnym „ataku" na pisowskich propagandystów, bo nie było go wtedy w Warszawie. Policjanta zalała fala hejtu. „To nie jest dziennikarstwo. To nie jest telewizja. To zwykłe zaszczuwanie polskich policjantów, którzy codziennie ryzykują zdrowie i życie, wykonując swoją służbę", nie kryła oburzenia rzeczniczka MSWiA Karolina Gałecka.

„Przypominamy, że funkcjonariusz Policji jest funkcjonariuszem publicznym w zakresie pełnionej służby, a nie osobą powszechnie znaną. W związku z tym jego wizerunek oraz dane osobowe podlegają ochronie prawnej, a ich rozpowszechnianie co do zasady wymaga zgody lub innej podstawy prawnej przewidzianej przepisami prawa. Wyjątki od tej zasady mają charakter ściśle określony i nie mogą być dowolnie interpretowane. Apelujemy o zaprzestanie udostępniania niezweryfikowanych treści oraz usunięcie materiałów naruszających dobra osobiste naszego funkcjonariusza", napisano w komunikacie policji.

Twój tata nie żyje

W sprawie ataków na Republikę i jej pracowników prokuratura i służby prowadzą śledztwo, choć, jak pokazuje dotychczasowa praktyka, autorów fałszywych alarmów trudno będzie schwytać.

Spoofing (ang. *spoof* – naciąganie, szachrajstwo) to podszywanie się pod czyjeś numery telefonu lub pocztę elektroniczną. Każdego roku w Polsce dochodzi do kilkuset takich

eprasa.pl 1dd8509f48

zdarzeń. Przestępcy biorą na cel osoby prywatne, firmy, sądy, prokuratury, szkoły, przedszkola, lotniska, szpitale i poradnie psychologiczne, informując o podłożonych bombach. W 2020 r. ewakuowano prawie 225 tys. osób z ponad 630 budynków. W latach 2021 i 2022 hakerzy zaatakowali m.in. byłego szefa CBA Pawła Wojtunika i jego rodzinę, Borysa Budkę i jego żonę, żonę Władysława Kosiniaka-Kamysza, córkę mec. Jacka Dubois, a rozmówca groził śmiercią jej ojcu, „jeśli nie poniecha sprawy Pegasusa".

„Posłuchajcie s…syny. Minie może jeszcze trochę czasu, ale znajdziemy was. I nie pomoże wam to, że wykonywaliście rozkazy. Obiecuję wam, że gdy was dopadnę (a stanie się to niechybnie), to nie ujrzycie słońca bez krat przez dekady. A nas i tak nie zastraszycie", zapowiedział Giertych.

Dostało się Bogu ducha winnemu policjantowi ze Śląska – nie uczestniczył w „ataku" na pisowskich propagandystów, nie było go wtedy w Warszawie.

Romana Giertycha, prof. Marcina Matczaka, żonę Krzysztofa Brejzy, Jakuba Banasia – syna prezesa Najwyższej Izby Kontroli, a nawet ministra cyfryzacji Janusza Cieszyńskiego.

Wyjątkowo perfidnie nękano rodzinę Pawła Wojtunika. Ktoś podszył się pod numer telefonu byłego szefa CBA i w nocy zadzwonił do jego córki z informacją przekazaną kobiecym głosem: „Twój tata nie żyje, nie oddycha, dzwonię z jego telefonu".

„Nie wiem, kim jesteście. Czy jesteście gangsterami, czy politykami, ale ja wam nie odpuszczę i zrobię wszystko, żeby was znaleźć. Jesteście bydlakami, kanaliami i łajdakami", mówił Wojtunik na konferencji prasowej. Innym razem w imieniu jego córki wysyłano groźby karalne i groźby śmierci do samorządowców i szefów policji w rodzinnej miejscowości Wojtunika. Bliscy byłego szefa CBA otrzymywali też groźby pozbawienia życia, zgwałcenia i tortur.

Przestępcy podszyli się pod numer córki Romana Giertycha i rozsyłali alarmy bombowe. Maria Giertych odebrała również telefon z kancelarii

Fałszywy telefon z infolinii CBA odebrał prof. Marcin Matczak. Rozmówca poinformował prawnika, że jego syn nie żyje. Informację o śmierci żony, z numeru jej telefonu, otrzymał Borys Budka. Chwilę potem ktoś zadzwonił do Katarzyny Kuczyńskiej-Budki, z numeru Borysa Budki, zawiadamiając o śmierci męża. Ponieważ para była w tym czasie razem, prowokacja się nie udała. Natomiast z telefonu kancelarii Doroty Brejzy przestępcy wysyłali fałszywe wiadomości o bombach podłożonych w szpitalach.

Nagonka

Choć poszkodowani nie rzucali oskarżeń pod adresem Jarosława Kaczyńskiego i polityków PiS, a jedynie apelowali do szefów służb o poważne potraktowanie sprawy i ustalenie, kto tych czynów dokonał, pisowska propaganda wszczęła nagonkę. Na portalu wPolityce.pl Jakub Maciejewski (teraz gwiazda Republiki) napisał, że opozycja, zamiast siedzieć cicho, „z dziką satysfakcją dolewa benzyny do tego pożaru – nagłaśnia sprawę, oskarża rząd, powoduje wzburzenie swoich zwolenników". Zachowanie Pawła Wojtunika określił jako „prawdziwy dramat Polski", bo „mężczyzna, który był szefem ważnych służb państwowych, nie zna nawet najbardziej podstawowych mechanizmów prowokacji". Według Maciejewskiego za nękaniem Wojtunika i rodzin polityków stali „cyberprzestępcy z rosyjskiego darknetu", a wszyscy twierdzący inaczej to „dyletanci" albo „świadomi kłamcy, którzy swoimi deklaracjami zachęcają cyberprzestępców do ponawiania swoich ataków".

Jednak nadzorowana przez Zbigniewa Ziobrę prokuratura współudział w przestępstwach przypisała Polakom. Jesienią 2022 r. zatrzymano Krzysztofa J., informatyka, który, używając nicku Diabolo de Vilious, zamieścił na forum „Cebulka" w sieci TOR szczegółową instrukcję wykonania spoofingu i linki do przeprowadzania ataków. Jakiś czas potem wpadł Daniel G. Obaj zostali oskarżeni o pomocnictwo „nieustalonym sprawcom do podszywania się pod numery telefonów osób trzecich i wykonywania połączeń głosowych zawiadamiających o nieistniejącym zdarzeniu". Panowie nie przyznali się do zarzucanych im czynów.

Andrzej Sikorski

PS Moi informatorzy ze służb nie wykluczają, że fałszywe alarmy wymierzone w Tomasza Sakiewicza i jego „dziennikarzy" to zemsta środowisk przestępczych stojących za giełdą kryptowalut Zondacrypto. Po tym, gdy jej szef Przemysław Kral przestał płacić Republice, zwinął interes i uciekł do Izraela, stacja zaczęła się odcinać od szemranej firmy. Jak wiadomo, rosyjska mafia nie wybacza nielojalności.



eprasa.pl 1dd8509f48

3% DLA NAUKI

Naukowcy mówią:
dość – albo jest tanio, albo dobrze

Kornel Wawrzyniak

„Wielu z nas widzi pracę w nauce jako realizację pasji i służbę dobru publicznemu. Ale sam zapał, misja czy prestiż nie wystarczają na opłacenie rachunków i utrzymanie rodziny. Potrzebujemy nie tyle uznania i publicznie wygłaszanych pochwał, ile realnego wsparcia, które umożliwi efektywne wykorzystanie możliwości tkwiących w polskiej nauce", piszą badacze skupieni wokół akcji 3% dla nauki.

Usychająca nauka

W polskim środowisku naukowym narasta napięcie, będące efektem niskich wynagrodzeń i chronicznego niedofinansowania uczelni oraz badań. Coraz częściej słychać głosy o niestabilności zatrudnienia, ograniczonych perspektywach rozwoju i płacach, które nie nadążają za realiami rynku, co przekłada się na odpływ kadry do sektora prywatnego lub za granicę. Kulminacją tych nastrojów ma być protest przed Sejmem 27 maja. Środowisko naukowe zamierza domagać się zwiększenia nakładów na naukę do poziomu 3% PKB do 2030 r.

Niestety, mimo kolejnych obietnic następujących po sobie rządów polska klasa polityczna uparcie ignoruje fundamentalną potrzebę inwestowania w naukę. Dane są bezlitosne: udział w PKB wydatków państwa na naukę i szkolnictwo wyższe od dwóch dekad nie tylko nie rośnie, ale systematycznie się kurczy. Łączne nakłady na badania i rozwój zatrzymały się na poziomie zaledwie 1,41% PKB, podczas gdy średnia unijna wynosi 2,24%, a światowa czołówka przekracza 3,5%. To przepaść, która przekłada się na realną marginalizację polskiej nauki.

Dlatego środowisko naukowe postuluje przełamanie bierności i zastąpienie pustych deklaracji politycznych konkretnymi działaniami. Za niezbędne uznaje zwiększenie nakładów na naukę. Oznacza to zarówno podniesienie bezpośrednich wydatków budżetowych, jak i wprowadzenie skutecznych mechanizmów systemowych zachęcających sektor prywatny do inwestowania w badania i rozwój. W przeciwnym razie Polska będzie utrwalać peryferyjną pozycję w globalnym systemie innowacji.

Udział w PKB wydatków państwa na naukę i szkolnictwo wyższe od dwóch dekad systematycznie się kurczy.

Jak wskazuje prof. Dariusz Jemielniak, badacz społeczny, w budżecie państwa na 2026 r. nauka i szkolnictwo wyższe znów ugrzęzły w dobrze znanym schemacie. Mamy nominalne wzrosty, które sprawiają wrażenie postępu, podczas gdy w rzeczywistości nie przynoszą żadnej zmiany jakościowej. Nakłady rosną wyłącznie na papierze – z 42,8 mld zł w ubiegłym roku do 44,4 mld zł w roku bieżącym. Problem w tym, że tempo tego wzrostu ledwie nadąża za prognozowaną inflacją, a część środków i tak pochodzi z funduszy europejskich, nie zaś z realnego zwiększenia krajowego finansowania. W relacji do PKB obraz jest jeszcze bardziej wymowny: udział wydatków oscyluje wokół 1,07%, czyli spadł, bo rok wcześniej wynosił ok. 1,08%. To nie jest nawet utrzymywanie status quo, to po prostu utrwalanie stagnacji.

Dlaczego akurat 3%

Dane GUS nie pozostawiają złudzeń co do kierunku, w jakim zmierza polska nauka. Nakłady krajowe brutto na działalność badawczo-rozwojową (GERD), obejmujące zarówno środki publiczne, jak i prywatne, w 2024 r. wyniosły 51,5 mld zł i były o 3,1% niższe niż rok wcześniej. W ślad za tym poszedł spadek wskaźnika intensywności badań i rozwoju – z 1,56% PKB w 2023 r. do 1,41% w 2024 r. Na tle Europy i światowych liderów dystans staje się coraz bardziej widoczny. Według danych Eurostatu średnia unijna sięga już 2,24% PKB, a Niemcy przeznaczają na badania 3,13%, Szwecja zaś 3,57%.

Jeszcze większa przepaść dzieli Polskę od globalnych liderów innowacji: Korea Południowa inwestuje niemal 5% PKB, a USA i Japonia ponad 3,4%. Polskie wyniki wyglądają przy tym nie tyle skromnie, ile żałośnie.

Prof. Jemielniak dowodzi na portalu Zero.pl, że pułap 3% PKB nie został wyssany z palca. Przywoływane analizy pokazują, że chodzi tu nie o arbitralny cel, lecz o poziom, który w wielu gospodarkach wiąże się z wyraźnymi efektami rozwojowymi. W raporcie Frontier Economics, przygotowanym dla brytyjskiego Department for Science, Innovation and Technology, przeciętna stopa zwrotu

eprasa.pl 1dd8509f48

z publicznych inwestycji w badania i rozwój została oszacowana na ok. 40% po sześciu latach. W praktyce oznacza to, że każde 100 mln funtów przeznaczone na badania może po tym czasie przekładać się na wzrost produktywności sektora prywatnego rzędu 40 mln funtów rocznie.

Istotne jednak są drobne zastrzeżenia autorów przytoczonego badania. Mowa bowiem o wartości uśrednionej dla gospodarki brytyjskiej, a nie o gwarantowanym rezultacie dla każdego programu czy kraju. Tak czy owak, nie zmienia to ogólnego obrazu. Wyniki te wpisują się w szeroki dorobek badań, które wskazują na zależność między nakładami na badania i rozwój a wzrostem produktywności i tempa rozwoju gospodarczego. Jednocześnie skala tych efektów pozostaje silnie uzależniona od jakości instytucji, struktury gospodarki oraz zdolności firm do przyjmowania i wykorzystania wiedzy.

„Jesteśmy zawiedzeni i rozczarowani, że politycy pozostają głusi na nasze postulaty. Przecież nie chodzi wyłącznie o nas, naukowców. My sobie poradzimy. Chodzi o rozwój kraju. Nie damy rady utrzymać rozwoju gospodarczego na obecnym poziomie, pozostając montowniami świata. Musimy inwestować w naukę, innowacje i nowe technologie", podkreśla w mediach prof. Agata Starosta, biolożka molekularna z Instytutu Biochemii i Biofizyki Polskiej Akademii Nauk.

Sytuacja samych naukowców pozostaje trudna i coraz częściej staje się przedmiotem publicznej debaty. Na początku 2026 r. głośnym echem odbiła się oferta pracy Instytutu Fizyki PAN skierowana do osoby z doktoratem. Wynagrodzenie na poziomie 4806 zł brutto, co odpowiada płacy minimalnej, zaproponowano kandydatowi z doświadczeniem zawodowym 4-10 lat oraz dodatkowymi kompetencjami, takimi jak znajomość języków obcych czy obsługa specjalistycznej aparatury badawczej. Sprawa wywołała kontrowersje, a minister nauki i szkolnictwa wyższego Marcin Kulasek, komentując ją w Polsat News, winił poprzednie rządy za obecny stan finansowania sektora.



Naukowcy protestują, bo polska klasa polityczna z uporem ignoruje fundamentalną potrzebę inwestowania w naukę.

Nie jest to jednak prawda, ponieważ jego poprzednik Dariusz Wieczorek (notabene pierwszy zdymisjonowany minister w obecnym rządzie Tuska) zasłynął jako ten minister szkolnictwa wyższego, który dużo mówił i niewiele robił. Jego niekompetencję opisywaliśmy na łamach „Przeglądu" w tekście „Nieudolność i lenistwo Dariusza Wieczorka" (24 lutego 2025). Wieczorek nie tylko nic nie zrobił z patologią tworzenia kierunków medycznych na niemedycznych uczelniach, ale wręcz podążył drogą wytyczoną jeszcze przez Przemysława Czarnka. Nie załatwił też problemów wynikłych z tzw. reformy Jarosława Gowina, która wspierała „fabryki publikacji". W momencie odwołania ministra Wieczorka „Dziennik Gazeta Prawna" informował, że Narodowe Centrum Nauki prowadziło właśnie postępowanie dotyczące naukowców z politechnik Gdańskiej, Poznańskiej i Opolskiej. Jak wskazywał dziennik, byli oni podejrzani o udział w tychże „fabrykach publikacji" – nieformalnych strukturach nastawionych na masową produkcję artykułów naukowych na zasadach komercyjnych.

Mechanizm ich działania jest prosty: publikacje przestają być efektem pracy badawczej, a stają się narzędziem zdobywania punktów, budowania karier i poprawiania pozycji uczelni w ministerialnych rankingach, co przekłada się również na finansowanie. Jak podkreślał „DGP", to doskonały dowód, że presja systemowa i niedoskonałości modelu oceny mogą prowadzić do wypaczeń w funkcjonowaniu całego środowiska naukowego. Nie zmienia to jednak faktu, że do naukowców trafia zbyt mało pieniędzy.

FOT. ALIAKSANDR VALODZIN/EAST NEWS

eprasa.pl 1dd8509f48

„Od 20 lat procent budżetu, jaki jest przeznaczany na badania i rozwój w Polsce, systematycznie spada. Poprzedni minister, Przemysław Czarnek, mocno ograniczył finansowanie nauki, a obecny rząd nie zdołał tego skorygować, więc od pół dekady mamy sytuację krytyczną", powiedział w portalu Interia prof. Michał Tomza z Instytutu Fizyki Teoretycznej Uniwersytetu Warszawskiego, jeden z organizatorów akcji 3% dla nauki.

Antidotum

Jak zatem uratować polską naukę? Naukowcy formułują trzy główne postulaty. Po pierwsze, „pracownicy sektora nauki muszą mieć za co żyć". Autorzy petycji podkreślają, że wynagrodzenia w sektorze nauki wymagają pilnej korekty, tak aby zapewniały pracownikom realne możliwości utrzymania. W tym celu należy powiązać płace ze średnim wynagrodzeniem w sektorze przedsiębiorstw, które według danych GUS w marcu wynosiło 9652,19 zł brutto. Proponowane zmiany miałyby objąć całość środowiska: nie tylko kadrę naukową, ale też pracowników technicznych, administracyjnych i pomocniczych.

Prof. Agata Starosta: Nam niczego nie brakuje, by uprawiać naukę na zachodnim poziomie, oprócz porządnego finansowania.

Naukowcy podkreślają, że obecny poziom wynagrodzeń przestał być konkurencyjny wobec innych sektorów gospodarki. Osoba rozpoczynająca pracę na stanowisku adiunkta otrzymuje, mimo stopnia doktora, wynagrodzenie na poziomie niespełna trzech czwartych średniej krajowej. Jeszcze trudniejsza jest sytuacja części pracowników zatrudnionych na stanowiskach asystenckich, którzy – mimo uzyskanego doktoratu – otrzymują wynagrodzenie nieznacznie przewyższające płacę minimalną, sięgające 4825 zł brutto. Zauważmy, że w polskim systemie naukowym mamy ponad 54 tys. doktorów, ok. 21 tys. doktorów habilitowanych i prawie 10 tys. profesorów. Większość z nich żyje za grosze.

Drugim filarem zmian mają być stabilne i godne warunki nauki i pracy dla studentów i doktorantów. Postulaty obejmują także urealnienie progów uprawniających do stypendiów socjalnych, które obecnie wynoszą 1908,90 zł netto na osobę w rodzinie, oraz poprawę infrastruktury socjalnej. Wśród najpilniejszych potrzeb pojawiają się dostęp do tanich stołówek publicznych, remonty istniejących domów studenckich oraz budowa nowych obiektów.

Fakt, że sytuacja doktorantów nie jest w naszym kraju różowa, zaznaczył ostatnio amerykański tygodnik „Science" (5 marca 2026) w artykule „Polska to nie jest kraj dla doktorantów". „Ani uniwersytety, ani władze państwowe nie chcą się wsłuchiwać w problemy doktorantów i doktorantek. Uznaliśmy, że trzeba rozpocząć debatę w ramach większego forum", stwierdza współautor artykułu Alan Żukowski.

Dostrzegają to również twórcy akcji 3% dla nauki. Proponują, aby stypendia doktoranckie były ustalane co najmniej na poziomie obowiązującej płacy minimalnej, a same osoby kształcące się w szkołach doktorskich miały możliwość wyboru między zatrudnieniem na podstawie umowy o pracę a pozostaniem przy formule stypendialnej. Pamiętajmy, że w 2019 r. zreformowano system dochodzenia do doktoratu – wprowadzono szkoły doktorskie, które miały zakończyć epokę tzw. biedadoktoratów, czyli modelu, w którym stypendia były przywilejem nielicznych, a ich wysokość zależała bardziej od przypadku niż od realnych potrzeb.

Nowy system zagwarantował powszechne stypendium, co miało umożliwić młodym badaczom skupienie się na pracy naukowej, a nie na walce o przetrwanie. Niestety, reforma nie przystawała do realiów. Przy rosnących kosztach życia nawet powszechne stypendium przestało spełniać podstawową funkcję, a obietnica stabilnych warunków prowadzenia badań przestała być wiarygodna. Wróciliśmy więc do punktu wyjścia – doktorantom znowu brakuje pieniędzy na życie.

Tak docieramy do filaru trzeciego: badacze muszą mieć za co prowadzić badania naukowe. W polskich realiach mierzą się nie tylko z problemem niskich wynagrodzeń, ale także z coraz potężniejszymi barierami w prowadzeniu badań i prac rozwojowych. Wśród kluczowych postulatów pojawia się więc konieczność zapewnienia stabilnego finansowania badań podstawowych, aplikacyjnych i wdrożeniowych. Oraz utrzymania i modernizacji infrastruktury badawczej, bez której trudno mówić o realnej konkurencyjności. Powraca też kwestia finansowania Narodowego Centrum Nauki, czyli głównej agencji grantowej w Polsce. Środowisko naukowe ponownie apeluje o istotne zwiększenie jego budżetu, w tym o dodatkowy 1 mld zł w ustawie budżetowej na 2027 r. Jednocześnie wskazuje się potrzebę wprowadzenia przewidywalnego mechanizmu wzrostu finansowania w kolejnych latach, który pozwoliłby osiągnąć 25-procentowy współczynnik sukcesu w konkursach NCN, uznawany za minimum dla sprawnie funkcjonującego systemu grantowego.

„Nasze postulaty są ekstremalnie zachowawcze. Oczekiwanie, by naukowiec z wieloletnim doświadczeniem i doktoratem zarabiał średnią pensję w przemyśle, nie jest zbyt wygórowane. Podobnie jak to, by doktorant dostał choć minimalną krajową. To pokazuje, w jak złej sytuacji znalazła się nauka w Polsce", stwierdził w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" prof. Michał Tomza.

Organizatorzy akcji podkreślają, że sprzeciw wobec obecnej sytuacji w nauce nie powinien się ograniczać do cichego „protestu nogami", czyli wyjeżdżania z kraju lub odchodzenia z samego sektora. Zachęcają do wyrażenia sprzeciwu w przestrzeni publicznej. Wzywają pracowników nauki, studentów i wszystkich, którym zależy na adekwatnym finansowaniu badań, do udziału we wspomnianym

eprasa.pl 1dd8509f48

proteście, zaplanowanym na środę 27 maja o godz. 13 przed Pomnikiem Armii Krajowej i Polskiego Państwa Podziemnego przy Sejmie.

Heretycy

Są też osoby, które twierdzą, że najpierw należy zrobić porządek w nauce. „Dopóki problem »martwego drzewa« nie zacznie być w Polsce rozwiązywany, to naukowcy nie mają prawa domagać się wyższych nakładów na naukę, a politycy nie mają prawa tych nakładów zwiększyć. I doskonale zdaję sobie sprawę z tego, jak wielkie pretensje za te słowa będzie do mnie miało środowisko naukowe”, pisze dla portalu Zero.pl dr Andrzej Dybczyński, prezes Sieci Badawczej Łukasiewicz w latach 2023-2024.

Problem „martwego drzewa” wynika nie ze złej woli naukowców, lecz z bezsensownych i szkodliwych dla nauki wytycznych kolejnych ministrów nauki i szkolnictwa wyższego. Wyścig o punkty coraz wyraźniej wypacza sens pracy badawczej: zamiast jakości i przełomowości system premiuje liczbę publikacji. To zaś rodzi patologie. Po pierwsze, upowszechnia się zjawisko określane jako „salami slicing”, polegające na rozbijaniu jednego projektu badawczego na kilka mniejszych artykułów, aby sztucznie zwiększyć dorobek publikacyjny. Po drugie, wielu autorów podpisuje się pod jednym badaniem. Do tego pojawia się wiele tzw. drapieżnych czasopism, czyli periodyków pseudonaukowych, które za opłatę opublikują absolutnie wszystko.

Tymczasem dr Dybczyński zrzuca większość winy za obecny stan nauki na samych naukowców, wymagając, aby zaczęli się zajmować „prawdziwą” pracą naukową (najlepiej od godz. 8 do 16 od poniedziałku do piątku), bo jak się wykażą, zasłużą na więcej pieniędzy od polityków. Tych polityków, którzy nakazali im walczyć o punkty, zamiast zajmować się nauką właśnie. Gdzie tu sens, panie doktorze? Już dziś widać, którzy naukowcy są zaangażowani, a którzy nie. Zatem tak, powinniśmy się domagać nakładów finansowych na naukę już teraz i posprzątać przy okazji bałagan, który zafundowali nauce politycy. „Widzieliśmy, jak działają inne systemy, i wiemy, że Polacy nie są ani mniej zdolni, ani mniej kreatywni. Nam absolutnie niczego nie brakuje, by uprawiać naukę na zachodnim poziomie, oprócz porządnego finansowania”, zaznacza prof. Agata Starosta. Potwierdzą to zapewne wszyscy ci naukowcy i studenci, którzy wyjechali z Polski w poszukiwaniu lepszych warunków finansowych.

Ostatecznie spór o finansowanie nauki nie sprowadza się wyłącznie do wysokości kwot w budżecie ani do kolejnych wskaźników i rankingów. To kwestia wyboru kierunku rozwoju państwa: czy nauka ma być traktowana jako koszt, który można odkładać na później, czy jako inwestycja, od której zależy przyszła pozycja kraju. Dziś wiele wskazuje, że Polska wciąż wybiera wariant zachowawczy – z wszystkimi jego długofalowymi konsekwencjami. Dlatego pytamy już nie o to, czy stać nas na większe nakłady na naukę, lecz czy stać nas na dalsze ich skąpienie.

W systemie naukowym mamy ponad 54 tys. doktorów, ok. 21 tys. doktorów habilitowanych i prawie 10 tys. profesorów. Większość z nich żyje za grosze.

Kornel Wawrzyniak

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Lem w PRZEGLĄDZIE

Gdy w grudniu 2001 r. odbierał naszą redakcyjną nagrodę, BUSOLĘ powiedział: *Regularnie czytam Wasz tygodnik i cenię go. „Przegląd” jest pismem odważnym, wiarygodnym i pisze w nim wielu znakomitych autorów.*

Dołączył do naszego zespołu. Pisał o meandrach polityki polskiej i światowej, nauce, przeczytanych książkach i artykułach.

W atrakcyjnej książce jest 126 felietonów Lema. Ciągle aktualnych.



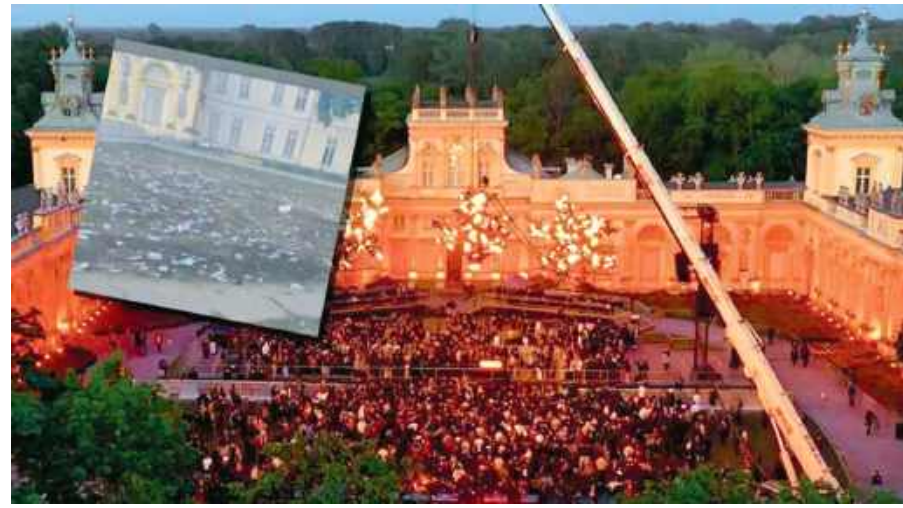
sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1dd8509f48

Wilanowskie techno nocą

Imprezy Circoloco odbywały się już na Ibizie i w Amsterdamie. W maju pierwszą – i chyba ostatnią – warszawską zorganizowano w Wilanowie

Bronisław Tumiłowicz



Część publiczności i celebrytów broni wydarzenia: Wilanów wyglądał zjawiskowo i ściągnął fanów muzyki z wielu krajów.

Czegoś takiego w czasach Jana III Sobieskiego i królowej Marysieńki z pewnością nie było. Motłoch nie miał wstępu na dziedziniec pałacu monarchy. 17 czerwca 2026 r. minie dokładnie 330 lat od śmierci zwycięzcy bitwy pod Wiedniem, tymczasem nasz władca elekcyjny chyba się w grobie przewraca, słysząc, jakie to brewerie wyczyniają Polacy w związku z imprezą Circoloco Warsaw, która odbyła się 9 maja w jego rezydencji. I chodzi nawet nie o koncert, lecz o jego reperkusje w przestrzeni publicznej.

Co takiego się wydarzyło? Przez całą noc telefonowano na policję, że huczna impreza nie pozwala spać mieszkańcom. W owych telefonach słychać było też obawę o to, jak z hałasem radzą sobie ptaki (mamy okres lęgowy), wiewiórki, bobry, nietoperze, a nawet ryby z pobliskich zbiorników wodnych, i w ogóle cała przyroda ożywiona Wilanowskiego Parku Kulturowego oraz Rezerwatu Przyrody Morysin. Niektórzy wskazywali także opłakane skutki elektronicznego łomotu dla zabytkowych murów obiektu pałacowego.

Podczas imprezy na dziedzińcu pałacowym bawiło się ok. 7 tys. osób. A jak komentowano? Zacznijmy od dr. Marcina Zglińskiego z Instytutu Sztuki PAN, redaktora naczelnego Katalogu Zabytków Sztuki w Polsce. Dr Zgliński jest najaktywniejszym recenzentem muzycznym w naszym kraju, bo prawie codziennie uczestniczy w jakimś koncercie i zaraz opisuje go w mediach społecznościowych. Zgliński próbuje się rozprawić z zapewnieniami organizatorów koncertu, że nasz Wilanów to polski Wersal albo Pałac Schönbrunn w Wiedniu. Tam również wiosną odbywają się koncerty muzyki elektronicznej. Wprawdzie organizatorzy imprezę reklamowali: „Pałac w Wilanowie. 12 godzin muzyki. 7 artystów. Jedna noc, o której będzie mówić cała Europa", ale zdaniem komentatora „Europa ma to oczywiście w tym miejscu, którym zasiadła na grzbiecie Byka-Zeusa, za to awantura rozpętała się nad Wisłą. Zamiast więc ogromnego prestiżu i pokłonów Europy mamy sytuację porównywalną do tej, gdy na eleganckim raucie ktoś bardzo głośno i wonnie zepsuł powietrze i nagle wszyscy próbują udawać, że nic się nie stało".

Co robić z hałasem?

Czy porównywanie z Paryżem i Wiedniem mogłoby obronić wilanowską imprezę? Marcin Zgliński podaje szczegółowe przepisy „antyhałasowe", którymi posługują się Francuzi. „Wyjątkowe wydarzenie muzyki elektronicznej jest objęte ścisłym monitoringiem akustycznym w celu ochrony mieszkańców, z uwzględnieniem drastycznych środków regulacyjnych, w tym limitu 102 dB i obowiązkowych stref ciszy. [Wydarzenia takie] (...) są starannie monitorowane, szczególnie pod kątem poziomu generowanego dźwięku. Obowiązują przepisy mające na celu ograniczenie hałasu podczas imprez z wykorzystaniem wzmacniaczy dźwięku, takich jak Versailles Électro, w celu ochrony mieszkańców rezydujących w pobliżu obiektu. Przepisy te wymagają w szczególności: przeprowadzenia oceny wpływu hałasu przed imprezą, uwzględniającej konfigurację systemu nagłośnieniowego i jego wpływ na sąsiednie budynki mieszkalne, niezależnie od tego, czy znajdują się one w sąsiedztwie obiektu. Przestrzegania maksymalnych poziomów hałasu:

eprasa.pl 1dd8509f48

średni poziom nie może przekraczać 102 dB, a wzrost poziomu hałasu (różnica między poziomem hałasu otoczenia a poziomem generowanym przez imprezę) nie może przekraczać 3 dB w nocy dla mieszkańców. Obowiązku informowania opinii publicznej, zapewnienia ochrony słuchu, rejestrowania i wyświetlania poziomów hałasu oraz tworzenia stref ciszy podczas imprezy. Kontroli ze strony władz lokalnych, przede wszystkim ratusza i prefektury, oraz możliwości nałożenia sankcji w przypadku nieprzestrzegania przepisów, a nawet zawieszenia działalności, jeśli zajdzie taka potrzeba".

Czy takie zabezpieczenia zostały poczynione w Warszawie? Jedni mówią: tak, drudzy: nie. Ale czy przed wydarzeniem informowano opinię publiczną, zwłaszcza okolicznych mieszkańców. Czy ktoś na bieżąco monitorował poziom hałasu? Czy pałac tym problemem się zainteresował? A może znało go miasto?

Prawdopodobnie nic z tych rzeczy się nie wydarzyło. Za to do mediów trafiły informacje, że „Miasteczko Wilanów nie spało tej nocy". Pod tym hasłem przetoczyła się fala protestów w mediach społecznościowych. Mieszkańcy zgłaszali, że dudnienie basów słychać było w domach oddalonych o setki metrów od pałacu, co uniemożliwiało sen aż do zakończenia imprezy o godz. 3.30. Zgłoszenia, przesyłane m.in. do stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, opisywały drżenie szyb w oknach oraz odczuwalne wibracje mebli. Głosy uczestników imprezy potwierdzały te opinie – nawet część osób bawiących się na koncercie przyznawała, że poziom decybeli wywracał wnętrzności, a stopery do uszu nie były w stanie wytłumić hałasu.

Obrona twierdzy

Po wybuchu afery zaczęto się powoływać na pomiary głośności robione w pałacu. Trudno dziś stwierdzić, czy odpowiadają one prawdzie. Muzeum wydało jednak oświadczenie. Podało wyniki pomiarów prowadzonych podczas wydarzenia w różnych punktach obiektu i jego okolic. W Wielkiej Sieni odnotowano maksymalnie 82,5 dB, w Sali Białej 62,9 dB, a w rezerwacie Morysin – 46 dB, z uwzględnieniem odgłosów przyrody. Pomiary prowadzono również poza terenem muzeum, m.in. przy ul. Przyczółkowej i w Miasteczku Wilanów. Jak zaznaczono, zastosowano rozwiązania mające ograniczyć oddziaływanie akustyczne na pałac i otoczenie, a parametry techniczne wydarzenia były monitorowane zgodnie z procedurami. Muzeum zwróciło uwagę, że hałas generowany przez ruch samochodowy przy ul. Przyczółkowej w ciągu dnia osiąga wartości porównywalne.

Nawet część bawiących się na koncercie przyznawała, że poziom decybeli wywracał wnętrzności.

Do oświadczenia dołączono inne pomiary. Na plaży w Miasteczku Wilanów 10 maja o godz. 00.58 (gdy koncert trwał) poziom dźwięku wyniósł 66,9 dB, a pod Urzędem Dzielnicy Wilanów o godz. 1.00 – 70 dB. Warto podkreślić, że w każdy dzień roboczy hałas generowany przez ruch samochodowy na ul. Przyczółkowej za dnia sięga na dziedzińcu pałacu nawet 60 dB (dopuszczalne poziomy hałasu w środowisku w nocy w mieście, w zależności od strefy, wynoszą 40-45 dB).

Zapytaliśmy najbliższych sąsiadów Muzeum Pałacu Króla Jana III Sobieskiego w Wilanowie, czyli przedstawicieli Muzeum Plakatu, co sądzą o aferze i czy organizacja koncertu nie zaszkodziła instytucji praktycznie przylegającej do miejsca, w którym impreza się odbywała. Odpowiedział p.o. kurator Muzeum Plakatu w Wilanowie Michał Warda: „Informuję w związku z tym, że w dniu 14.04 br. (prawie miesiąc przed imprezą) Dyrektor Muzeum Pałacu Króla Jana III Sobieskiego Pan Paweł Jaskanis wystosował pismo (sygn. DR.6332.1-1.MS.2026), skierowane do Dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie, dr hab. Agnieszki Lajus, informujące o planowanej organizacji przez firmę Awake Events w dniach 9-10 maja koncertu pn. Circoloco. Treść pisma zawierała informacje o uzyskanej zgodzie Mazowieckiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków (nr WZW.5142.139.2026.KMR z dnia 13 marca br.) na organizację imprezy, szczegóły dotyczące jej charakteru oraz lokalizacji wraz z załączoną poglądową mapą przedpola pałacowego i dziedzińca, oraz zapewnienia o uzyskaniu przez organizatora wszelkich zgód organów administracji publicznej. Dyrektor Jaskanis uprzedził o możliwych ograniczeniach w dostępności do naszego muzeum w dniu 9 maja, poprosił o uwzględnienie opisanych okoliczności w planowaniu pracy oraz poinformowanie odwiedzających o możliwych utrudnieniach. Zapewnił również, że Muzeum Plakatu będzie chronione w trakcie przygotowań, realizacji i demontażu wydarzenia. W związku z powyższym w dniu 27.04 br. kierownik administracyjny Muzeum Plakatu Pan Piotr Wojnowski, w porozumieniu z dyrekcją Muzeum Narodowego w Warszawie (którego Muzeum Plakatu jest oddziałem), poinformował pracowników o skróceniu czasu otwarcia muzeum dla



FOT. AWAKE EVENTS, X

eprasa.pl 1dd8509f48

publiczności do godz. 14.00. Nie odnotowaliśmy również żadnych szkód materialnych".

Mleko się rozlało

O godz. 3.30 koncert się zakończył. „Wszystkie osoby, które mogły odczuć niedogodności związane z wydarzeniem, przepraszamy", napisano później w komunikacie muzeum. Niewiele to dało, bo sprawa nabrała rozpędu. Jako pierwszy, i na razie jedyny, ze stanowiskiem pożegnał się dyrektor muzeum Paweł Jaskanis.

Zapytaliśmy byłych podsekretarzy stanu w resorcie o ocenę decyzji ministry kultury i dziedzictwa narodowego Marty Cienkowskiej, która w trybie natychmiastowym zdjęła dyrektora ze stanowiska. Grzegorz Michalski, muzykolog związany z Narodowym Instytutem Fryderyka Chopina, a także wiceminister kultury w latach 90., nie chce całkowicie Jaskanisa potępiać: „Żałuję tego, co się stało, bo tracimy znakomitego dyrektora, który wykazał się wieloma potrzebnymi inicjatywami kulturalnymi, edukacyjnymi i organizatorskimi, podnoszącymi prestiż tej instytucji, a zarazem starającego się zaradzić dosyć skromnym możliwościom materialnym muzeum. Pamiętam wcześniejsze imprezy organizowane na tym terenie, różne wystawy, targi, kiermasze, które wiązały się z umieszczaniem w okolicach pałacu pewnych urządzeń, stoisk, także nagłośnienia. One też czyniły pewne szkody w otoczeniu, ale nie da się tego porównać z trwającą kilkanaście godzin wielką imprezą techno. Do tego koncertu zapewne skłoniła dyrektora nienajlepsza sytuacja finansowa instytucji. Podejrzewam jednak, że dyrektor Jaskanis nie był wcześniej na takiej imprezie i nie wiedział, z czym wiąże się uruchomienie wielkiej aparatury nagłaśniającej. Nie tylko szkodzi to ptakom, ale wielu ludzi narażało na trwałe uszkodzenie słuchu, o czym przeciętny uczestnik głośnych imprez może nawet nie wie".

Były wiceminister kultury w rządzie PiS, Jarosław Sellin, daje odpowiedź nieco wymijającą: „Przez 10 lat współpracowałem jako wiceminister kultury odpowiedzialny za muzea z dyrektorem Jaskanisem i nie chciałbym psuć swoją wypowiedzią znaczenia tamtej współpracy i pamięci. To była współpraca udana".

Nacechowaną politycznie opinię o decyzji ministry przedstawił prof. Piotr Gliński, poprzednik Marty Cienkowskiej: „Minister kultury zdymisjonowała dyrektora Pałacu w Wilanowie. Niby za koncert techno. A chodzi o ratowanie własnej skóry. Resort wiedział o koncercie, współorganizowanym przez OmenaArt Foundation, a pani minister była na koszt fundacji p. Omeny na wycieczce w Afryce. Resort musiał wiedzieć o organizacji koncertu współorganizowanego przez OmenaArt Foundation". Gliński również zwrócił uwagę na problemy instytucji: „Muzeum w Wilanowie jest niedofinansowane, bo budżet na kulturę spada, w resorcie skandal goni skandal, to znaleźli sobie kozła ofiarnego".

Grzegorz Michalski: Tracimy znakomitego dyrektora, który wykazał się wieloma potrzebnymi inicjatywami kulturalnymi i edukacyjnymi.

Z zupełnie innej perspektywy wydarzenie ocenia Hieronim „Hirek" Wrona, dziennikarz telewizyjny i radiowy, niezależny publicysta, ale także didżej i organizator wielu koncertów, producent i reżyser wydarzeń artystycznych. Wrona nazywa koncert Circoloco imprezą taneczną i dodaje słowo paranoja. „Nigdy bym się nie zdecydował organizować taki koncert w pobliżu rezerwatu przyrody. Sam jestem zwolennikiem sytuowania wydarzeń muzycznych w ciekawych i oryginalnych miejscach, ale wybieram je bardzo starannie. To jest sprawa nie tylko ochrony miejsc wrażliwych na uszkodzenie, ale też sprawa dobrych obyczajów. To, co się stało, jest wysoce oburzające. Naprawa dokonanych zniszczeń przekroczy skromne dochody z imprezy (ok. 250 tys. zł, co dwukrotnie przewyższa zysk z biletów)".

Jednak część publiczności i celebrytów broni wydarzenia, chwaląc oprawę wizualną, nagłośnienie oraz fakt, że Wilanów wyglądał zjawiskowo i ściągnął fanów muzyki z ponad 35 krajów.

Przeciwnicy wydarzenie kpią z dochodu, jaki przyniósł koncert – 116 tys zł. Swoją drogą nie chce się wierzyć, że tylko tyle pieniędzy dał tak głośny koncert

Przeglądając dokumentację, odkryto podobno jeszcze inny hak na dyrektora – mógł on być osobiście zainteresowany powodzeniem koncertu, bo zasiadał w strukturach doradczych fundacji Omeny Mensah. Ta fundacja była zaś partnerem i mecenasem społecznym komercyjnej imprezy Circoloco. Jak ujawnili aktywiści ze stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, w latach 2023-2024 OmenaArt Foundation przekazała muzeum pałacu darowizny o łącznej kwocie prawie miliona złotych. Były to jedyne darowizny od osób prawnych, jakie muzeum wówczas otrzymało. Czy dał tu o sobie znać konflikt interesów, choć były dyrektor pełnił w strukturach fundacji jedynie funkcję ekspercką i doradczą?

Epilog

Piotr Górajec, pełniący obecnie obowiązki dyrektora Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, poinformował, że wstęp na pałacowy dziedziniec będzie darmowy: „Chciałbym, aby ten gest stał się symbolem nowego otwarcia".

Urząd miasta nazwał wydarzenie skandalicznym. Prezydent Rafał Trzaskowski oficjalnie wycofał patronat honorowy nad letnim cyklem wydarzeń „Let's make them care". W obliczu złamania procedur ochrony przyrody oraz zaleceń konserwatorskich stanęły pod znakiem zapytania imprezy cyklu zaplanowane w prestiżowych warszawskich lokalizacjach, takich jak Łazienki Królewskie i Park Agrykola.

Bronisław Tumiłowicz

eprasa.pl 1dd8509f48

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Ojczyzna Europa

„Dzieje kultury europejskiej” Wojciecha Lipońskiego są książką nie do objęcia. Ukazuje się ona od 2019 r., początkowo rok po roku, w objętości rosnącej z tomu na tom. W minionym roku wydano tom czwarty, najobszerniejszy: „Barok-Oświecenie”. Gąszcz przytaczanych w nim faktów – czasem znanych, czasem zapomnianych, czasem nowych – działa obezwładniająco, a do zapamiętania jest niemożliwy. O ile więc pierwsza refleksja dotyczy możliwości percepcji czytelniczej, druga każe zadumać się nad możliwościami autora, który nad wytworzonym przez siebie tekstem w pełni przecież panuje.

Jak to robi? Można zrozumieć swobodę, z jaką ten profesor anglistyki porusza się w obszarze kultury Wielkiej Brytanii (swego czasu wydał „Dzieje kultury brytyjskiej”), można zrozumieć jego zadomowienie w innych kulturach europejskich, trudniej pojąć, że z tym samym znawstwem referuje osiągnięcia narodów zarówno niewielkich, jak i leżących formalnie już poza Europą: Armenii czy Gruzji. Jest sprawą oczywistą, że bibliografia przedmiotu nie mogła tu zostać wyczerpana, a przecież obecny w przypisach wykaz wielojęzycznych monografii i artykułów sprawia wrażenie kompletności. Oto więc owoc nieludzkiej wręcz kompetencji, zdającej się przekraczać możliwości jednego autora.

Dzieło nie do objęcia, lecz przez naukę możliwe do wykorzystania w przeróżny sposób. Najpierw, przy badaniach którejkolwiek z kultur narodowych, jako solidny rekonesans, traktujący dane zagadnienie z lotu ptaka i na tle kultur sąsiednich. Potem – włączający to zagadnienie w kontekst szerszy, w krwiobieg całości kultury naszego kontynentu. W czasach, w których istnieją rzesze znakomitych specjalistów, synteza o takim oddechu onieśmiela, choć mędrców szkiełka i oka może też prowokować do wychwytywania omyłek, potknięć, lapsusów i literówek. W istocie, pewnie wyszłoby dziełu na dobre nieco powolniejsze tempo wydawania, choć i tak od poprzedniego tomu („Renesans”, 800 stron) do tomu obecnego (900 stron) upłynął okres – jak na Lipońskiego – wyjątkowo długi, bo „aż” czteroletni. A jednak gdyby nawet udało się wychwycić ułomności – jakie to ma znaczenie? Horyzont ludzkiej aktywności jest ograniczony i jeżeli coś jest naprawdę ważne – to ukończenie tej niezwykłej pracy. Bo przed autorem jeszcze XIX w.!

Nie sądzę, by „Dzieje kultury europejskiej” doczekały się wielu recenzji. Wszak recenzentów powinny być dziesiątki – tyle, ile segmentów tej syntezy. A segmenty te – to nie tylko poszczególne kraje, lecz i poszczególne dziedziny kultury, a w dziedzinach tych – kolejne prądy artystyczne. Toteż i to, co tu piszę, nie jest rzecz jasna żadną recenzją, jest wciąż felietonem, który wszak powinien teraz zarzucić nadtytuł „Refleksje pesymisty”. Cóż bowiem bardziej optymistycznego niż widok całościowej syntezy, od czego humanistyka tak bardzo dziś stroni. Tymczasem my wszyscy, trudniący się nauką, służymy przede wszystkim do tworzenia syntez. Nikt tego za nas nie zrobi.

Zatem zamiast recenzji – dwie refleksje końcowe. Pierwsza – to kultura polska w łonie kultury europejskiej. Wielkie idee i wielkie prądy były tworzone w Anglii, Francji, Niemczech, Włoszech, Hiszpanii czy Portugalii – prawie nigdy u nas. Autor stara się wprawdzie dowartościować polski dorobek, lecz faktów przecież nie zmieni, choć w jednym przypadku, kultury sarmackiej, mógłby bliżej ukazać jej charakter synkretyczny, a w tym synkretyzmie – oryginalny. Nie zmienia to powyższej konstatacji: ściągaliśmy z Zachodu architektów, czasem malarzy, ale nie filozofów – oni nas nie interesowali. Odwrotnie postępowała Rosja, tworząc u siebie ruch idei z importu – w tamtych czasach wciąż jeszcze odtwórczy.

Polska była ponoć „państwem bez stosów”, nie znaczy to jednak, by stanowiła oazę tolerancji.

Jesteśmy „barbarzyńcami w ogrodzie”? Ależ bogactwo europejskiej kultury niesie też ze sobą treści wstydliwe. Dzieła rewolucjonizujące naukę wędrowały z reguły na „Indeks ksiąg zakazanych”, a z wyroku kościelnych trybunałów przez długie lata płonęły w Europie stosy, karzące okrutną śmiercią ludzi „mających odwagę być mądrymi”. Polska była ponoć „państwem bez stosów”, nie znaczy to jednak, by stanowiła oazę tolerancji. A jednak – pisze Lipoński – „ostatni stos ze zwolennikiem Woltera zapłonął w Hiszpanii w roku 1819”. A potem przyszły dwie wojny światowe. Czy doceniamy demokrację, jaka panuje dziś na naszym kontynencie?

A oto refleksja druga, tak bardzo oczywista: na naszych oczach, pod piórem poznańskiego uczonego, powstaje dzieło niezwykłe. I to w skali nie tylko polskiej, lecz europejskiej.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1dd8509f48



Rozdanie Nagród Prusa, Warszawa, 19 maja 2026 r.

NAGRODY ROZDANE

Złoty Prus dla Elżbiety Jaworowicz

Dorocznym zwyczajem, tym razem 19 maja, odbyła się w Domu Dziennikarza w Warszawie gala wręczenia Nagród im. Bolesława Prusa. Ta prestiżowa nagroda ma bogatą tradycję. Po raz pierwszy przyznano ją w 1969 r. W minionych latach laureatami byli m.in. Ryszard Kapuściński, Jerzy Turowicz, Hanna Krall, Andrzej Dobrzyński, Krystyna Bochenek i Marian Podkowiński. Po 14-letniej przerwie, w 2015 r., Stowarzyszenie Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej wznowiło nagrody, w nowej formule. Laureaci otrzymują statuetki zaprojektowane przez prof. dr. hab. Mariana Molendę. W tegorocznej edycji (2025) kapituła pod przewodnictwem prof. dr. hab. Janusza Adamowskiego przyznała Złotego Prusa ikonie polskiego dziennikarstwa, red. Elżbiecie Jaworowicz. Laureatka od 43 lat nieprzerwanie prowadzi na antenie TVP cykliczny program „Sprawa dla reportera". Program o charakterze interwencyjnym cieszy się dużą popularnością, wśród odbiorców ma opinię takiego, który „pomaga ludziom".

W kategorii młody dziennikarz do 35. roku Zielonego Prusa otrzymał Radomir Wit z TVN. Na antenie TVN 24 prowadzi cotygodniowy program publicystyczny „Bez kitu", a w serwisie TVN 24+ autorski podcast „WITajcie w mojej bańce". W Sejmie, na korytarzach, „rozmawia z plecami posłów", zadając trudne pytania i nie zawsze uzyskując odpowiedź. W tej kategorii nominowani byli Nikola Budzińska i Natan Chwalewski.

Laureatami Niebieskiego Prusa, w kategorii dziennikarz – wydawca, zostali dwaj dziennikarze gazet lokalnych: red. Andrzej Andrysiak („Gazeta Radomszczańska") i Jerzy Wizerkaniuk („Gazeta Kościańska"). Obaj od dziesięcioleci redagują i wydają gazety dla lokalnej społeczności.

Nagrodę Specjalną Stowarzyszenia Dziennikarzy RP, w założeniu przyznawaną ponad podziałami, otrzymała red. Helena Ciemińska-Kowalik, reporterka sądowa, recenzentka rzeczywistości spod znaku Temidy, autorka kilkunastu książek o tej tematyce.

Wydarzenie tradycyjnie sponsorowali: Stowarzyszenie Autorów ZAiKS, Izba Wydawców Prasy, Stowarzyszenie Dziennikarzy i Wydawców „Repropol" oraz Uzdrowisko Nałęczów.

(am)



Uhonorowana Złotym Prusem Elżbieta Jaworowicz od 43 lat prowadzi program „Sprawa dla reportera".



Red. Elżbieta Jaworowicz i prezes SDRP Jerzy Domański.

eprasa.pl 1dd8509f48



Laureaci Niebieskiego Prusa Jerzy Wizerkaniuk („Gazeta Kościańska") i Andrzej Andrysiak („Gazeta Radomszczańska").



Elżbieta Jaworowicz i laureatka Nagrody Specjalnej SDRP Helena Ciemińska-Kowalik.



Tomasz Miłkowski – przewodniczący zarządu Oddziału Warszawskiego SDRP, red. Jerzy Domański i dziennikarz TVN Radomir Wit.



Radomir Wit został laureatem Zielonego Prusa dla młodych dziennikarzy.

Honorowa Odznaka SDRP



Krystyna Mokrosińska, honorowa prezes SDRP.



Joanna Węgrzyniak, kierowniczka sekretariatu ZG SDRP.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 1dd8509f48

Kasa wasza będzie nasza

Czy Andrij Jermak, szara eminencja w otoczeniu prezydenta Zełenskiego, okradał Ukrainę?

Marek Czarkowski

Gdy ukraińscy żołnierze ginęli w okopach pod Bachmutem, Pokrowskiem i Awdijiwką, gdy rosyjskie drony niszczyły elektrownie, a miliony Ukraińców siedziały w mieszkaniach bez prądu i ogrzewania, Andrij Jermak – wraz z przyjaciółmi – budował sobie luksusową posiadłość na terenie osiedla Dynastia w Kozynie pod Kijowem. Jak twierdzi ukraińska prokuratura – za pieniądze pochodzące z łapówek.

Od początku lutego 2020 r. Jermak był szefem biura prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego – de facto drugą osobą w państwie. Decydował o sprawach kadrowych na najwyższych szczeblach ukraińskiej administracji. Miał wpływ na przepływy finansowe. Odpowiadał za relacje z najważniejszymi partnerami zagranicznymi Ukrainy, w tym z amerykańską administracją.

Ta wspaniała kariera runęła 28 listopada 2025 r., gdy Jermak złożył – jakoby z własnej inicjatywy – rezygnację z funkcji, natychmiast przyjętą przez prezydenta Ukrainy. Stało się to po przeszukaniach w domu i biurze Jermaka, dokonanych przez Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy (NABU) oraz Specjalną Prokuraturę Antykorupcyjną (SAP) w związku z prowadzonym od 2024 r. śledztwem pod kryptonimem „Midas". Wtedy to ukraińskie organy ścigania na poważnie zajęły się grupą wpływowych postaci, związanych z prezydentem Zełenskim. Ludzie ci wymuszali na przedsiębiorcach mających kontrakty z Enerhoatomem, spółką będącą właścicielem ukraińskich elektrowni atomowych, „prowizje" stanowiące 10-15% wartości zawartych umów.

Byli to:

- **Timur Mindicz** – biznesmen i dawny współpracownik Zełenskiego, uznawany za organizatora procederu przestępczego. W wyniku tych działań miał on przywłaszczyć ok. 100 mln dol.
- **Herman Hałuszczenko** – były minister energii, którego nazwisko pojawiało się w kontekście rozmów o obsadzaniu stanowisk i dzieleniu wpływów w Enerhoatomie.
- **Switłana Hryńczuk** – następczyni Hałuszczenki w resorcie energii i, jeśli wierzyć ukraińskim mediom, jego partnerka życiowa.
- **Ołeksij Czernyszow** – były wicepremier, opisywany jako współtwórca schematów korupcyjnych, bezpośrednio związany z realizacją wspomnianego projektu budowy ekskluzywnego osiedla dla wybranych.
- **„Andrij"** – postać, która pojawiła się w nagraniach z podsłuchów prowadzonych przez NABU. Według ukraińskich mediów miał to być Andrij Jermak, szef Biura Prezydenta Ukrainy.
- Tajemniczy **„Wowa"** – jego tożsamość od połowy ubiegłego roku próbują ustalić prowadzący śledztwo funkcjonariusze NABU i prokuratorzy.

W czym rzecz? Na terenie Dynastii powstawały cztery luksusowe wille, dziś w stanie surowym. Ich właścicielami mieli być Ołeksij Czernyszow, Timur Mindicz, Andrij Jermak oraz „Wowa". Działania ukraińskich organów ścigania przerwały ten jakże miło rokujący proceder, a jego uczestnicy mają dziś kłopoty z prawem.

Timur Mindicz zdążył opuścić Ukrainę kilka godzin przed wejściem funkcjonariuszy NABU do jego mieszkania i przez Warszawę udał się do Izraela, którego jest obywatelem.

W listopadzie 2025 r. wobec Ołeksija Czernyszowa sąd zastosował areszt tymczasowy, z możliwością opuszczenia go po zapłaceniu bardzo wysokiej kaucji.

Andrij Jermak stracił stanowisko, a w połowie maja br. usłyszał też zarzut prania pieniędzy oraz udziału w procederze korupcyjnym na kwotę rzędu 460 mln hrywien. Na kilka dni trafił do celi dla VIP-ów, którą opuścił po uiszczeniu przez jego przyjaciół rekordowo wysokiej kaucji – ok. 140 mln hrywien, czyli 2,7 mln euro. Poszukiwania tajemniczego „Wowy" na razie nie dały rezultatu.

Rządy państw zachodnich dobrze znają skalę korupcji w Ukrainie.

Kabareciarze na stanowiska

21 kwietnia 2019 r. w drugiej turze wyborów prezydenckich w Ukrainie Wołodymyr Zełenski pokonał Petra Poroszenkę, zdobywając 73,22% głosów. To nie było zwycięstwo – to była carte blanche, którą Ukraińcy dali człowiekowi obiecującemu im pokój i dobrobyt. Zełenski wykorzystał to do maksimum. Kilka miesięcy później w wyborach do Rady Najwyższej przygniatające zwycięstwo odniosła jego partia Sługa Narodu.

Nowy lider postanowił oprzeć się na ludziach, których znał z firmy i trupy kabaretowej Kwartał 95 – był jej

eprasa.pl 1dd8509f48



Andrij Jermak przed rozprawą w sprawie prania pieniędzy w Kijowie, 12 maja 2026 r.

udziałowcem. Do ukraińskiej polityki trafili m.in.:

• **Serhij Szefir** – współzałożyciel i scenarzysta Kwartału 95, został głównym doradcą Zełenskiego.

• **Iwan Bakanow** – wieloletni menedżer spółki, został najpierw zastępcą szefa Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, a następnie jej szefem.

• **Serhij Trofimow** – producent Kwartału 95, Zełenski mianował go pierwszym zastępcą szefa swojej administracji.

Z listy partii Sługa Narodu do Rady Najwyższej dostał się też aktor Jurij Korjawczenkow, znany jako „Juzik". I niemal natychmiast po objęciu funkcji dał się nagrać, gdy składał propozycję korupcyjną. Oczywiście włos z głowy mu nie spadł. Jurij Kostiuk, scenarzysta Kwartału 95, odpowiedzialny za oprawę medialną kampanii Zełenskiego, został jednym z zastępców szefa administracji prezydenta. Najważniejszy z nich, Timur Mindicz, współwłaściciel studia, producent i partner biznesowy Zełenskiego, został formalnie bez państwowej funkcji. Co w realiach Kijowa, Moskwy czy Mińska nic nie znaczy. O takich jak on mówi się „rieszała" – czyli ktoś, kto rozwiązuje problemy. W tym przypadku na styku dużego biznesu i administracji państwowej. Ma się rozumieć, za bardzo wysokie „prowizje".

A co w tym czasie działo się z Andrijem Jermakiem? Początkowo zadowolił się skromną funkcją prezydenckiego asystenta. Co oznaczało, że podlega tylko Zełenskiemu i wykonuje tylko jego polecenia. Pierwszym szefem Biura Prezydenta Ukrainy został wówczas Andrij Bohdan, prawnik pracujący dla oligarchy Ihora (Beni) Kołomojskiego. Po ośmiu miesiącach współpracy Zełenski zastąpił go Jermakiem, gdyż uznał, że jest skuteczniejszy.

Bohdan nie zapomniał poniżenia i stał się jednym z najsurowszych krytyków prezydenta. Po odejściu z funkcji udzielił kilku głośnych wywiadów, w których oskarżył go o brak profesjonalizmu. Okazał się na tyle uciążliwy, że decyzją Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy został na 10 lat objęty sankcjami, potwierdzonymi dekretem prezydenta. W ich wyniku zablokowano rachunki bankowe Bohdana. Ma on też zakaz dokonywania operacji finansowych i handlowych na terytorium Ukrainy oraz zakaz uczestnictwa w prywatyzacjach i nabywania udziałów w przedsiębiorstwach. Te działania podjęto wobec człowieka, na którym nie ciążą żadne prawomocne wyroki. Europejscy liderzy przymknęli na to oko.

Każdy miał swojego Jermaka

W jednym z wywiadów prezydent Zełenski powiedział, że „odejdzie wraz z Jermakiem". Deklaracja ta dobrze ilustruje relacje łączące go z szefem jego biura. Ten człowiek był mu niezbędny, gdyż każdy ukraiński prezydent miał swojego Jermaka.

Za czasów Leonida Kuczmy takim „silnym człowiekiem" był Wiktor Medwedczuk, który odpowiadał za koncentrację władzy, kontrolę nad mediami oraz aparatem państwowym. Za prezydentury Wiktora Juszczenki rolę tę odgrywał Ołeksandr Zinczenko. U boku Wiktora Janukowycza stał Serhij Lowoczkin. O pozycję Petra Poroszenki dbał zaś Borys Łożkin. Przy czym wszyscy prezydenci musieli się liczyć z potężnymi oligarchami, takimi jak Wiktor Pinczuk, Dmytro Firtasz, Ihor Kołomojski, Rinat Achmetow i jedyna kobieta w tym gronie – Julia Tymoszenko.

Od lutego 2022 r., gdy wojska rosyjskie zaatakowały Ukrainę, Zełenski nie musiał się oglądać na oligarchów. Ci, tracąc majątki w wyniku działań wojennych i wyjeżdżając z Ukrainy do Szwajcarii, Monako, Dubaju czy Wiednia, stracili też polityczne wpływy. Do tego Andrij Jermak idealnie wywiązywał się z funkcji tarana zarówno w Kijowie, jak i w Brukseli, Waszyngtonie czy Berlinie, z jednej strony prezentując nieprzejednane stanowisko w negocjacjach z Rosjanami, z drugiej domagając się – wraz z prezydentem Zełenskim – maksymalnej pomocy ze strony Zachodu, a na dodatek łamiąc ewentualny opór wewnętrznej opozycji.

W latach 2020-2025 właściwie żadna poważna decyzja personalna w kijowskiej administracji nie mogła się obejść bez akceptacji Jermaka. Wyjątkiem były Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy i Specjalna Prokuratura Antykorupcyjna – instytucje powołane na wyraźne życzenie państw zachodnich, pomyślane

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1dd8509f48

jako bariera dla kwitnącej w Kijowie korupcji.

Jermak dobrze wiedział, że jeśli urzędnicy „biorą" i mają świadomość, że ich zwierzchnicy (którzy także „biorą") są w tym doskonale zorientowani, z obawy przed konsekwencjami wykonają każdą decyzję. Nie chodziło o to, że NABU i SAP (bez większego entuzjazmu) ścigały łapówkarzy. Instytucje te, gromadząc informacje o urzędnikach domagających się „prowizji", naruszały monopol Jermaka na silną kontrolę nad nimi. Ograniczały go, aż w końcu sam stał się obiektem ich dochodzenia. On sam nie mógł nic zrobić. Poza tym nikt go nie bronił.

Jermakowi pozostał jednak as w rękawie: dużo wie o kulisach władzy Zełenskiego, o negocjacjach pokojowych z Rosją i relacjach Ukrainy z Zachodem, o tym, jak duża była i dokąd trafiała zachodnia pomoc, w końcu o tym, kto i ile wziął lub ukradł.

Dociskanie Kijowa

Ukraina bez ogromnej pomocy finansowej Zachodu, bez jego wsparcia w postaci amunicji i uzbrojenia dawno musiałaby skapitulować. Sytuacja pogorszyła się, gdy do władzy doszedł Donald Trump. Stany Zjednoczone gotowe były nadal dostarczać Kijowowi uzbrojenie i amunicję, pod warunkiem że państwa europejskie za nią zapłacą. I tak się stało.

Dla Berlina, Londynu i Paryża Jermak jako szef Biura Prezydenta Ukrainy stał się postacią trudną do zaakceptowania. Rządy państw zachodnich dobrze znają skalę korupcji w Ukrainie. Jermak okazał się zbyt mało elastyczny i narobił sobie zbyt wielu wrogów, dlatego musiał odejść. Albo zostać usunięty. Rozstano się z nim bez żalu.

Co innego jego następca – od 2 stycznia 2026 r. – Kyryło Budanow, były szef Głównego Zarządu Wywiadu Ministerstwa Obrony Narodowej (HUR). Bardziej elastyczny, skłonny do rozmów, mający doświadczenie wojskowe.

Dla prezydenta Zełenskiego, który, zręcznie manewrując, wciąż utrzymuje się przy władzy, Andrij Jermak mimo wcześniejszej przyjaźni także stał się zbyt dużym obciążeniem. Lepiej, by pod dozorem elektronicznym siedział w swoim mieszkaniu… i milczał. Czy zostanie skazany? Raczej nie. Ukraiński wymiar sprawiedliwości ma długą historię spraw, które zaczynały się głośno, a kończyły cicho. Człowiek z takimi kontaktami, taką wiedzą i takimi pieniędzmi jak on, ma wiele możliwości.

Historia Andrija Jermaka, dziś podejrzanego o pranie milionów dolarów, jest opowieścią o pokusach władzy. O tym, co się dzieje, gdy człowiek bez demokratycznej legitymacji, bez mandatu wyborczego, bez żadnej odpowiedzialności przed obywatelami dostaje tę władzę, prawie niczym nieograniczoną. Ale i o tym, że nawet w kraju prowadzącym wojnę, nawet pod presją zewnętrzną i wewnętrzną, instytucje mogą tę władzę rozliczyć.

Podejście „kasa wasza będzie nasza" to nie tylko polska specjalność. Wszędzie tam, gdzie brakuje skutecznej kontroli, gdzie nie ma niezależnych instytucji, odważnych dziennikarzy i obywateli gotowych zadawać pytania, zawsze znajdzie się ktoś, kto uzna, że państwowe pieniądze to jego prywatna własność, i zacznie działać zgodnie z zasadą dobrze znaną ogrodnikom: „grabimy zawsze do siebie, nigdy odwrotnie".

Szanse przetrwania Ukrainy są związane z jej skutecznym oporem wobec Rosji. Co zmusza większość europejskich polityków do przymknięcia oka na to, co dzieje się w Kijowie z pieniędzmi zachodnich podatników. Wiadomo, „dla jednych wojna, a dla drugich krowa dojna".

Na razie skandale korupcyjne nie są więc w stanie zmienić nastawienia do prezydenta Zełenskiego i jego ekipy. Przy czym istnieje obawa, że Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy może się dokopać jeszcze bardziej kompromitujących materiałów, a korupcja na szczeblu rządowym, w najbliższym otoczeniu prezydenta i w Radzie Najwyższej wymknie się spod kontroli. Groziłoby to wybuchem buntu społecznego w Kijowie albo utratą zaufania zachodnich społeczeństw do Ukrainy. Co mogłoby oznaczać klęskę w wojnie z Rosją.

Paradoksalnie skandal korupcyjny, w który zamieszany jest Andrij Jermak, dowiódł, że prezydent Wołodymyr Zełenski nadal jest dla europejskich stolic gwarantem stabilności w tej części świata. Jak powiadają, „skorumpowany, ale przewidywalny"...

A w Kijowie trwają poszukiwania „Wowy" z taśm NABU...

Marek Czarkowski



eprasa.pl 1dd8509f48



18. edycja INCYBER Forum w Lille, odbywająca się od 31 marca do 2 kwietnia br., poświęcona była uniezależnieniu państw europejskich od gigantów cyfrowych.

Paryż chce wyższych podatków od big techów

W Unii Europejskiej to Francja najkonsekwentniej ogranicza zależność od obcych dostawców technologicznych

Sarah Bomba
Korespondencja z Francji

Suwerenność cyfrowa to jeden z filarów niezależności. Na tegorocznym kwietniowym INCYBER Forum Europe w Lille europejska debata o cyberbezpieczeństwie wybrzmiała szczególnie mocno. Temat ten coraz bardziej wykracza poza kwestie techniczne, stając się sporem o polityczną i gospodarczą niezależność państw od globalnych koncernów technologicznych.

Pracując, komunikując się czy robiąc zakupy, korzystamy w większości z usług amerykańskich spółek, takich jak Amazon, Meta (Facebook i Instagram), Microsoft, Google i OpenAI (ChatGPT). Ich europejskie odpowiedniki nie wydają się nam z jakiegoś powodu atrakcyjne.

Co z ciągłością działania państwa?

Gwałtowny rozwój sztucznej inteligencji, platform cyfrowych i usług w chmurze sprawił, że państwa europejskie coraz mocniej uzależniały funkcjonowanie własnej administracji od infrastruktury należącej głównie do amerykańskich gigantów technologicznych. Coraz częściej alarmuje się o związanych z tym zagrożeniach. Przedstawiciele francuskiego ministerstwa spraw wewnętrznych podkreślali w Lille, że obecnie stawką jest już nie tylko ochrona przed cyberatakami, ale wręcz „ciągłość działania państwa".

Francja intensywnie inwestuje w rozwiązania określane jako suwerenne: krajowe usługi w chmurze i własne systemy komunikacji administracyjnej, a także w szkolenia dla samorządów z zakresu cyberbezpieczeństwa. To reakcja na rosnącą świadomość, że kontrola nad danymi oraz infrastrukturą cyfrową staje się dziś strategicznie ważna, na równi z kontrolą nad energetyką i sektorem obronnym. Cyfrowe uzależnienie od USA w sytuacji presji politycznej może się skończyć odłączeniem części lub nawet wszystkich

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1dd8509f48

usług cyfrowych, których Europa sama zaspokoić nie zdoła (pisał o tym Kornel Wawrzyniak, nr 17/2026).

Decyzję o tym, że francuska żandarmeria będzie pracować na Linuksie, podjęto już kilkanaście lat temu, początkowo z powodów pragmatycznych – by ograniczyć koszty licencji i zwiększyć elastyczność infrastruktury informatycznej. Z czasem jednak przeważyła chęć uniezależnienia się od amerykańskiego dostawcy. Żandarmeria Narodowa stopniowo zastępowała więc Microsoft Office pakietem OpenOffice, a następnie na dziesiątkach tysięcy komputerów wdrożyła własną wersję Ubuntu (systemu operacyjnego Linuksa), tzw. GendBuntu. Pozwoliło to zaoszczędzić ponad 50 mln euro i zwiększyć kontrolę państwa nad systemem informatycznym.

Francja, z coraz wyższym opodatkowaniem amerykańskich gigantów oraz gotowością inwestowania w europejskie cyfrowe odpowiedniki, wydaje się najbardziej konsekwentnym państwem Unii, jeśli chodzi o próby ograniczania zależności od obcych dostawców technologicznych. Procesowi temu towarzyszą jednak silne napięcia, również na wewnętrznej scenie politycznej. Lewica akcentuje kwestie sprawiedliwości podatkowej i ochrony usług publicznych, część prawicy mówi o bezpieczeństwie narodowym i strategicznej autonomii (obydwa obozy w gruncie rzeczy zgadzają się co do konieczności ograniczania obcych technologii), z kolei lobby technologiczne oraz część środowisk biznesowych ostrzega przed konfliktem z USA i osłabieniem konkurencyjności europejskich gospodarek.

Na francuski spór nakłada się presja Brukseli, która z jednej strony chce regulować funkcjonowanie cyfrowych gigantów, z drugiej – utrzymać dobre relacje handlowe z Waszyngtonem. W tym kontekście coraz częściej wraca sprawa optymalnego opodatkowania big techów. Europejskie rządy dostrzegają bowiem, że amerykańskie platformy cyfrowe nie tylko osiągają dzięki działalności na europejskim rynku ogromne zyski, ale też mają silniejszą pozycję ekonomiczną niż niejedno państwo narodowe.

Debata o podatku cyfrowym nie dotyczy więc wyłącznie sprawiedliwości fiskalnej i ograniczenia transferu zysków do rajów podatkowych. Staje się próbą odzyskania części kontroli nad gospodarką cyfrową, w której dziś zaledwie kilka globalnych korporacji decyduje o przepływie danych, informacji i kapitału.

Kapitulacja podatkowa przed USA

We Francji podatek cyfrowy stał się częścią szerszej polityki wobec globalnych koncernów technologicznych. Już w 2019 r. Paryż wprowadził trzyprocentowy podatek od usług cyfrowych dla takich firm jak Google, Apple, Meta i Amazon, a obecnie próbuje go podnieść. Parlament zdecydował się go podwoić, ponieważ uznał, że istniejący system podatkowy jest całkowicie niedostosowany do rozmiaru cyfrowej i ekonomicznej ekspansji big techów. Google, Amazon, Facebook czy Apple od lat generowały i generują na rynku francuskim ogromne przychody, jednak ich zyski są transferowane do rajów podatkowych, w wyniku czego Francja niemal zupełnie na nich nie zarabia. Dlatego na etapie prac komisji finansów, ekonomii i kontroli budżetowej pojawiły się propozycje nawet pięciokrotnego podniesienia podatku. Ostatecznie wycofano się z nich – jednak nie z powodów ekonomicznych, lecz politycznych.

To pokazuje, jak ogromna presja wywierana jest przez lobbystów amerykańskich na polityków. Minister gospodarki i finansów Roland Lescure na portalu LCP Assemblée Nationale wprost stwierdził, że zbyt wysokie opodatkowanie GAFAM (Google, Apple, Facebook, Amazon, Microsoft) może się spotkać z bezpośrednim odwetem ze strony Donalda Trumpa. Debata parlamentarna przestaje zatem być dyskusją o sprawiedliwości podatkowej, stając się kalkulacją ryzyka politycznego.

Ostatecznie w październiku 2025 r. przyjęto kompromis – wprowadzono poprawkę do budżetu na 2026 r. ustalającą podatek w wysokości 6% zamiast 15%. Ten ograniczony wariant też był jednak kalibrowany pod kątem możliwych reperkusji.

Początkowo miał objąć wszystkie grupy technologiczne osiągające co najmniej 750 mln euro globalnych przychodów rocznie oraz minimum 25 mln euro przychodów we Francji. W projekcie reformy z 2025 r. próg globalnych przychodów podniesiono jednak do 2 mld euro. Oznacza to, że podatek dotyczyć może tylko największych światowych koncernów technologicznych (poprawkę nr 1746 złożyła w tej sprawie senator Nadège Havet). Podatek ma objąć kluczowe segmenty gospodarki cyfrowej: reklamę targetowaną, handel danymi użytkowników oraz działalność platform pośredniczących (np. Booking.com, Airbnb, Amazon).

Wysokość wpływów z tego instrumentu podatkowego szacuje się na ok. 800 mln euro rocznie – mają pochodzić głównie od amerykańskich big techów. W skali budżetu państwa ma to znaczenie bardziej symboliczne niż strukturalne. Natomiast polityczna waga tego przedsięwzięcia, jeśli poprawka wejdzie w życie, będzie nieporównywalnie większa.

Debata wokół tej regulacji ujawniła głębokie podziały w parlamencie. Lewica otwarcie mówi o kapitulacji pod presją Stanów Zjednoczonych. Wskazuje, że strach przed reakcją Waszyngtonu coraz częściej paraliżuje europejską suwerenność legislacyjną. Z kolei część prawicy argumentuje, że zbyt agresywna polityka wobec amerykańskich firm mogłaby uderzyć we francuski eksport, zwłaszcza w sektor

Francuski parlament zdecydował się podwoić podatek cyfrowy, bo system podatkowy jest niedostosowany do rozmiaru ekspansji amerykańskiego hegemona.

eprasa.pl 1dd8509f48

dóbr luksusowych i win, szczególnie wrażliwy na ewentualne wojny handlowe. Oznacza to, że nawet tak ograniczona próba opodatkowania globalnych gigantów technologicznych odbywa się dziś za akceptacją USA. Suwerenność fiskalna państwa, przynajmniej w zakresie gospodarki cyfrowej, staje się coraz bardziej względna, przepisy są uzależnione nie od decyzji parlamentu, lecz od reakcji zewnętrznej, prywatnej siły.

Na tę debatę warto też spojrzeć szerzej – w kontekście europejskich prób opodatkowania gospodarki cyfrowej. Te od lat napotykają strukturalny opór. Francuski podatek cyfrowy z 2019 r. był jednym z pierwszych tego typu jednostronnych rozwiązań w UE i od początku traktowano go jako tymczasowy, póki nie zostanie wypracowane globalne porozumienie w ramach OECD dotyczące opodatkowania wielkich korporacji.

Ale międzynarodowe negocjacje od lat grzęzną, przede wszystkim wobec sprzeciwu Stanów Zjednoczonych. Problemem pozostaje również agresywna optymalizacja podatkowa GAFAM, które rozliczają się w Irlandii czy w Luksemburgu (gdzie podatki są niższe), unikając płacenia stawek podatkowych obowiązujących w innych częściach Europy.

Ewolucja społeczna przedsiębiorstw

Dzisiaj, kiedy na rynkach funkcjonują firmy, których kapitał przekracza PKB niektórych państw, o zasadach funkcjonowania społeczeństw coraz częściej będą decydować interesy wielkich inwestorów i korporacji, a nie demokratycznie ustalone reguły czy interes obywateli. Jeśli takie osoby jak Mark Zuckerberg, Elon Musk czy Jeff Bezos oddałyby chociaż 10% zysków firm państwom, w których są aktywne, w dużym stopniu mogłoby to załatać dziury budżetowe tych krajów. A jednak coraz częściej usprawiedliwia się unikanie płacenia podatków, podążając za wizją liberalizmu w wydaniu amerykańskim. Także w niektórych państwach europejskich coraz więcej osób domaga się zmniejszenia lub częściowego zniesienia podatków. Co ciekawe, pomysły te wychodzą od osób nieposiadających kapitału, ale broniących wielkich koncernów w imię dziwacznie pojętej wolności.

W obliczu tych przemian Francja obiera kierunek bardziej radykalny, chociaż i we francuskim społeczeństwie wzrost tendencji liberalnych jest mocno odczuwalny. Jeśli wierzyć styczniowym wynikom badania „L'Observatoire des marques dans la Cité" („Obserwatorium marek w społeczeństwie") przeprowadzanego cyklicznie przez agencję Havas Paris, we Francji rośnie przekonanie, że przedsiębiorstwa powinny przejmować część ról tradycyjnie przypisywanych państwu. Część społeczeństwa uważa dziś duże firmy za skuteczniejsze od państwa, np. w rozwiązywaniu niektórych problemów społecznych. Na przykład 66% ankietowanych jest zdania, że przedsiębiorstwa lepiej sobie radzą z walką z bezrobociem, a 62% sądzi, że skuteczniej wspierają integrację młodych ludzi, oferując im zatrudnienie.

Jednocześnie, jak wskazuje badanie, firmy zyskują status aktorów politycznych i moralnych – aż 86% ankietowanych uważa, że mogą być i dochodowe, i etyczne. Jednak mimo rosnącego wpływu dużych firm to państwo jest uważane za głównego i najbardziej uprawnionego decydenta w kluczowych obszarach życia społecznego, takich jak edukacja, integracja społeczna czy obrona zasad republikańskich. Oznacza to, że respondenci wprawdzie dostrzegają skuteczność działań przedsiębiorstw w niektórych kwestiach gospodarczych, ale nie są gotowi całkowicie zastąpić nimi instytucji publicznych. I nie chodzi tu o proste zastąpienie – raczej o stopniowe przesunięcie oczekiwań społecznych: przedsiębiorstwa coraz częściej są postrzegane jako współodpowiedzialne za rozwiązywanie problemów publicznych i aby przetrwać – muszą oferować realne korzyści nie tylko ekonomiczne, ale też społeczne.

Sarah Bomba

Opodatkowanie big techów to próba odzyskania części kontroli nad gospodarką cyfrową, w której kilka korporacji decyduje o przepływie danych, informacji i kapitału.

„PRZEGLĄD" POLECA



Marek Kłoczko
Autobiografia
Czy tortury mogą być użyteczne?
Abraxas, Warszawa 2026

„Autobiografia" Marka Kłoczki, człowieka, który przez dekady znajdował się w samym centrum kluczowych procesów politycznych i gospodarczych – to osobista opowieść o doświadczeniu, wpływie i decyzjach, które kształtowały współczesną rzeczywistość. Od 2013 r. był wiceprezesem i dyrektorem generalnym Krajowej Izby Gospodarczej, a od 2021 r. jest jej prezesem. Autor ujawnia mechanizmy, rozmowy i zdarzenia, które na co dzień pozostają w wąskim kręgu decydentów i poza zasięgiem opinii publicznej. Jak naprawdę wygląda polityka od kulis? Co czuł tłumacz siedzący między Jaruzelskim a Kádárem w czasie rozmów w cztery oczy i jakie lekcje płyną ze spotkań z ludźmi, którzy kształtowali losy świata?

Kto podejmuje decyzje, które zmieniają bieg historii? Jak rodziła się nowa rzeczywistość po 1989 r. i jakie mechanizmy działały za zamkniętymi drzwiami? Czy tortury mogą być użyteczne? Czy wielkie wydarzenia, takie jak brexit, były tylko efektem przypadku, czy czyichś zakulisowych działań?

eprasa.pl 1dd8509f48

MEKSYK MIĘDZY NADZIEJĄ A PRZEMOCĄ

Żyjemy tu z dnia na dzień, nie wiedząc, czy nadejdzie jutro

Rozmawia Agnieszka Zakrzewicz

Skąd wzięła się fascynacja Meksykiem?

– Zanim zrodzi się fascynacja, najpierw pojawia się poznanie. Prawdziwe poznanie rodzi się w rzeczywistości spotkania i jest procesem wpisanym w czas. Moja fascynacja Meksykiem narodziła się ponad 20 lat temu i trwa do dzisiaj. Nie jest to jedynie zachwyt nad fizycznym miejscem, ale także fascynacja człowiekiem, historią i kulturą. We wstępie do książki „Drogi i bezdroża Meksyku" (Bernardinum, Pelplin 2020) zapisałem takie przemyślenie: „Meksyk oszałamia, zachwyca, przyciąga. Przebywając na ziemi meksykańskiej, nigdy nie czułem się tam turystą. Od samego początku czuję się obywatelem Meksyku, który dla mnie jest nie tylko konkretnym miejscem na ziemi, ale stanem duszy. Rzeczywistością, która przenika mnie do głębi. To miejsca wybierają ciebie, wpisują się i dopasowują do człowieka. Czasami pozwalają myśleć, że to nasza inicjatywa. Ale to nieprawda".

Jacy są Meksykanie? Czym się różnią od Polaków, a w czym jesteśmy podobni?

– Trudno porównywać dwie odmienne rzeczywistości, które różnią kultura, historia, a także mentalność ludzi. Można doszukiwać się różnic i podobieństw, ale zawsze będzie to w pewnym stopniu nieprecyzyjne, subiektywne i w konsekwencji nie do końca prawdziwe. Mogę powiedzieć jedynie, co urzekło mnie w ludziach, których poznałem. To ich otwartość, życzliwość, prostota oraz niezwykła



Ks. TOMASZ JAN CHLEBOWSKI

– duchowny, teolog, misjonarz, autor literatury podróżniczej i reportaży, członek Związku Pisarzy Katolickich, autor m.in. „Dróg i bezdroży Meksyku" oraz „Horyzontów spotkań Ryszarda Kapuścińskiego".

wola walki o każdy kolejny dzień. Spotkałem tu wiele dobra. Ludzie, którzy sami mają niewiele, potrafią bezinteresownie wspierać się nawzajem.

Ciekawe, że kiedyś funkcjonowało w Polsce żartobliwe powiedzenie, że Polska jest „Meksykiem Europy". Być może dlatego, że w innych krajach europejskich Polacy często postrzegani są – podobnie jak Meksykanie w Ameryce – jako osoby marudne, a jednocześnie gościnne, lojalne i zdolne do budowania głębokich relacji międzyludzkich.

Dziś Meksyk uchodzi za kraj niebezpieczny, m.in. z powodu działalności karteli narkotykowych.

– Aktualna sytuacja Meksyku jest wynikiem wielu lat zaniedbań w kwestii bezpieczeństwa obywateli. Podejmowane przez kolejnych prezydentów próby układania się z przestępcami, rozmowy i pakty zawierane z grupami kryminalnymi oraz ustępstwa, które miały zapewnić pewną formę kontroli i względnie stabilny pokój wewnątrz państwa, całkowicie wymknęły się spod kontroli. Przykładem może być projekt „Abrazos, no balazos" („Uściski, a nie strzały"), zaproponowany za rządów Andrésa Manuela Lópeza Obradora. Nie tylko nie przyniósł on poprawy sytuacji, ale pozostawił po sobie ogromny wzrost liczby ofiar oraz rozszerzenie się przemocy na cały kraj.

Czy zwykli ludzie żyją w poczuciu zagrożenia?

– Przez ostatnie 20 lat przemoc zaczęła nie tylko się rozszerzać, ale również przybierać formy wręcz ekstremalne. Dodatkowo wspomagają ją nowe technologie, m.in. drony. Na porządku dziennym są zastraszenia, groźby, kradzieże, publiczne egzekucje i napaści połączone z licznymi morderstwami czy porwania dla okupu. Giną ludzie, a dzieci bywają sprzedawane w ramach handlu organami. Porachunki grup przestępczych pociągają za sobą także przypadkowe ofiary. Młodzież, a nawet dzieci, są zmuszane i szkolone do zabijania jako tzw. *sicarios*.

Ludzkie zwłoki zapakowane w czarne worki na śmieci, porzucane przy drogach, są zjawiskiem bardzo powszechnym w okolicy, gdzie żyję. Czasami tym drastycznym pakunkom towarzyszą tzw. *narcomantas* – groźby ręcznie wypisywane na kartonach,

eprasa.pl 1dd8509f48



Demonstracja w Międzynarodowym Dniu Ofiar Wymuszonych Zaginięć. Puebla, 30 sierpnia 2024 r.

kierowane przeciwko konkretnym osobom, władzom lub konkurencyjnym grupom przestępczym, mające na celu zastraszenie.

Oczywiście sytuacja różni się w zależności od regionu. Te miejsca, które mają znaczenie strategiczne albo są bogatsze ekonomicznie, stały się terenami walk karteli i licznych grup przestępczości zorganizowanej. Wraz z nimi przyszły przemoc i śmierć. Mówimy jednak przede wszystkim o skali nasilania się przemocy, ponieważ praktycznie każdy stan Meksyku jest nią w mniejszym lub większym stopniu dotknięty. Nic więc dziwnego, że ludzie żyją tu w realnym i nieustannym poczuciu zagrożenia życia.

Jak wygląda życie codzienne?

– Mieszkam w jednym z najbardziej niebezpiecznych stanów – Morelos. Trudno w kilku zdaniach opowiedzieć o panującej tutaj sytuacji. Poznałem wiele historii ludzkich tragedii. Właściwie w niemal każdej meksykańskiej rodzinie ktoś cierpi z powodu przemocy albo śmierci bliskich. Po godz. 21 ulice pustoszeją. Życie zamiera. Zaczyna dominować śmierć. Każdego dnia pojawiają się kolejne ofiary. Zabójcy pozostają nieznani i… najczęściej nie są poszukiwani.

Podobnie jest ze złodziejami, którzy z bronią w ręku napadają nie tylko na domy mieszkalne, ale także na apteki, banki, sklepy, restauracje, a nawet supermarkety, i to w biały dzień. Nasze niewielkie centrum pastoralne zostało okradzione trzy razy. Na początku tego roku włamano się również do kościoła i skradziono wszystkie środki pieniężne. Problem polega na tym, że państwo nie chroni obywateli. Trudno więc czuć się bezpiecznie.

Tak naprawdę żyjemy tu z dnia na dzień, nie wiedząc, czy nadejdzie jutro, a mimo wszystko życie toczy się swoim rytmem. Ważne, aby zmierzało we właściwym kierunku i było zanurzone w nadziei, że ostatecznie zwycięża dobro, a nie otaczające nas zło.

Kim są tzw. matki poszukiwaczki? Dlaczego jest ich tak wiele i czym się zajmują?

– Według danych z marca tego roku w Meksyku od 2006 do 2026 r. oficjalnie zarejestrowano ok. 130 tys. osób zaginionych i nieodnalezionych. Liczba ta systematycznie rośnie. Każdego dnia w Meksyku dochodzi do porwań i zabójstw 10-13 osób. Instytucje odpowiedzialne za poszukiwanie zaginionych bardzo często nie podejmują skutecznych działań lub nie są w stanie sprostać skali problemu. Nic więc dziwnego, że zrozpaczone rodziny zaczęły organizować się samodzielnie i na własną rękę prowadzić poszukiwania. Wiąże się to z realnym ryzykiem utraty życia. Grupy te nazywane są potocznie *Madres buscadoras* – matkami poszukiwaczkami. To przede wszystkim matki – choć nie tylko one – które po prostu chcą wiedzieć, co się stało z ich bliskimi i gdzie oni się znajdują.

Co robią?

– Bazując na odkrywanych zbiorowych mogiłach, dołach ze zwłokami lub ludzkimi kośćmi, próbują odnaleźć choćby szczątki swoich krewnych. Według tych grup w Meksyku znajduje się ponad 52 tys. niezidentyfikowanych ludzkich szczątków. Matki poszukiwaczki otwarcie apelują do władz o pomoc, organizują protesty i różnego rodzaju akcje społeczne. Niestety, w praktyce często pozostają zdane wyłącznie na siebie.

Trudno nie podziwiać ich determinacji, odwagi i wytrwałości. Kobiety te poszukują nie tylko synów i krewnych porwanych przez grupy przestępcze, ale również prawdy i sprawiedliwości. Właśnie dlatego stają się niewygodne dla sprawców, jak i dla władz państwowych. Co prawda, w Meksyku istnieją instytucje odpowiedzialne za poszukiwanie zaginionych, takie jak Comisión Nacional de Búsqueda de Personas, jednak w opinii wielu rodzin nie spełniają one swojej funkcji w wystarczającym stopniu.

Mieszkam w jednym z najbardziej niebezpiecznych stanów – Morelos. W niemal każdej rodzinie ktoś cierpi z powodu przemocy albo śmierci bliskich.

Czy Kościół w Meksyku ma dziś realny wpływ na walkę z przemocą, ubóstwem i nierównościami społecznymi?

– Kościół od zawsze stawał w obronie pokrzywdzonych. Czynił to jednak z rozwagą i troską o dobro ludzi – nie angażując się bezpośrednio w politykę, lecz stojąc na straży praw człowieka. W Meksyku Kościół bardzo mocno angażuje się w pomoc ubogim, których tu nie brakuje. W mojej wspólnocie każdego miesiąca rozdajemy potrzebującym paczki żywnościowe. W wielu dramatycznych

eprasa.pl 1dd8509f48

sytuacjach ludzie otrzymują też pocieszenie duchowe, pomoc, radę oraz konkretne formy wsparcia, m.in. dzięki współpracy z zaprzyjaźnionymi lekarzami czy prawnikami.

Pokój i sprawiedliwość – także społeczna – są jednym z podstawowych zadań Kościoła, niezależnie od miejsca na świecie. W Meksyku stają się pragnieniem ogromnej części społeczeństwa. Dlatego tutejszy Kościół, tworzony przecież przez konkretnych ludzi, jest wspólnotą walczącą o dobro i pokój. Walczy wszystkimi środkami zgodnymi z duchem Ewangelii. Wiele osób związanych z Kościołem, w tym księży, zapłaciło życiem za obronę lokalnych społeczności.

Czy księża stali się celem?

– Księża w Meksyku często stają się celem, ponieważ działają jako głosy sprzeciwu wobec kontroli sprawowanej przez grupy przestępcze w ich parafiach. W ostatnich latach kartele zamordowały ponad 50 księży. Znanym przypadkiem jest zamordowanie dwóch jezuitów, Javiera Camposa Moralesa i Joaquína Césara Mory Salazara, w kościele w Chihuahua w 2022 r., gdy próbowali chronić osobę ściganą przez bandytów.



Krewni zaginionych oraz członkowie Narodowej Komisji Poszukiwań i Gwardii Narodowej prowadzą poszukiwania szczątków w Morelos, 9 grudnia 2022 r.

Bywa, że księża za otwartą krytykę morderstw i grup przestępczych otrzymują pogróżki i wyroki ze strony karteli. Wielu temu nie ulega, ryzykując życie. Stają się głosem ludzi, których reprezentują, a którzy w milczeniu cierpią. Ta cisza to krzyk o pokój. Nie można trwać w milczeniu, gdy obok cierpią niewinni. Ktoś musi się stać głosem uciśnionych wobec świata. Takim człowiekiem był ks. Marcelo Pérez Pérez, znany w Chiapas obrońca praw człowieka, którego zastrzelono w październiku 2024 r.

Co robi wasza diecezja?

– Takim krzykiem Kościoła o pokój, bezpieczeństwo i sprawiedliwość, a zarazem znakiem solidarności z pokrzywdzonymi, są w naszej diecezji Cuernavaca Marsze o Pokój (Caminatas por la Paz), które każdego roku gromadzą dziesiątki tysięcy ludzi. Ta symboliczna manifestacja przechodzi od sanktuarium maryjnego w Tlaltenango przez centrum miasta aż do katedry. W tym roku odbędzie się już 12. edycja tej inicjatywy, której przewodniczy bp Ramón Castro Castro. Jako przewodniczący Episkopatu Meksykańskiego (CEM) wielokrotnie apelował on do władz w sprawie pokoju. Otwarcie krytykuje zbrodniczą działalność narkokarteli. Jest prawdziwym obrońcą bezpieczeństwa mieszkańców zarówno stanu Morelos, jak i całego kraju. Regularnie publikuje wideoprzesłania z prośbą o modlitwę w intencji pokoju, zabiera głos w obronie życia i odnosi się do najważniejszych problemów społecznych. Wzywa do odpowiedzialności za budowanie nowej przyszłości – opartej nie na przemocy i korupcji, lecz na pokoju i sprawiedliwości.

W Meksyku od 2006 do 2026 r. oficjalnie zarejestrowano ok. 130 tys. osób zaginionych i nieodnalezionych. Liczba ta systematycznie rośnie.

Jak wygląda religijność w Meksyku?

– Religijność wiąże się z historią, kulturą i mentalnością ludzi, którzy w danym miejscu i czasie odpowiadają w praktyce swojego życia na naturalną potrzebę wierzenia w Boga lub bóstwa. Religijność nie jest tym samym, co wiara. Ktoś może być bardzo religijny i paradoksalnie nie mieć w sobie wiary. Taką postawę można zaobserwować wszędzie.

Religijność dzisiejszych Meksykanów, zwłaszcza potomków tutejszych Indian, zawiera w sobie synkretyzm, który można zdefiniować jako proces łączenia czasem skrajnych poglądów, wierzeń oraz praktyk religijnych w nową, spójną całość. W Meksyku religijność jest pewną wypadkową autochtonicznej wiary przodków oraz chrześcijaństwa przybyłego wraz z hiszpańskimi konkwistadorami.

Czy jest ona silniejsza niż w dzisiejszej Europie?

– Myślę, że tak. W Europie coraz więcej państw się laicyzuje. Dostrzec można obojętność, a nawet pogardę dla ludzi praktykujących jakąś religię. W Meksyku religijność jest czymś naturalnym, chociaż oficjalnie Meksyk ma w konstytucji zapisane, że jest krajem laickim. Nie ma żadnego konkordatu z Watykanem. To jednak nie przeszkadza katolikom praktykować wiary. Na ziemi meksykańskiej żyje jedna z największych populacji katolików na świecie, według statystyk z 2020 r. sięgająca ponad 97 mln wierzących. Istnieją tu również grupy protestantów, wspólnoty żydowskie, mormonów czy sekty świadków Jehowy. Ateistów lub osób niewyznających żadnej religii jest zaledwie 8%.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, ABACA/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1dd8509f48

Czym jest *juramento*?

– Spożycie alkoholu w Meksyku niestety jest bardzo wysokie. Często wynika z trudnej sytuacji społecznej i bywa formą ucieczki od codzienności. Z czasem prowadzi jednak do przemocy, rozpadu rodzin bądź przestępczości. Alkohol jest mocno obecny w kulturze fiest, a najpopularniejszym trunkiem pozostaje piwo. Statystyki są alarmujące. Po alkohol sięga też wielu nastolatków. Działają tu kluby anonimowych alkoholików i centra pomocy uzależnionym. Za nie jednak trzeba płacić. Bywa, że całe rodziny organizują składkę, by wyciągnąć krewnego z nałogu. Wiele razy odwiedzałem takie ośrodki, proszony przez rodziny osób tam przebywających. Bardzo często współwystępuje uzależnienie od narkotyków, które, choć nielegalne, są łatwo dostępne. Niektórzy widzą ostatnią deskę ratunku w przysiędze składanej przed Bogiem – czyli *juramento*.

Jak ona wygląda?

– To uroczysta deklaracja abstynencji od alkoholu czy narkotyków na określony czas. Niekiedy jest aktem desperacji lub przymusu rodziny, a czasem to zwykła potrzeba dodatkowej motywacji do walki z nałogiem.

Istnieje przekonanie, że kiedy złamie się przysięgę, na składającego ją spadną jakieś nieszczęścia albo przekleństwo. To nie wymysł Kościoła, lecz mechanizm presji psychologicznej.

Czy praktyka *juramento* jest akceptowana przez Kościół meksykański?

– Tak, jako forma pomocy uzależnionym oraz okazja do spotkania osób potrzebujących, wysłuchania ich, czasami wyspowiadania. Przysięgę można złożyć w każdym kościele. Przy bazylice w Guadalupe zbudowano nawet Kaplicę Przysiąg.

Jakiego Meksyku nie znają turyści?

– Turyści odwiedzający Meksyk zazwyczaj poznają jedynie najbardziej znane miejsca: Bazylikę Matki Bożej z Guadalupe, plaże Jukatanu, Cancún czy dawne miasta Majów, takie jak Tulum i Chichén Itzá. Ich pobyt koncentruje się na wypoczynku, dlatego trudno im się zetknąć z prawdziwym życiem Meksyku. Zdjęcie na tle piramidy, kieliszek tequili czy kilka tacos nie oznaczają jeszcze poznania tego kraju, który jest ogromny i niezwykle zróżnicowany kulturowo oraz geograficznie. Aby naprawdę poznać Meksyk, trzeba zejść z turystycznych szlaków, zbliżyć się do ludzi i ich codzienności. Ja poznawałem ten kraj, podróżując z plecakiem, rozmawiając z mieszkańcami i uczestnicząc w ich życiu. To właśnie z tych doświadczeń powstała książka „Drogi i bezdroża Meksyku". Dziś jednak takie wyprawy byłyby ryzykowne z powodu przestępczości.

Co w Meksyku najbardziej zaskakuje?

– Meksyk nieustannie zaskakuje innością. To kraj pełen kontrastów, który czasem fascynuje, a czasem budzi niepokój. Jedno jest pewne – każdy, kto tutaj przyjedzie, odkryje coś, czego się nie spodziewał.

Gdyby opisać Meksyk jednym zdaniem, to jak?

– Meksyk to rzeczywistość, w której ja czuję się wolny i szczęśliwy, z jego mieszkańcami, kolorami i zadziwieniami.

Agnieszka Zakrzewicz



eprasa.pl 1dd8509f48

Republika ludzi młodych

Losy małych Polaków deportowanych do ZSRR

Bernadetta Darska

Polskie domy dziecka powstają na terenie całego Związku Radzieckiego. W książce Tadeusza Bugaja „Dzieci polskie w ZSRR i ich repatriacja 1939-1952" zamieszczono mapkę przedstawiającą poszczególne placówki opiekuńcze. Dotyczy ona co prawda tych instytucji, które zostały objęte procesem repatriacyjnym w okresie od maja 1945 do sierpnia 1946, jednak dobrze obrazuje, w jak wielu miejscach znajdowali się młodzi Polacy. Najwięcej było ich na terenie Rosji, dużo w Kazachstanie i Uzbekistanie, mniej w Ukrainie, Białorusi, Kirgizji czy Litwie.

W wakacje 1944 r. powstaje Polski Obwodowy Dom Dziecka w Monetnej koło Swierdłowska na Uralu. Nie wszyscy podopieczni są sierotami.

W wakacje 1944 r. powstaje Polski Obwodowy Dom Dziecka w Monetnej koło Swierdłowska na Uralu. Nie wszyscy podopieczni są sierotami, czasami ich rodzice znajdują się w odległych miejscach lub nie wiadomo, czy jeszcze żyją. Zdarza się, że ojcowie poszli do wojska. Wiele osób ma za sobą szkołę przyspieszonego dojrzewania. Dzieci pracują ponad siły, głodują, patrzą na śmierć bliskich. Tracą nadzieję na lepsze jutro. Zanim trafią do placówki opiekuńczej, często tułają się, śpiąc byle gdzie i ciesząc się, że udało się przeżyć kolejny dzień. (...)

Marynarka

Janina Małecka, z domu Piwowarczyk, wspomina o swoim podekscytowaniu związanym z pojawieniem się dyrektora polskiego domu dziecka z Monetnej. Można by pokusić się o stwierdzenie, że to jedno z ważniejszych wydarzeń w biografii kobiety. Mimo upływu czasu nie ulegnie zapomnieniu ani rozmyciu. Wręcz przeciwnie, okaże się jednym z najbardziej wyrazistych wspomnień. Historia ta jako istotny moment zwrotny będzie nieraz powracała w rozmowach i prawdopodobnie również często w myślach. Oto dzięki temu spotkaniu życie pozostawionych samym sobie i doświadczonych przez los dzieci nabiera sensu i zyskuje znaczącą zmianę jakościową: wreszcie można myśleć o przyszłości.

Małecka opowiada Joannie Wańkowskiej-Sobiesiak o swoim wcześniejszym rozczarowaniu związanym z pozostaniem na terenie Związku Radzieckiego. Trudne przeżycia z powodu obecnych wokół cierpienia, smutku i śmierci nie dawały właściwie żadnej nadziei. W przywoływanych przez kobietę obrazach pojawiają się umierający ludzie: „W każdej rodzinie było po troje, czworo dzieci. Ale była rodzina, nazywali się Czajki, w której było dziesięcioro dzieci: ośmioro z nich umarło i rodzice też. Został Franek i malutka Kasia, która nie miała jeszcze wtedy trzech lat. Jeszcze nie chodziła, bo miała bardzo zaawansowaną krzywicę. Oni z nami potem trafili do polskiego domu dziecka. Ludzie umierali zwłaszcza na wiosnę i to tylu, że z sześciu baraków ludzi pozostały tylko dwa, do których przenosili się ci, którzy jeszcze żyli. Wszyscy puchli, ciało robiło się nalane wodą".

Śmierć nie omija również matki Janiny Piwowarczyk. Głód jest wyjątkowo okrutny, nie zna litości i każdego może wybrać na swoją ofiarę. Kobieta wspomina: „Mama zmarła, mając 36 lat. Była ładną kobietą, a pod koniec życia został z niej szkielet: uda grubości ręki. Jedliśmy korę, a na wiosnę wykopywaliśmy ziemniaki zgniłe w polu, mama gotowała z nich tak zwaną pochlopkę". Janina zostaje tylko z bratem. Przez ponad pół roku – od końca 1943 do wakacji 1944 – ich życie naznaczone było przypadkowością: „Nie mieliśmy co ze sobą zrobić, nikt się nami nie zajmował. Chodziliśmy do ludzi, żeby przenocować".

Informacja o planowanym wyjeździe do Polski, która dociera do Piwowarczyków, zostaje przyjęta z niedowierzaniem, radością i nadzieją. Dzieci idą 20 km na stację. Janina troszczy się o młodszego brata. Po drodze musi pozbyć się tego, co ze sobą zabrała – koca, poduszki, ubrań, bo nie daje rady nieść bagażu. Zachowuje to, co może być środkiem płatniczym: „Zatrzymałam tylko woreczek z sucharami, które mama nasuszyła na czarną godzinę. Brat już nie mógł iść. Napotkanej Rosjance zaproponowałam te sucharki za doniesienie brata do stacji. Wzięła sucharki oraz brata na ręce i zaniosła na stację. Bałam się, że pociąg odjedzie, ale na stacji wszyscy jeszcze siedzieli. Brat miał pozdzierane nogi, to owinęłam mu je szmatkami i kupiłam trochę mleka za parę groszy, które mama zawiesiła mi w węzełki na szyi. Zabrano nas do wagonu".

Zwraca uwagę troska siostry o młodszego brata oraz umiejętność planowania. Trudno również nie zauważyć

eprasa.pl 1dd8509f48

wpływu matki na los dziewczynki. Choć gdy zdarza się opisana sytuacja, kobieta już nie żyje, to jednak właśnie jej wcześniejsza zapobiegliwość pozwala Janinie na wykonanie pewnych działań ułatwiających przetrwanie i osiągnięcie celu.

Przybycie do Swierdłowska nie kończy problemów Piwowarczyków. Okazuje się, że i oni, i wspomniane wyżej rodzeństwo, Franek i Kasia, doświadczają okrucieństwa ze strony rodaków. Polacy wyrzucają dzieci z pociągu: „Wyrzucili nas, bo nie miał kto się nami opiekować. Krzyczałam, żeby nas zabrali, bo mam babcię w Polsce. Ale nic to nie pomogło. Oddali nas do pogotowia opiekuńczego w Swierdłowsku. Tam byliśmy dosyć długo". Ich sytuacja się zmieni, kiedy przypadkowy przechodzień usłyszy, że mówią po polsku. Obiecuje poinformować o nich dyrekcję polskiego domu dziecka, który powstał w Monetnej.

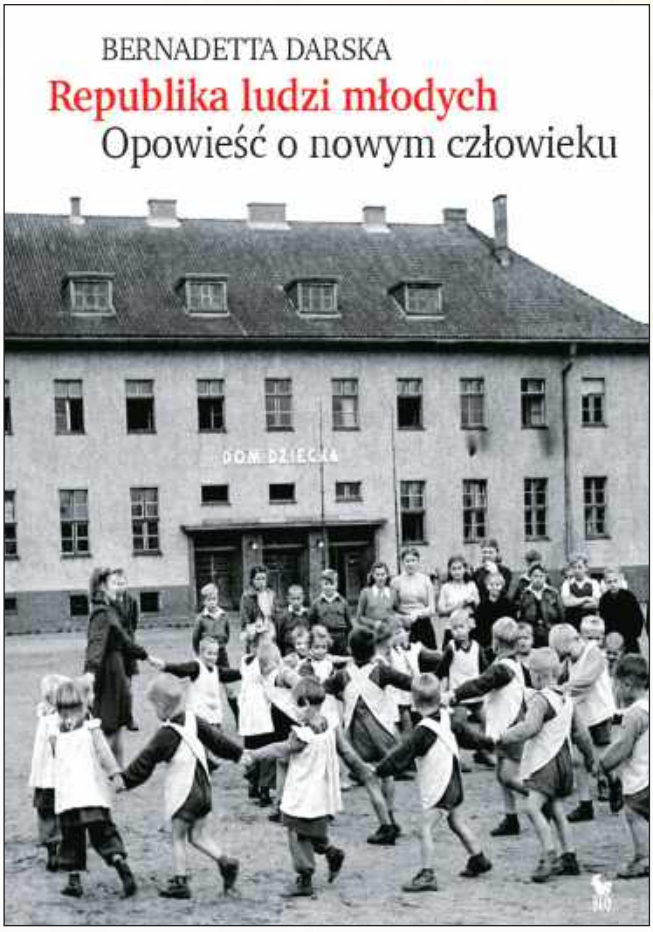
Dzieci pracują ponad siły, głodują, patrzą na śmierć bliskich. Zanim trafią do placówki opiekuńczej, często się tułają.

Kilka dni później Janina Piwowarczyk poznaje Aleksandra Lewina. Nie wie jeszcze, że człowiek ten znacząco wpłynie na jej życie i że to, co właśnie się dzieje, będzie wspominała kilkadziesiąt lat później z dużym wzruszeniem. Można się domyślić, że emocje dziewczynki zmieniają się z chwili na chwilę – od obezwładniającego szczęścia, po brak wiary w to, że los może być łaskawy. Janina jest zdeterminowana. Nie może dopuścić do tego, by Lewin tak po prostu odjechał. Wszystko wskazuje na to, że tak właśnie się stanie. Dzieci nie mogą od razu przeprowadzić się do placówki w Monetnej. Trzeba przygotować odpowiednie dokumenty.

Lewin okazuje się wyrozumiałym i empatycznym przyszłym opiekunem. Rozumie, skąd brak wiary w obietnice u Janiny i pozostałych dzieci. Już raz je oszukano. Dyrektor domu dziecka wpada na oryginalny pomysł. Zdejmuje marynarkę i kładzie ją na plecach dziewczynki. Ma to być gwarancja powrotu i ponownego spotkania. Trwa jesień, więc ciepłe okrycie wierzchnie jest potrzebne. Janina Piwowarczyk wspomina: „Tej jego marynarki nie zdjęłam z siebie i pilnowałam jak oka w głowie. Bo ta marynarka to była rzecz, która pozwalała mi wierzyć, że nas zabiorą i pojedziemy do Polski".

Kobieta traktuje marynarkę Lewina jak materialne potwierdzenie tego, co dopiero ma się wydarzyć. Przeniesienie do Monetnej ma być bowiem dla dzieci pierwszym istotnym krokiem do upragnionego celu, czyli powrotu do Polski. Janina opowiada: „W kilka dni później wychowawczyni, pani Zofia Zelenay, przyjechała po nas. Gdy wreszcie znaleźliśmy się w domu dziecka, wychowawczyni zaprowadziła nas do kancelarii dyrektora. Dyrektor serdecznie nas przyjął, mile uśmiechnął się i zapytał: »Czy masz moją marynarkę?«. Powiedziałam: »tak«".

Marynarka, ktoś powie, to tylko rzecz. A jednak właśnie ta rzecz – dosłownie i symbolicznie – okazuje się zalążkiem zbudowanej na całe życie więzi. Waleczna i zarazem zrozpaczona dziewczynka zostaje potraktowana przez dorosłego po partnersku. Jej nieufności i strachu, będących także wyrazem odczuć pozostałych dzieci, nie zbagatelizowano. Lewin wykazuje zrozumienie dla emocji młodego człowieka. Nie wykorzystuje swojej zawodowej pozycji. Nie próbuje więc wywierać wpływu poprzez odwołanie do hierarchii i relacji wychowawca-podopieczny. Stawia na porozumienie oparte na uznaniu i akceptacji uczuć dziecka. Przekazując marynarkę, symbolicznie sugeruje, że już niebawem dzieci będą mogły się czuć bezpiecznie, a ktoś dorosły zdejmie z ich ramion brzemię przyśpieszonego dojrzewania. Rzecz zamienia się więc w zmaterializowaną obietnicę opieki i lepszej przyszłości. ■



Fragmenty książki Bernadetty Darskiej, *Republika ludzi młodych. Opowieść o nowym człowieku*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2026

eprasa.pl 1dd8509f48

Ciągłość dziejów gospodarki

O czym mówił wicepremier Kwiatkowski na gospodarczej naradzie członków rządu

Wiesław Żółtkowski

W dyskusjach o przeszłości najczęściej zajmujemy się historią polityczną, władzami i wojnami. Zakładamy, zresztą słusznie, że wiele z tego, co było, będzie także naszym dzisiejszym doświadczeniem. Teraz chętnie porównujemy III RP z PRL, a najczęściej tylko z kryzysem lat 80. To prawda, że dziś jest lepiej niż wczoraj, ale można zauważyć, że wczoraj też było lepiej niż przedwczoraj, czyli w II RP. Okresy w historii wyznaczają nie tylko chcenia, ale przede wszystkim dokonania w określonych warunkach. Odwołując się do II RP, warto sięgać do dokumentów z tamtego okresu.

Granica różnicująca poziom gospodarczy przebiega przez środek Polski.

Takim dokumentem jest sprawozdanie z narady gospodarczej, która odbyła się na przełomie lutego i marca 1936 r. w Warszawie. Tekst został starannie wydrukowany, w twardej oprawie, co pokazuje, że chciano się pochwalić polityką rządu. Na naradzie prezentowano plan gospodarczy gabinetu, na którego czele stał Marian Zyndram-Kościałkowski. Programowy referat wygłosił wicepremier inż. Eugeniusz Kwiatkowski, w sprawach branżowych głos zabierali ministrowie. Szczegółowe sprawozdanie z tej narady jest źródłem ciekawych informacji o tym, jak wówczas postrzegano sprawy kraju. Spróbuję pokazać ówczesną ocenę stanu gospodarki w wystąpieniu wicepremiera Kwiatkowskiego.

Wicepremier po oddaniu hołdu zmarłemu Józefowi Piłsudskiemu (taki był wtedy rytuał wpisany w kult Marszałka) skupił się na omówieniu głównych trudności, z którymi rząd musi się mierzyć. Zaczął od tego, że Europę często dzieli się na dwie części wzdłuż polskiej granicy zachodniej. Uznał, że nie jest to obiektywne stwierdzenie, bo granica różnicująca poziom gospodarczy przebiega przez środek Polski. Po stronie Polski A są województwa: pomorskie, poznańskie, śląskie, krakowskie, kieleckie, łódzkie i warszawskie. Po drugiej stronie jest cała reszta Polski. Ludność każdej części wynosi 16 mln. Obszar Polski A to ok. 36% powierzchni, ze 115 mieszkańcami na kilometr kwadratowy, obszar Polski B obejmuje 64% powierzchni i ma gęstość zaludnienia 64 osoby na kilometr kwadratowy. W Polsce A jest 37% ludności miejskiej i 63% ludności wiejskiej, w Polsce B odpowiednio 19% i 81%.

Podstawowa produkcja przemysłowa (węgiel kamienny, koks, żelazo, stal, cynk) jest skoncentrowana w województwach zachodnich. Tam też koncentruje się 80% produkcji cukru, soli, cementu, przemysłu metalowego i elektrotechnicznego, włókienniczego i papierniczego, produkcja wapna i cegły. Znajduje się tam 80% gazowni i wodociągów, sieci kolejowej i tramwajowej, drukarni, urządzeń kulturalnych i zdrowotnych. W Polsce A sprzedaje się 70% konsumpcji cukru, 93% energii elektrycznej, 80% nawozów sztucznych oraz 95% kawy i herbaty. Województwa zachodnie płacą ponad 75% całego podatku od nieruchomości i ponad 80% podatku od działalności przemysłu. Każdy mieszkaniec Polski A płaci rocznie ok. 28 zł podatków, podczas gdy mieszkaniec Polski B tylko 9 zł.

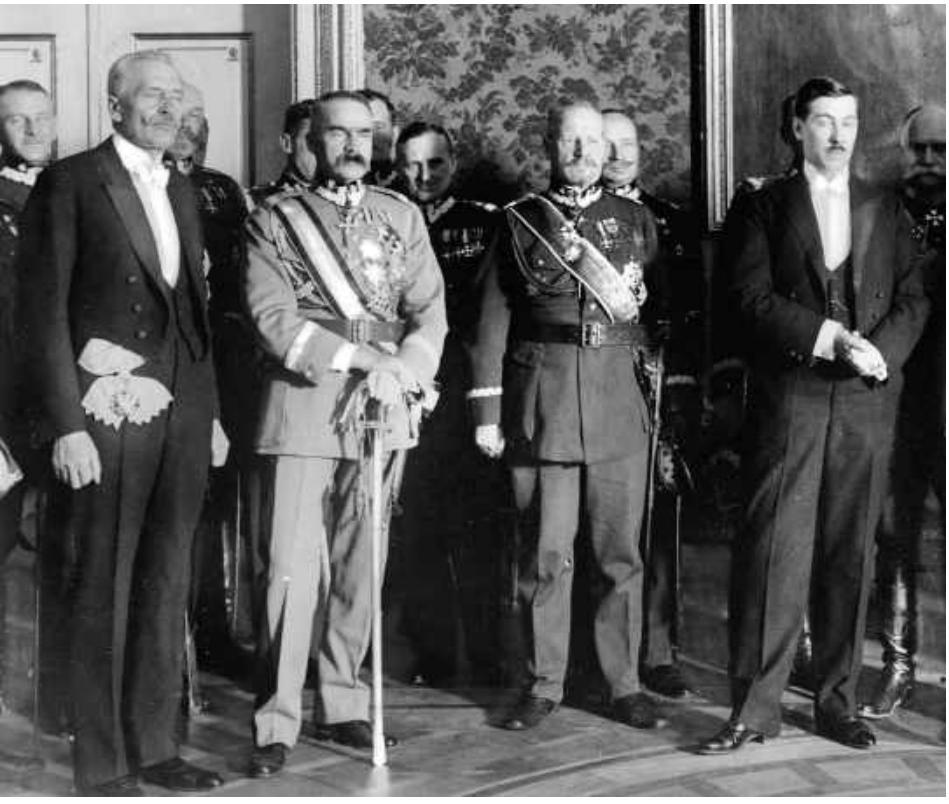
Taki podział kraju był olbrzymim wyzwaniem dla polityki gospodarczej. Drugą trudność wicepremier widział w nieopłacalności funkcjonowania wielu sektorów gospodarki. Rentowność w procesach produkcji i handlu była bardzo mała, a często deficytowa, konsumująca majątek. Dotyczyło to głównie zacofanego rolnictwa, w którym pracowała większość społeczeństwa. Obok tego występowały zjawiska marnotrawienia wartości i pieniędzy przez jednostki, co tworzyło atmosferę niechęci do przemysłu i handlu. Chodziło o operacje spekulacyjne i sprzeniewierzanie pieniędzy publicznych.

Częściowym wyjaśnieniem tej sytuacji było to, że przemysł różnie się organizował w trzech dzielnicach zaborczych. Ale wiele inwestycji dokonano bezplanowo, niektóre działy produkcji dostały się w ręce państwowe, w rezultacie przychodzenia z pomocą finansową tzw. prywatnej inicjatywie. Okazuje się, że termin prywatna inicjatywa nie był wymysłem PRL.

Jałta była dla nas korzystna. Wszelkie zaklęcia o strasznej krzywdzie narodowej są nieracjonalne.

Kolejną kategorią problemów były finanse. W 17. roku niepodległości można było powiedzieć o gospodarowaniu przy braku zapasów

eprasa.pl 1dd8509f48



Członkowie rządu i generalicja na Zamku Królewskim w Warszawie. Od lewej: prezydent Ignacy Mościcki, Józef Piłsudski, gen. Lucjan Żeligowski i minister Eugeniusz Kwiatkowski. Z tyłu m.in. gen. Daniel Konarzewski i gen. Juliusz Rómmel.

złota, bez zdolności kredytowej i bez odszkodowań wojennych, o przejściu dwóch inflacji i licznych kryzysów. Osiągnięciem była stała waluta. Ale budżet pozostawał deficytowy. Inwestycje zagraniczne z okresu dobrej koniunktury odpłynęły w czasie kryzysu gospodarczego. Trzeba było negocjować zadłużenie zagraniczne.

Wicepremier przyznawał, że Polska jest opóźniona w procesie poprawiania gospodarki. Zapowiadał nowy plan inwestycyjny i plany na następne lata. Wymienił inwestycje kolejowe, budowę dróg, roboty wodne, elektryfikacyjne, poprawę sytuacji wsi. O COP jeszcze nie mówiono. Kwiatkowski obiecał zmniejszenie zadłużania państwa bez naruszenia prawa wierzycieli. Wskazał potrzebę reformy administracji państwowej i podatków. Odwołał się przy tym do potrzeby łączenia praw przedsiębiorców z obowiązkami wobec państwa. Domagał się od gospodarczej inicjatywy prywatnej aktywnego współdziałania w wysiłku na rzecz przełamania kryzysu.

Apelował, aby województwa zachodnie skierowały swoją aktywność także na tereny województw wschodnich i centralnych. Odwołał się do potrzeby budowania stanowisk pracy. Stwierdził, że kapitalizm spychający ciężar bezrobocia wyłącznie na barki państwa stałby się absurdem samym w sobie. Podsumował wywód słowami, że naród, który rozporządza przewagą ludzi aktywnych i uczciwych nigdy nie cierpi na brak pieniędzy. Nie złoto, tylko uczciwość w działaniu i myśleniu jest podkładem dla waluty.

Co z tego wynika dla rozumienia naszej historii? Działania podejmowane w II RP, a także lepiej pamiętane próby naprawiania gospodarki w PRL i w III RP pokazują, że niezależnie od okresu i ustroju zawsze podejmowano trud doganiania Zachodu. Raz byliśmy bliżej tego celu, raz dalej, ale zadanie okazuje się trwałe. Widać też, że samo przesunięcie granic po II wojnie światowej, zmniejszenie Polski B i zwiększenie Polski A, bardzo poprawiło poziom rozwoju gospodarczego kraju. Przejęcie ziem zachodnich przeniosło nas w obszar wyższej kultury materialnej. Dlatego nie należy się obrażać na Jałtę, bo ona była dla nas korzystna. Wszelkie zaklęcia o strasznej krzywdzie narodowej są nieracjonalne. Nie odnoszę się przy tym do sfery politycznej, do tego, jak ostatnio zniknęły z obiegu publicznego nawoływania do polskości Lwowa.

Sięgając głębiej w historię, trzeba zauważyć, że dzielnice zaborcze były zróżnicowane, ale łączyło je wychowanie w kulturze zorganizowanych państw, czego nie było w I Rzeczypospolitej. Pewnym nieszczęściem było to, że w II RP rządziły elity wywodzące się głównie z Polski B, co blokowało rozumienie potrzeby uprzemysłowienia kraju. Dopiero po 1945 r. uprzemysłowienie stało się naczelnym celem władzy.

Ciągle występowała potrzeba odwoływania się do postaw moralnych, do rzetelnej pracy, przeciwstawiania się kombinacjom i żerowaniu na innych. Myślę, że wynika to z braku mechanizmów społecznych i gospodarczych, które silniej kreowałyby takie postawy. To świadczy z jednej strony o braku dostatecznej kompetencji władzy, a z drugiej – o oporze społeczeństwa przed uporządkowaniem sfer aktywności gospodarczej. Wolimy mieć furtki, aby samodzielnie poprawiać swój byt, czasem kosztem innych.

Wicepremier Kwiatkowski apelował, aby województwa zachodnie skierowały aktywność także na tereny województw wschodnich i centralnych.

Wiesław Żółtkowski – inżynier i ekonomista, wieloletni menedżer bankowy, autor książek poświęconych historii gospodarczej Polski po II wojnie światowej, w tym o uprzemysłowieniu i dezindustrializacji

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 1dd8509f48



CZAS NA UBRANIA Z HISTORIĄ

Dlaczego zetki wybierają modę z drugiego obiegu

Maciej Belowski

Odwiedzanie second-handów już dawno przestało być powodem do wstydu – dzisiaj to arena walki o unikatowy styl, ale też o przetrwanie ekonomiczne. W raporcie firmy doradczej OC&C Strategy Consultants „Second Hand Fashion Call to Action for First Hand Brands" opublikowanym w styczniu 2025 r. przewiduje się, że do 2029 r. polski rynek odzieżowy online z drugiej ręki osiągnie wartość ok. 12,5 mld zł.

Trend napędza głównie pokolenie Z. Jak pokazuje raport „Barometr E-shopper" (edycja 2025, Geopost/DPD), statystyczna zetka dokonuje online 61 zakupów rocznie i najsprawniej porusza się właśnie w obiegu wtórnym.

Motywacje są zróżnicowane. Dla 64% europejskich konsumentów tego rynku kluczowa jest oszczędność, ale to niejedyny powód. Coraz silniej na takie decyzje wpływają kwestie etyczne – 39% kupujących wybiera obieg wtórny, by wspierać bardziej odpowiedzialną gospodarkę. Dodatkowo 25% badanych lubi kupować od małych, niezależnych sprzedawców internetowych, 23% woli bezpośrednie transakcje z osobami prywatnymi, a 17% przyznaje, że takie zakupy są po prostu modne. Dla młodych to także szansa na nabycie marek premium, które w pierwszym obiegu pozostają poza ich zasięgiem finansowym. Ubrania te pokonują długą drogę: od Stanów Zjednoczonych, przez Zachód, po sieć logistyczną łączącą całą Polskę, by ostatecznie trafić na wieszak, gdzie ktoś doceni ich skład i design.

W tym świecie ekologia często przeplata się z twardą ekonomią. – W moim przypadku dużą rolę odgrywa czynnik finansowy, ale staram się też nie przykładać ręki do panującego konsumpcjonizmu – tłumaczy Patrycja, studentka, która z drugiego obiegu korzysta od lat. Jak podkreśla na Instagramie Jackob Buczyński, jeden z pionierów mody cyrkularnej (systemu projektowania, produkcji i użytkowania odzieży w obiegu zamkniętym, by maksymalnie wydłużać życie ubrań i minimalizować odpady – przyp. red.), którego poczynania śledzi ponad 91 tys. osób, ta zmiana mentalności jest fundamentalna. – Jeszcze kilka lat temu ubrania z drugiej ręki były dla wielu czymś wstydliwym. Dzisiaj unikatowa rzecz z historią ma często większą wartość niż kolejny nowy ciuch.

Vinted: ekonomia zamkniętego portfela

Dla Wioli, studentki korzystającej od lat z serwisu ogłoszeniowego Vinted, przeznaczonego do sprzedaży i wymiany używanej odzieży, stało się to sposobem na bezgotówkowe odświeżanie szafy. – Korzystam z portfela Vinted: za to, co sprzedam, od razu kupuję coś od innych – tłumaczy. Jednak system ma luki. Wiola zwraca uwagę na jego ciemną stronę – zalew odzieży z chińskich platform typu Shein, które psują rynek niską jakością. – Dziś kupowanie online to praca detektywistyczna. Trudno o dobre składy, wełnę czy jedwab, bo platforma jest zapchana ubraniami z poliestru, w których sprzedający często celowo wycinają metki – dodaje. To realne wyzwanie dla rynku, na którym ubrania marki Shein, jak wynika z opublikowanego w 2025 r. raportu firmy OC&C Strategy Consultants, stanowią już 3,7% wszystkich ofert odzieży damskiej na Vinted.

Wiktoria, również studentka, potwierdza, że platforma może być realnym źródłem dochodu. – Mój miesięczny zarobek to ok. 2 tys. zł. Jak na studenta to całkiem ładna kwota, którą da się spokojnie ogarnąć – przyznaje. Wspomina też o skali operacji: – Najwięcej jednego dnia miałam 15 kupujących, którzy nabyli ode mnie ubrania.

Patrycja ostrzega jednak przed oszustwami przy markowych zakupach. – Ja akurat nie zamawiam rzeczy luksusowych, bo parę razy na tym się przejechałam. Ludzie potrafią bardzo dobrze oszukiwać. Na zdjęciu coś wygląda na markowe, a potem okazuje się zwykłą podróbką z Chin

FOT. WIOLETA GÓRAJ/ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 1dd8509f48

Szafa Wiktorii pełna jest ubrań upolowanych na Vinted.

sprzedaną za bardzo duże pieniądze – mówi. Zauważa też zjawisko „vintedowej inflacji". – Od jakiegoś czasu ceny na platformie mocno poszły w górę. Dużo rzeczy z Shein jest wystawianych za znacznie wyższe kwoty, dlatego trzeba robić rzetelne rozeznanie.

Z kolei Weronika, która z aplikacji korzysta nieco rzadziej, podkreśla, że sukces wymaga determinacji. – Często można wyłapać świetne okazje za niską cenę, ale to nie jest zasada. Do tej aplikacji trzeba mieć dużo cierpliwości – i do samego szukania, i do ludzi, z którymi się tam kontaktujemy.

Sobotni desant na Secondly

Choć rynek handlu online rzeczami z drugiego obiegu rośnie w siłę, nie wolno zapominać o punktach stacjonarnych, takich jak sklep Secondly na warszawskim Bemowie, gdzie teoria spotyka się z brutalną praktyką. O realiach pracy w takim miejscu opowiada Kajtek Gójski, pracownik sklepu z siedmiomiesięcznym stażem. – Kiedy otwieramy o godz. 10, przed drzwiami stoi już 50 osób; bywają bójki o bluzkę, trafiają się rozbite ręce – relacjonuje.

W sklepie wyraźnie widać granicę pokoleniową. Dla prawie 70% gości, głównie seniorów, to codzienny rytuał – polowanie na sweter za 20-40 zł. Zetki grają inaczej: wpadają rzadziej, ale na szybkie rajdy po naręcza ubrań. Wypatrują perełek, w rodzaju kurtki za 400 zł, która w rzeczywistości może być warta nawet 10 tys.

Kajtek wspomina też o bonusach. – W kieszeniach starych spodni sprowadzonych z Zachodu młodzi czasem znajdują prawdziwe skarby, np. zagubione banknoty euro – uśmiecha się. Zauważa też, że łowcy często nie zdają sobie sprawy, jak daleką drogę pokonały ich zdobycze. – Wiele ubrań przyjeżdża do nas prosto z USA. Czasem na wieszakach wiszą sukienki z oryginalnymi metkami, na których widnieją ceny w dolarach.

Zanim towar trafi na Bemowo, przechodzi przez wielkie huby logistyczne w Gdańsku czy Rzeszowie. Co ciekawe, mimo cyfrowego obycia młodzi ludzie w sklepach stacjonarnych cenią sobie płatności gotówkowe i fizyczny kontakt z towarem.

W dyskusji o lumpeksach nie może zabraknąć wątku mediów społecznościowych, które – jak dowodzą badania „Barometr E-shopper" – stały się wirtualnym marketplace'em i... placem zabaw dla pokolenia Z. Aż 99% młodych ludzi używa platform społecznościowych co najmniej raz w tygodniu. 91% właśnie tam szuka zakupowych inspiracji, a 61% wykorzystuje je do bezpośredniego nabywania produktów.

Króluje Instagram, z którego co tydzień korzysta 79% młodych, przy czym 41% przechodzi od przeglądania profili do finalizowania zakupów. Zaraz za nim plasuje się YouTube (75% użytkowników) oraz TikTok (66%), na którym odsetek osób decydujących się na zakup po obejrzeniu filmów wynosi dokładnie tyle samo – 41%. Dla Wiktorii właśnie te kanały były bramą do drugiego obiegu: – To influencerki spowodowały, że w ogóle pobrałam na smartfona platformę Vinted.

Odwiedzanie second-handów dawno przestało być powodem do wstydu – dzisiaj to arena walki o unikatowy styl i przetrwanie ekonomiczne.

Zupełnie inne podejście ma Patrycja, dla której second-handy to pasja znacznie starsza niż ich obecna popularność: – W moim przypadku to nie był wpływ influencerów. Zaczęłam kupować w lumpeksach lata temu, zanim nastał ten wielki bum. Wolę obserwować twórców z nieoczywistym podejściem do mody, którzy wyszukują perełki tam, gdzie większość widzi śmieci. To jest naprawdę inspirujące.

Pragnienie unikatowości wynika z szerszego trendu. – Pokolenie Z bardzo potrzebuje personalizacji, bo wychowało się w świecie masowości – diagnozuje Buczyński. – Młodzi chcą przez ubrania opowiadać o sobie. Ubiór przestaje być tylko produktem, a zaczyna być formą komunikacji.

Właśnie to „nowe spojrzenie" stało się fundamentem akcji Jackoba Buczyńskiego #kradneubrania. Jej przebieg był nietuzinkowy: projektant zaczepiał ludzi na ulicach i pytał, czy może „wypożyczyć" ich ubrania. Następnie przerabiał je i ulepszał, by oddać właścicielom ich stare-nowe ciuchy w odświeżonej wersji. Wyjście z modą bezpośrednio na ulicę miało być terapią dla osób przebodźcowanych klasycznym marketingiem. Projektant udowadnia, że luksus nie wymaga produkcji, a jedynie zmiany perspektywy: – Akcja była próbą pokazania, że wartość często można znaleźć bliżej, niż myślimy. Mam wrażenie, że pokolenie Z bardzo dobrze to rozumie, bo szuka w modzie autentyczności i emocji, a nie tylko kolejnego logotypu na metce.

Nie odpad, lecz inspiracja

W samym sercu tego trendu stoi moda cyrkularna (obiegu zamkniętego). Dla Jackoba Buczyńskiego nie jest ona wyłącznie recyklingiem, to głęboka transformacja. Projektant rzuca wyzwanie tradycyjnemu modelowi produkcji. – Nie projektuję ubrań od zera, tylko projektuję nowe życie dla rzeczy, które już istnieją – wyjaśnia. Dla niego moda przyszłości to nauka patrzenia na to, co już posiadamy, jak na nieskończone źródło inspiracji, a nie odpad.

Jackob współpracuje z Wtórpolem, największą sortownią odzieży używanej w Polsce. Tu najlepiej widać skalę nadprodukcji, ale i potencjał surowców. – Z jednej strony, widok ogromnych ilości ubrań potrafi być przytłaczający. Z drugiej – dla projektanta to nieskończone źródło historii, faktur, kolorów i możliwości – mówi Buczyński.

Świetnym przykładem nowego, niezwykle kreatywnego podejścia do drugiego obiegu może być Angelika Witek (@anndzikk), przedstawicielka pokolenia Z i twórczyni marki AVAND, którą w mediach społecznościowych śledzi już ponad 380 tys. osób. Angelika udowadnia, że moda

eprasa.pl 1dd8509f48

nie ma granic. Z odzieży kupionej w lumpeksach za kilka złotych potrafi wyczarować prawdziwe dzieła sztuki. Na swoich profilach pokazuje cały proces upcyclingu: łączy ubrania z babcinymi serwetkami, szyje suknie ślubne z firanek i starych poszewek, a nawet tworzy czapki z ręczników czy sukienki z papierków po lodach. Poprzez przystępne tutoriale inspiruje początkujących do własnych przeróbek, angażując i ucząc dynamicznie rosnącą społeczność.

Twórczyni prężnie działa też na Vinted, traktując platformę jako miejsce transakcji i wymiany doświadczeń z obserwatorami. W swoich materiałach wykorzystuje popularny motyw unboxingów – otwiera paczki niespodzianki przysyłane od firm lub zamawia worki ubrań z drugiej ręki, dając im na ekranie nowe życie.

Ten miks ekologii i rozrywki idealnie karmi algorytmy. Hasztagi związane z upcyclingiem generują na TikToku i Instagramie gigantyczne zasięgi, a dynamiczne wideo typu Shorts (60-sekundowe) pokazujące szybkie DIY (zrób to sam) – od ubrań po akcesoria do wnętrz – regularnie zdobywają setki tysięcy wyświetleń. Drugi obieg stał się oficjalnie powszechnym trendem.

Ewolucja lumpeksów ma jednak ciemniejszą stronę, którą coraz głośniej komentuje się w mediach społecznościowych. Śledząc fora na TikToku czy Instagramie trudno nie dostrzec, że nie każdemu podobają się zmiany w podejściu do odzieży używanej. Pod niemal każdym postem o dużym zasięgu pojawiają się coraz częściej komentarze krytyczne. „Tęsknię za czasami, gdy lumpy nie były popularne", „Nie mogę się doczekać, aż skarbówka zajmie się resellerami" – to tylko przykłady tych łagodniejszych opinii.

Największe emocje budzi „zawłaszczanie" lumpeksów. Internauci ironizują: „Bawi mnie to, że używane ubrania stały się modą dla pseudobogatych". Ta nowa moda sprawia, że osoby, które chcą sporadycznie kupić tanią odzież, muszą stawać do walki z zawodowcami. W slangu bywalców pojawiają się nowe określenia, np. spoceńcy to osoby, które agresywnie walczą o towar, by wystawić go z ogromną przebitką w sieci. Widoki pod sklepami na warszawskiej Pradze-Północ uświadamiają, że ciucholandy to miejsce rywalizacji, w której warunki dyktują influencerzy i resellerzy. „Zwykły" klient często odchodzi z niczym.

Fiskus zagląda do szafy

Ewolucja drugiego obiegu nie kończy się na wieszakach. Raport „Barometr E-shopper" wskazuje, że e-konsumenci coraz chętniej kupują używane akcesoria urodowe oraz książki. Wiola jest tego żywym dowodem – przed rozpoczęciem studiów na samej sprzedaży używanych lektur uzarobiła okrągły tysiąc złotych. To obraz współczesnego handlu: świadome budowanie świata z rzeczy, które innym przestały być potrzebne.

W obliczu rosnącej fali handlu odzieżą używaną i czerpania coraz większych zysków z tej sprzedaży przez osoby prywatne w sposób naturalny pojawiają się pytania o ramy prawne tego procederu. Wokół tematu narosło sporo mitów – głównie za sprawą unijnej dyrektywy DAC7. Jak rzeczywiście wygląda zarabianie w obiegu wtórnym i jak rozwiązuje się kwestie podatkowe? Przede wszystkim należy rozdzielić dwie kwestie: raportowanie (unijna DAC7) oraz obowiązek podatkowy (na podstawie polskiego prawa).

Dyrektywa DAC7 nakłada na platformy cyfrowe (takie jak Vinted czy OLX) jedynie obowiązek zbierania i przekazywania danych do Krajowej Administracji Skarbowej. Kiedy platforma Vinted zaraportuje twoje konto? Stanie się tak po przekroczeniu w roku kalendarzowym jednego z dwóch limitów: dokonania 30 transakcji lub uzyskania ze sprzedaży łącznie ponad 8,5 tys. zł netto.

Wysłanie takiego raportu do urzędu skarbowego nie oznacza jednak automatycznego nałożenia podatku. Jak potraktuje to polski system podatkowy? Wszystko zależy od intencji i skali działania. W przypadku klasycznego „wietrzenia szafy", jeśli wyprzedajesz własne ubrania posiadane dłużej niż sześć miesięcy, podatek nie będzie cię dotyczyć.

Inna jest sytuacja resellerów, którzy kupują taniej, aby sprzedać drożej. Podatek dochodowy realnie zapłacimy jednak dopiero wtedy, gdy łączny roczny dochód przekroczy kwotę wolną od podatku, która wynosi 30 tys. zł. Dyrektywa DAC7 to w rzeczywistości cyfrowe „oko" fiskusa na dużych handlarzy, a nie przeszkoda dla osób dbających o to, by ich ubrania zyskały drugie życie.

Maciej Belowski



eprasa.pl 1dd8509f48

Angielska Grobla – archipelag zapomnienia

Gdańska bańka spekulacyjna nad Motławą

Maciej Ostrowski

Kwadrat: Angielska Grobla – Długa Grobla – Długie Ogrody – Seredyńskiego. W tej części Gdańska można z powodzeniem kręcić film wojenny, bez zbytnich ingerencji w scenografię. Zarząd Gdańskich Nieruchomości wyróżnia tu 200 budynków. Niemal połowa jest pusta, zamieszkana okazjonalnie jedynie przez najbardziej zdesperowanych. Tynk odpada z fasad kamienic jak łuszczący się naskórek. Ledwie jedna czwarta wszystkich oficjalnie zamieszkanych budynków ma uregulowany stan prawny. 81 lokali po kilku sezonach zimowych jest zadłużonych na kwotę 3,5 mln zł.

– Na prośbę jednej z lokatorek mieszkań komunalnych zlokalizowanych w dzielnicy Angielska Grobla złożyłem do Gdańskich Nieruchomości prośbę o udzielenie informacji publicznej dotyczącej stanu nieruchomości oraz ich statusu prawnego. Lokatorzy komunalni zakwaterowani w tej okolicy nie należą do najzamożniejszych. Jednak z uwagi na stan budynków płacą niemałe sumy za ogrzewanie. Budynki niesłychanie ciężko dogrzać. Jedynie 35 mieszkań podłączono do centralnego ogrzewania. Większość lokatorów w sezonie zimowym ratuje się ogrzewaniem gazowym lub zakupionymi na własną rękę piecykami elektrycznymi. Miasto przez brak polityki zarządzania w tym kwartale, a także w niektórych innych częściach Gdańska, wpędza lokatorów w ogromne zadłużenie – zwraca uwagę radny dzielnicy Śródmieście Michał Dziergas.

– Lokatorka, którą odwiedzałem wielokrotnie jako radny, bardzo się stara dbać o powierzone jej mieszkanie. Na własny koszt remontowała lokal, wynajmując techników i specjalistów sprawdzających stan instalacji oraz pieca gazowego. Pani Ewa jest emerytką szukającą wszelkich możliwości dorobienia. Wcześniej mieszkała przy Rzeźnickiej. Budynek, w którym wówczas mieszkała, jest już całkowitym pustostanem, do którego nie wolno nawet się zbliżać. Pani Ewa pracuje w opiece nad osobami starszymi oraz w firmie ochroniarskiej – relacjonuje Michał Dziergas.

Tej zimy regularnie zamarzały rury. Na klatkach schodowych osadzał się szron, bo drzwi wejściowe zostały wyrwane przez chuliganów. Technicy musieli odmrażać rury palnikami, przez co doszło do zaprószenia ognia w piwnicy jednej z kamienic.

Idylla, która grozi zawaleniem

Gdańsk od dekady zmaga się z problemem ogromnego zadłużenia lokali komunalnych. Sytuacja, gdy lokator nie reguluje czynszu przez pół roku, nie należy do rzadkości. Problemy ze ściągalnością opłat nie biorą się z wystawnego trybu życia mieszkańców, ale wynikają ze stanu budynków oraz ich struktury właścicielskiej. Zamiast jednorazowo przeznaczyć konkretną pulę środków na prace remontowe, miasto samo związało sobie ręce, biernie czekając na pożar lub katastrofę budowlaną.

– W typowej kilkupiętrowej kamienicy większość lokali stanowią mieszkania komunalne. Jednak z uwagi na powszechne w latach 90. wykupywanie mieszkań, mniejszość pozostająca w rękach prywatnych tworzy wspólnotę mieszkaniową. Właśnie te nieruchomości są dla władz miasta wygodną wymówką. Zgodnie z prawem utrzymanie części wspólnych spoczywa na wspólnocie mieszkaniowej. Ta zasada zwalnia miejskich włodarzy z obowiązku dbania o stan budynków. Przypomina to grę w ping-ponga. Jeśli istnieje możliwość zepchnięcia odpowiedzialności na kogoś innego, władze Gdańska niemal na pewno z niej skorzystają. Można się spodziewać, że odpowiedzialnością za niekorzystny stan rzeczy zostaną obarczone władze centralne. Rozwiązanie problemu pozostawione będzie wolnemu rynkowi, wspólnotom mieszkaniowym – wylicza Michał Dziergas.

Utrzymanie części wspólnych spoczywa na wspólnocie mieszkaniowej. Ta zasada zwalnia miejskich włodarzy z obowiązku dbania o stan budynków.

W rezultacie nie prowadzi się programów remontowych. W tej sytuacji mieszkańcy Angielskiej Grobli w sezonie grzewczym płacą miesięcznie 1-1,2 tys. zł za ogrzewanie gazowe lub elektryczne. Ta suma to często trzy czwarte dochodów przeciętnego mieszkańca tej ulicy. Z lokalami zamieszkanymi sąsiadują te

eprasa.pl 1dd8509f48

opuszczone, już od kilku lat straszące lodowatą pustką.

Ulica razi kontrastami. Nowoczesne bloki deweloperskie niczym restauracje sieci McDonald's opasały pierścieniem poindustrialne kamienice z początku XX w. Bilbordy przedstawiają zielone wyspy kupionej na kredyt miejskiej idylli. Przy obecnych cenach nieruchomości na osiedla nie wprowadzą się młode małżeństwa. Oglądanie folderów reklamowych przypomina lizanie lodów przez szybę cukierni.

Michał Dziergas: – W tej okolicy z łatwością uchwyci się różnice między dwoma światami. Z jednej strony, miasto dla inwestorów, deweloperów, Gdańszczan, których stać na dobre życie oraz lokowanie kapitału w budowę lokali przeznaczonych na sezonowy wynajem. Resztę ulicy zajmują lokale dla ludzi utrzymujących się z 1,4 tys. zł emerytury i zabytkowy dworek z tabliczką: „Zakaz wstępu, grozi zawaleniem". Jako członkowie inicjatywy Społeczny Gdańsk wiemy od mieszkańców, że gros nowych lokali na co dzień jest wynajętych w systemie Airbnb.

Gdańsk podąża najgorszą z możliwych dróg. Ruch turystyczny nie gwarantuje stabilności źródeł przychodu.

Gra w wolnorynkową ruletkę

Najlepsza polityka społeczno-gospodarcza to brak polityki społeczno-gospodarczej? Miasto Gdańsk prowadzi politykę mieszkaniową, którą można określić jako pasywną. Decyzje i działania, które mogłyby chociaż w niewielkim stopniu zakłócić dynamikę wolnorynkową, nie są realizowane.

– Cały obszar mógłby wyglądać zupełnie inaczej, gdyby w Gdańsku nie bano się publicznych inwestycji oraz dbania o tkankę miejską i zasób komunalny. Obecnie w tę próżnię weszli prywatni inwestorzy windujący ceny usług. Okolica wygląda jak miasteczko zbudowane na potrzeby nakręcenia kilku filmowych ujęć. Zniknęły sklepy i punkty usługowe istniejące dzięki stałym mieszkańcom. Pozostał szyld baru azjatyckiego oraz sklep sieci Żabka – komentuje radny.

Nikt nie zabiegał o ochronę zagrożonego pauperyzacją terenu. W efekcie stali mieszkańcy od prawie dziesięciu lat są wypychani z dzielnicy. Obserwatorzy z zewnątrz nie ukrywają, że Angielska Grobla nie jest obszarem zaniedbania, tylko placem budowy od dłuższego czasu czyszczonym przez walec wolnego rynku. Budynki i lokale od dawna nie są już dobrem podstawowym, stały się „betonowym złotem", wystarczy poczekać na wzrost cen gruntów i nieruchomości.

– Na spotkaniach wspólnoty mieszkaniowej oznajmiono mieszkańcom, że wszystkie kamienice socjalne i komunalne zajmują prywatny teren inwestycyjny i wobec powyższego zostaną zburzone. Tymczasem władze miasta zaprzeczają planom rozbiórek starych budynków. Prawda jest taka, że zostaniemy postawieni przed faktem dokonanym – mówi pani Beata, lokatorka jednego z mieszkań na Angielskiej Grobli.

Tracimy więc przestrzeń pod mieszkania na każdą kieszeń. W zamian deweloper zyskuje działkę, na której może sfinalizować inwestycję dla wąskiej grupy.

– Na całym obszarze Śródmieścia coraz częściej możemy obserwować krajobrazy pustynne. Znikają lokale, gdzie kupowano śruby i narzędzia, garnki, naczynia. Punkty handlowe potrzebne do funkcjonowania stałych mieszkańców są zastępowane przez Żabki, które otwierają się nawet w lokalach będących własnością miasta – wylicza radny Dziergas.

Cisza i zapomnienie to sprzymierzeńcy ludzi z marginesu społecznego, którzy upodobali sobie okolicę ze względu na możliwość spokojnego oddawania się nałogom. Efektem są regularne włamania do pustostanów. Miasto inwestuje środki w wymianę drzwi, zakładanie alarmów i innych zabezpieczeń. Skala włamań jest taka, że prostszym i tańszym sposobem przeciwdziałania byłoby doprowadzenie lokali do stanu używalności, a następnie zakwaterowanie tam stałych lokatorów.

Bańka spekulacyjna nad Motławą

– Gdańsk zawsze zwleka, wykorzystując do maksimum ustawowy czas odpowiedzi na zapytanie publiczne. Nie inaczej było z Angielską Groblą. Na dane liczbowe określające stan okolicy czekałem 14 dni. W innych przypadkach z reguły dostaję odpowiedź, że z uwagi na złożoność kwestii ustawowy czas odpowiedzi będzie przedłużony o kolejne 14 dni. Trudno się cieszyć z przytoczonych przez Społeczny Gdańsk danych. Pokazują one jednak skalę wyprzedawania miasta deweloperom przy aktywnym udziale władz metropolii. Wyprzedają wspólną przestrzeń działka po działce, windują koszty życia poza możliwości przeciętnego mieszkańca – twierdzi radny i społecznik.

Obecnie niemal każda działka w okolicy jest już sprzedana prywatnemu inwestorowi, który czeka na rozpoczęcie prac budowlanych. Tymczasem hossa na rynku nieruchomości nie będzie trwała wiecznie. Według części analityków już za kilka lat możemy mieć na polskim rynku nieruchomości sytuację analogiczną do tej, która w Hiszpanii doprowadziła do powstania dziesiątek tysięcy pustostanów oraz przejmowania wielu nieruchomości za pośrednictwem powołanych przez banki funduszy inwestycyjnych. Pożywką dla hiszpańskiego krachu na rynku nieruchomości było budowanie apartamentowców oraz centrów hotelowo-inwestycyjnych.

Jedynym powodem powstawania takich inwestycji były zwolnienia z podatków uzyskiwane przez podmioty gospodarcze gotowe na zrealizowanie inwestycji jak najmniejszym kosztem i w jak najkrótszym czasie. A potem obszar zajęty przez nowe inwestycje niejednokrotnie bywał martwą tkanką w samym sercu miejskiego organizmu.

eprasa.pl 1dd8509f48



Miasto nie zabiega o ochronę zagrożonego pauperyzacją obszaru. W efekcie stali mieszkańcy od prawie dziesięciu lat są wypychani z Angielskiej Grobli.

– Gdańsk, przez lata funkcjonujący jako istotny ośrodek miejski w kraju, podąża najgorszą z możliwych dróg. Ruch turystyczny nie gwarantuje stabilności źródeł przychodu. Pandemia i kryzys gospodarczy udowodniły, że deweloperzy jako pierwsi wyciągają ręce po wsparcie państwowe. To jednak tylko doraźne działanie, które nie ustabilizuje miejskich finansów. Jazda bez planu skończy się dotkliwą kolizją. Na szczeblu lokalnym należy natychmiast ograniczyć spekulacje na rynkach mieszkaniowych, np. wyraźnie ograniczyć zjawisko najmu krótkoterminowego. W skali krajowej rozwiązania regulujące tę dziedzinę gospodarki mają się pojawić już w tym roku. Biorąc pod uwagę vacatio legis, uregulowania, których potrzebujemy na wczoraj, mogą wejść w życie najwcześniej za pięć lat. Po takim czasie większość inwestycji zostanie już zrealizowana metodą faktów dokonanych. Neoliberalizm z jego zasadą faworyzowania nielicznych jest w mieście niepodważalnym dogmatem – ocenia aktywista Społecznego Gdańska.

Buldożerem po lokalnej społeczności

Śledząc informacje marketingowe publikowane w mediach społecznościowych przedstawicieli władzy lokalnej, trudno nie zauważyć radości z nowych inwestycji deweloperskich oraz realizowanych rewitalizacji dzielnic. Kłopot w tym, że nie uwzględnia się użyteczności tych inwestycji dla zwykłych mieszkańców. Na przykład mieszkańcy Dolnego Miasta wielokrotnie alarmowali, że proces rewitalizacyjny nie odpowiada potrzebom dzielnicy, jest przeskalowany i prowadzi do pogarszania się sytuacji lokatorów. Remontowane są np. tylko elewacje budynków miejskich czy drogi zniszczone przez ciężki sprzęt używany w trakcie realizacji inwestycji deweloperskiej. Po oczekiwaniach lokalnej społeczności miasto oraz inwestorzy przejechali buldożerem. Zawłaszczane są inwestycje publiczne i tereny zielone. Na skrawkach wolnego gruntu powstają projekty, których jedynym zadaniem jest pomnażanie zysku dewelopera. Lokale reklamowane jako mieszkania dla młodych rodzin z dziećmi już teraz są przygotowywane jako produkt inwestycyjny. Po 30 latach odmawiania sobie wszystkiego wybrańcy będą mogli kupić lokal o powierzchni 50 m kw. za 800 tys. zł.

– Takie mieszkania z bliżej nieznanego powodu wyposażono w dwa aneksy kuchenne i dwie toalety, jakbyśmy już szykowali się do izolacji społecznej w ramach kolejnej pandemii – ironizuje radny Dziergas.

Konieczna jest zmiana układu sił oraz władzy od 30 lat betonującej miejski samorząd. Nowi ludzie byliby w stanie tchnąć nowe życie w tkankę miejską. Na miasto trzeba jak najszybciej spojrzeć jak na przestrzeń wspólną. Realizacja inwestycji publicznych i zmiana priorytetów będzie wymagała współpracy nie tylko z partnerami prywatnymi. Należy nawiązać współpracę z kooperatywami otwierającymi rynek mieszkaniowy na małą spółdzielczość. Trzeba przedstawiać alternatywy dla rynku prywatnego.

– Potrzebujemy asertywności. Miasto nie jest wyłącznie na sprzedaż. Są tu ludzie, którzy, by pracować i żyć na obszarze aglomeracji, muszą jeszcze się utrzymać. Ci ludzie chcą żyć w godnych warunkach. Nie spychajmy ich na kompletny margines. Nie traktujmy lokatorów komunalnych gorzej niż więźniów. W zakładzie penitencjarnym osadzony nie boi się, że pleśń przeżre mu ściany. Godne warunki reguluje sprawna interwencja odpowiednich służb. Tu lokatorzy komunalni są traktowani jako gorszy sort. Są wolni, ale ich wolność sprowadza się do zadłużenia i ponoszenia wygórowanych opłat za przebywanie w warunkach zagrażających zdrowiu – podsumowuje radny.

Maciej Ostrowski

Miasto nie jest wyłącznie na sprzedaż. Są tu ludzie, którzy, by pracować i żyć na obszarze aglomeracji, muszą jeszcze się utrzymać. I chcą żyć w godnych warunkach.

FOT. MACIEJ OSTROWSKI

eprasa.pl 1dd8509f48

Z Częstochowy do Kossakówki w Krakowie



Pożegnanie z zegarem. Nz. Mieczysław Wyględowski i Maria Lempart. Częstochowa, 13 kwietnia 2026 r.

Maria Januszewska-Warych

13 kwietnia br. w Częstochowie miało miejsce niezwykłe wydarzenie – przekazanie przez Mieczysława Wyględowskiego na rzecz przyszłego Muzeum Rodziny Kossaków w Krakowie wiedeńskiego zegara z połowy XIX w.

Lekarz, chirurg, senator RP, autor 23 książek i kolekcjoner śladów istnienia zakupił ten obiekt od Glorii Kossak, córki Jerzego Kossaka, w połowie lat 80. XX w. „Niezwykłą ciekawostką z tamtych lat w Polsce był handel adresami – wspomina Wyględowski. – Rozwinęła się sieć pośredników, którzy nie handlowali starociami ani ich nie posiadali. Za odpowiednią opłatą służyli adresami, pod którymi można było nabyć atrakcyjny kolekcjonerski »towar«. Za taki adres zapłaciłem i… nabyłem piękny kominkowy zegar".

Neogotycki dom Kossaków zaprojektowany został w 1851 r. i przejęty przez Juliusza Kossaka w 1869 r. W Willi Wygoda, jak pierwotnie nazywano Kossakówkę, mieściła się pracownia Juliusza (1824-1899), a także jego syna Wojciecha (1856-1942) – to pod jego i Jana Styki kierownictwem zespół artystów namalował w latach 1893-1894 Panoramę Racławicką.

Przekazanie zegara to odpowiedź na apel Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie, poszukującego elementów oryginalnego wyposażenia Willi Wygoda.

W 1971 r. Gloria otworzyła w domu kawiarnię-muzeum, gdzie organizowała recitale muzyczne, wernisaże, wieczory poetyckie. O jakim domu marzyła? W dokumentalnej etiudzie filmowej „Gloria" z roku 1988 w reżyserii Bogusława Dąbrowy-Kostki mówiła, że miał to być „dom bez terminów od-do. Dom, który miałby dach, ale którego nie trzeba by reperować. Ściany, których nie trzeba by malować, ewentualnie budować ściany co tydzień w innym miejscu albo zlikwidować ściany wewnętrzne, zostawiać tylko zewnętrzne".

Przekazany zegar jest swoistą odpowiedzią na słowa Glorii, także na apel wystosowany przez Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie, poszukujące pamiątek, przedmiotów stanowiących oryginalne wyposażenie historycznej willi.

Świadkami przekazania zegara były: Maria Lempart – kierownik Pracowni Kossakówka w Muzeum Krakowa, współpracująca z zespołem scenariuszowym powstającej wystawy stałej o rodzinie Kossaków, przygotowująca i urządzająca nowy oddział muzeum, Joanna Rościszewska – kierownik Działu Konserwacji Muzeum Krakowa, nadzorująca działanie muzealnej pracowni konserwacji, Katarzyna Bury – pełnomocnik dyrektora ds. dostępności Muzeum Krakowa oraz Maria Januszewska-Warych, doktor nauk humanistycznych, nauczyciel akademicki.

W słynnej Kossakówce trwa obecnie remont związany z adaptacją budynku na cele muzealne.

Kolekcji starych zegarów gromadzonych przez ponad 60 lat przez Mieczysława Wyględowskiego nie chciało przyjąć w formie daru miasto Częstochowa. Zostaną w najbliższym czasie przekazane do Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, gdzie będą na stałe eksponowane. ■

FOT. MARIA JANUSZEWSKA-WARYCH/ARCHIWUM

eprasa.pl 1dd8509f48



Oko w oko Tomasz Jastrun

Zmyślona prawda

Znowu dziki w naszym Międzylesiu, to już codzienny problem, jest nawet aplikacja, która pozwala śledzić, jak się przemieszczają całymi hordami po okolicy. Wdzierają się na posesje, rozwalają śmieci i demolują ogródki. Potrafią bez trudu przewracać ciężkie, betonowe kosze na śmieci. Staramy się zawsze zamykać bramę. Ale skorzystały z chwili naszej nieuwagi, gdy była uchylona. Żona mnie woła do okna dramatycznym głosem. Obok drzwi wejściowych kręcą się dwie duże lochy i kilkanaście warchlaków, jeden leży w świeżo posianej młodej trawie, inne ją ryją. Pierwsza myśl, że zdechł, ale on tylko sobie drzemał. Dewastują mały kawałek ogrodu od bramy. Szybko wskakuję do samochodu, straszę, trąbię, podjeżdżam, jakbym chciał je przejechać, nie robi to na nich wrażenia. W końcu sznureczkiem ewakuują się z naszej posesji.

Chcę zamknąć bramę, gdy widzę, że w ogrodzie od strony tarasu wyłania się jak w złym śnie trzeci osobnik i spora grupka małych. Szykują się do pożarcia kwiatów. Pędzę do domu, wybiegam na taras i próbuję je płoszyć krzykiem i groźną postawą. Cebulki kwiatowe już kiedyś nam wyżarły, poniszczyły kwiaty, trawnik zryły i skopały. Zbliżam się do stadka, kieruje mną instynkt człowieka pierwotnego, którego jaskinia jest zagrożona. A przecież wiem, że lochy z młodymi bywają niebezpieczne. Ta zdaje się zastanawiać, co robić, łypie na mnie owłosionym okiem, nie jest to oko intelektualisty, ale jest w nim przebiegłość. Zastanawia się, w końcu odwraca, by godnie zmierzać ku bramie, za nią sznureczkiem małe. Jeden jednak został przy rozwalonych śmieciach i delektował się opakowaniem po lodach. To już druga taka scena z lodami w ostatnim czasie. Dziki, jak widzę, uwielbiają lody, szczególnie kanapkowe. Ciskam w małego szyszką i trafiam w tłusty zadeczek, co napawa mnie dumą myśliwego, który trafił w cel. Warchlak bierze nogi za pas. I mogę zamknąć bramę.

•

Członkowie jury reprezentującego Polskę na Eurowizji 2026 przyznali izraelskiej piosence i jej wykonawcy maksymalną liczbę punktów. Izrael o mało co nie wygrał konkursu, nędznego jak zwykle. Nasi jurorzy stali się celem niezliczonych brutalnych ataków. Musieli wiedzieć, że tak będzie. Ale głosowali zgodnie z własnym sumieniem. Kierowali się sztuką, nie polityką. I tak powinno być. Siła nienawiści do Izraela, nie tylko w Polsce, to ciekawe zjawisko psychologiczne. Rozumiem żal o Gazę, ale ta nienawistna zaciekłość, odpowiedzialność zbiorowa – piosenkarz też jest winny – jej skala i głębokość ma korzenie w innych wiekach; to mroczny historyczny korzeń. A paranoik Netanjahu nie tylko skrzywdził tysiące ludzi w Gazie, ale też załatwił swojemu krajowi fatalną opinię na stulecie. Obudził demony antysemityzmu. Jest w tym coś złowieszczego.

•

Czytam „Pięknych dwudziestoletnich" Marka Hłaski, dynamiczny pamiętnik, a tak w rzeczywistości to „zmyślona prawda", sam użył tego terminu. Świetne. A jego prozy za bardzo nie cenię. Czy nie pisali prawdy zmyślonej Kapuściński, Malaparte, wielu innych, czy cała nasza przeszłość nie jest „zmyśloną prawdą"? Zmyślać, ale nie kłamać, zmyślać tak, by bardziej zbliżyć się do prawdy, bywa wielką sztuką.

•

Jak usłużne bywają przypadki poparte ludzką życzliwością. Kiedy stałem na czerwonym świetle, kierowca obok otworzył okno i powiedział, że spaliny mojego samochodu mają niebieski kolor, co może być znakiem problemów. Jestem hipochondrykiem, też samochodowym, dlatego od razu pojechałem do zaprzyjaźnionego warsztatu. Mechanik zdjął pokrywę silnika i pokręcił z troską głową, jak chirurg, który otworzy brzuch i widzi, że jest katastrofa. Silnik cały w oleju. Pojawił się Mariusz, właściciel warsztatu, miał tu kiedyś wulkanizację, teraz wynajął warsztat mechanikom. Bliski mi, ileż myśmy się nagadali o polityce przy wymianie opon, pożarzeczyli, powściekali się. To bardzo zbliża.

Zmyślać, ale nie kłamać, zmyślać tak, by bardziej zbliżyć się do prawdy, bywa wielką sztuką.

I jest konsylium… poszła turbina, wymiana droga, bez gwarancji, że będzie dobrze, samochód ma 16 lat, przejechał 200 tys., diesel po takim czasie lubi umierać. Najlepiej pozbyć się go, najpewniej na części, czyli na organy do przeszczepu. Samochód jest trochę jak człowiek. Więc smutek. Ileż my razem przeżyliśmy, ile dróg, miast, nie tylko w Polsce. A teraz koniec.

W tym samym czasie odebrałem wyniki badań w przychodni. Nie są najlepsze. To wszystko mi się połączyło w groźny splot. I usłyszałem, jak ktoś liczy dni moje, nie wiem kto, ale liczy, gdybym wiedział kto, poprosiłbym, aby tak się nie śpieszył. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1dd8509f48



Instalacje Yayoi Kusamy na tarasie Museum Ludwig. W tle katedra w Kolonii.

Yayoi Kusama – konfrontacja z mitem

Z prawie stuletniej historii życia zagubionej, ekscentrycznej artystki emanuje zaskakująca radość

Daniel Wójtowicz

W Kolonii odbywa się wystawa prac Yayoi Kusamy. Dobiegająca setki Japonka (ur. w 1929 r.) uznawana jest za najbardziej znaczącą i najznakomitszą artystkę wśród wciąż aktywnych światowych twórców. Prezentację jej dorobku zaplanowano w trzech odsłonach: w Bazylei, w Kolonii, a jesienią w Amsterdamie, i uznano za najważniejsze europejskie wydarzenie artystyczne 2026 r.

Bilety wyprzedają się z dużym wyprzedzeniem. Publiczność napiera tłumnie. Korzysta z okazji, by skonfrontować się z mitem. Nie wiadomo tylko, czy z tym sprzed kilkudziesięciu lat, czy z obecnym. Dzisiaj bowiem Kusama jest przede wszystkim twórczynią najdroższą – w samym 2023 r. wartość jej prac sprzedanych na aukcjach przekroczyła 80 mln dol. Uosabia zatem sztukę rodzącą zysk – odpowiadającą wymogom czasów. To rozpala wyobraźnię tłumów. Kim trzeba być i co trzeba z siebie dać, aby „z niczego" kufry wypełniały się złotem? To ogromne zainteresowanie prezentacjami prac Yayoi Kusamy jest zjawiskiem chyba jeszcze bardziej fascynującym niż sama jej twórczość.

Artystyczna historia niezwykłej Japonki jest, tak jak jej życie, niezwykle długa. Tworzyła w Japonii, ale także bardzo długo w USA i to tam została dostrzeżona. Wystawa w Kolonii przywołuje stare filmy z organizowanych przez nią happeningów broniących społecznie ważnych wartości i zasad: a to w sprawie wojen czy nierówności, a to w kwestiach wolności seksualnej. Występy nagich modeli, podobnie jak prezentowane instalacje z tekstylnymi czy plastikowymi fallusami, jawią się dziś jako pretensjonalne i banalne. Trudno się nimi fascynować. Ale pochodzą przecież z lat 60. i 70. tamtego stulecia. Łatwo sobie wyobrazić, jak bardzo mogły wówczas bulwersować i jak ogromną przyciągały uwagę. Wtedy przysporzyły artystce dużej popularności i spotkały się z sympatią wielu nowatorów sztuki.

Dziś Yayoi Kusama kojarzy się z magią kropek. Mniejsze, większe, kolorowe, czarne, malowane i wyświetlane – to one zdominowały jej prace. Zarówno jako motyw główny, jak i wypełnienia tła. Wystawa w Kolonii,

eprasa.pl 1dd8509f48

zawierająca również prace z wczesnych okresów twórczości, pokazuje, że natręctwo kropek towarzyszyło artystce od zawsze. Pokrywała nimi twarze modeli i autoportrety, budowała z nich także kompozycje abstrakcyjne. W jej wyobraźni – zawsze nadwrażliwej, pełnej fantasmagorii – kropka jest ucieleśnieniem nieskończoności, dziwnej anatomii świata i samotności ulokowanego w nim człowieka. Jesteśmy, jak to widzi artystka, też tylko kropkami, a ukazywanie ich mnogości ma zacierać różnice pomiędzy nami a kosmosem. Można się tego dowiedzieć z różnych źródeł, w tym z komentarzy zamieszczonych na wystawie. Trochę trudniej poczuć to w sobie.

Dzisiaj Kusama jest przede wszystkim twórczynią najdroższą – w samym 2023 r. wartość jej prac sprzedanych na aukcjach przekroczyła 80 mln dol.

W aktualnej fazie twórczości Kusama zaprojektowała wiele potężnych instalacji wypełnionych kropkowanymi elementami. Jednak te najpiękniejsze widziałem niestety jedynie w kolorowej prasie i w internecie, na fantastycznych zdjęciach z galerii w Seattle, Szanghaju czy w Nowym Jorku. Na wystawie w Kolonii wejść można tylko do jednej potężnej sali wypełnionej żółto-czarnymi jak szyje żyraf balonami i wężami, z taką samą okładziną ścian. Widz z założenia staje się częścią tego wnętrza, ginąc w plątaninie kształtów. A mówiąc dokładniej – mógłby zginąć, gdyby nie był popędzany w tłumie. W środku tej sali dodatkowo wchodzi się do lustrzanej komory – będącej jednym z przejawów kolejnej specjalności artystki, zwanej Infinity Mirror Rooms – by faktycznie zatracić orientację, co jest prawdą, a co tylko jej odbiciem, a nawet przez chwilę zwątpić, gdzie się naprawdę jest – czy tu, czy tam, czy jeszcze dalej. Może przy dłuższej zadumie efekt jest mocniejszy, jednak obsługa stanowczo nawołuje do wyjścia już po kilkudziesięciu sekundach, by zrobić miejsce dla innych.

Obok wykropkowanych obrazów są też inne – pokryte drobiazgowo malowaną, niekończącą się siatką filigranowych wzorów, składających się z tysięcy niemal identycznych pętelek. Te specyficzne pop-arty czy abstrakcje mogą się podobać bardziej lub mniej. Jednak wygląda na to, że prace te, dla zrozumienia ich sensu, muszą być traktowane raczej jak dzieła konceptualne. Kontakt z nimi powinien być poprzedzony poznaniem intencji artysty. Stają się wtedy ich ucieleśnieniem, zobrazowaniem, niczym artystyczne ilustracje w książce. Yayoi Kusama widzi je jako odbicie nieskończoności, które malowała w stanie swoistego transu, by uporać się z nękającymi ją lękami i halucynacjami. Opisuje je także jako obraz swojej osobowości czy stanu umysłu. Mówi też o dążeniu do „samozatarcia", o dziwnej potrzebie likwidacji granicy pomiędzy sobą a otoczeniem.

Artystka od dzieciństwa miała problemy psychiczne, uznawana była za chorą (do dziś, dla własnego poczucia bezpieczeństwa, mieszka w szpitalu psychiatrycznym w Tokio). Śmiałość odkrywania wizji, jakie ją ogarniały w tym stanie, przysparzała jej wielu sprzymierzeńców i sympatyków, zwłaszcza w milczącej na temat „wstydliwych" chorób psychicznych Japonii. Zarówno tam, jak i w USA jej sztuka trafiała do społeczeństwa przesyconego lękami, dotkniętego zaburzeniami psychicznymi – udającego przy tym, że tak nie jest. Ona tymczasem głośno wołała: patrzcie na obraz mojej (chorej) duszy!

Kolońską wystawę otwiera wielka bryła kropkowanej dyni, będącej jeszcze jedną fascynacją artystki. Dynie są dla niej, już od podstawówki, formą kojącą. „Urzekła mnie ich urocza i piękna forma, hojna bezpretensjonalność i solidna duchowa równowaga. Dynie do mnie przemawiają: dynie, dynie, dynie", wyjaśniała.

Przez całe życie tworzy wiele różnorakich dyń w ich rzeczywistych kolorach, z nieodłącznymi, i w naturze, i w sztuce, kropkami. Są tam faktycznie na miejscu i wyglądają uroczo. Przyjemnie było je na wystawie


„Ogród Narcyza", 1966.

eprasa.pl 1dd8509f48

„Infinity Mirrored Room – The Hope of the Polka Dots Buried in Infinity Will Eternally Cover the Universe", czyli między złudzeniem a rzeczywistością.

podziwiać, choć trudno powiedzieć, aby coś poza swoim naturalnym pięknem i harmonią niosły. Ale czy jest to konieczne?

Cokolwiek o tej kropkowej obsesji by mówić, trzeba przyznać, że artystka stworzyła swój własny styl. Stał się artystycznym wyrazem naszej epoki wypełnionej pikselami, bajtami, promieniowaniem, miliardami ludzi i nieskończonością odkrywanych gwiazd. Graficzny styl Kusamy najłatwiej jednak podbija świat poprzez komercyjną promocję. Dom mody Louis Vuitton oparł na nim w ostatnich latach swoje nowe, ekskluzywne kolekcje ubrań i akcesoriów. Są one oczywiście okrutnie drogie. Kolorowa prasa na całym świecie pisała, że Pumpkin Bag à la Kusama stała się niedawno najdroższą torebką w historii – została sprzedana za ok. 135 tys. euro.

Ten komercyjny trend odzwierciedla chyba szersze zjawisko. Kusama jest droga, ponieważ jest modna. A modna jest dlatego, że jest droga. Zamożni tego świata coraz częściej traktują wielką sztukę jako element podnoszenia swojego statusu, jakości życia i prestiżu. Jednocześnie bardzo odpowiada im praktyczne zastosowanie sztuki. Dzieje się tak również w naszym kraju. Pamiętam, jak na wykładzie w Zamku Królewskim w Warszawie profesor historii sztuki oburzała się, że fragmenty malarstwa Nowosielskiego są używane do zdobienia koszul czy gadżetów. Widziała w tym profanację dzieła mistrza. Tymczasem ludzie chętnie po takie artefakty sięgają. Może w ten sposób w naszych czasach sztuka poszukuje swojego nowego, praktycznego miejsca u boku odbiorcy? Pozostaje tylko pytanie, czy w tym użytkowym zastosowaniu nie zmienia się w zwykły design. Czy nie gubi się gdzieś jej myśl i przesłanie?



Dynia w kropki – charakterystyczna dla twórczości Yayoi Kusamy.

W kolekcjach odzieży Louis Vuitton egzystencjalnych lęków i obsesji pani Kusamy pewnie się nie poczuje. Ale może przynajmniej na płaszczu za tysiące euro przemyci się jakoś radość życia kobiety wielkiego sukcesu? Z historii tej zagubionej, ekscentrycznej artystki, z jej naturalnych dyń i z kolorowych kwiatów bije jej bardzo dużo. Co jest w tym wszystkim najbardziej zaskakujące.

Daniel Wójtowicz

Museum Ludwig w Kolonii
Yayoi Kusama
do 2 sierpnia

FOT. DANIEL WÓJTOWICZ (4)

eprasa.pl 1dd8509f48

KURTYNA W GÓRĘ





Horacjusz albo rozkosze klasyki

Andrzej Seweryn, reżyser „Horacjusza", idzie za tekstem i myślą Corneille'a, nie usiłując naśladować życia i stroniąc od naturalizmu. Wykorzystuje sztuczne i wyraziste środki sceniczne, które życie demaskują. Kiedy Horacjusz i Kuriacjusz podejmują debatę ideową o powinnościach wobec ojczyzny i wobec najbliższych im osób, bohaterowie rozsiadają się w fotelach i prowadzą dyskurs, patrząc w oczy publiczności, czyli całemu światu. Kiedy przychodzi do ich orężnego starcia, na scenie zobaczymy tylko wywrócone fotele. Kiedy Horacjusz wygra, fotel postawi i zasiądzie w nim, a drugi pozostanie przewrócony. Prosta mowa foteli, meblowa symbolika znaczy przebieg akcji. Taka konwencja.

Realizm wnętrza klasycystycznego pałacu przełamany jest przez piasek sypiący się spod okien w bocznych ścianach i na horyzoncie sceny. Tego piasku stopniowo przybywa, jak w klepsydrze, która jednak nie jest odwracalna – czas płynie w niej w jedną stronę, jak w prawdziwym życiu.

Głos należy tu na równi do mężczyzn i kobiet. Mężczyźni złączeni są więzami przyjaźni, ale także rodzinnymi. Siostra jednego z nich, Sabina (Hanna Skarga) z rodu Kuriacjuszy, jest żoną Horacjusza (Modest Ruciński), a Kamila (Irmina Liszkowska) z rodu Horacjuszy, zakochana w Kuriacjuszu (Ignacy Liss), wkrótce ma zostać jego żoną. Na skutek wojny między Albą i Rzymem znajdą się po przeciwnych stronach politycznej barykady – zostają wybrańcami walczących armii i w ich imieniu mają stoczyć ze sobą bój o wszystko.

W tym starannie przemyślanym, zdyscyplinowanym spektaklu ciężar przekonania widzów o wadze historii w ludzkiej skali spoczywa na aktorach. Przy czym idzie nie o prawdę psychologiczną postaci, ale o siłę oracji i wymiar emocji. Wszyscy z tego zadania wywiązują się wspaniale, dając pokaz aktorskiego kunsztu. Pomaga im poetycki przekład wierszem Jerzego Radziwiłowicza, doskonale brzmiący na scenie. Jego „sztuczność" ani na chwilę nie zbliża się do fałszu, przylega idealnie do bohaterów, okazuje się mową konieczną do wyrażania uczuć i powinności, o których tak rzadko mówi się bez intencji przedrzeźniania. Rozmowy o obowiązkach, o sławie i śmierci, o miłości i braterstwie właśnie dzięki poetyckiemu wdziękowi spolszczonego wiersza Corneille'a cechuje swoboda i otwartość.

Tomasz Miłkowski

Pierre Corneille, „Horacjusz", przekład Jerzy Radziwiłowicz, reżyseria Andrzej Seweryn, Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana, premiera 24 kwietnia 2026

MIĘDZY OKŁADKAMI



Aro Sáinz de la Maza

Martwy punkt

tłum. Robert Kędzierski, Anna Krochmal

SQN, Kraków 2026

Druga część kryminalnego cyklu z inspektorem Malartem jest noir nie tylko gatunkowo. Nad styczniową Barceloną zalegają ciężkie chmury, odcinając od światła miasto w kraju dotkniętym kryzysem. Kolory – i ogrzewanie – to przywilej bogaczy, reszta tonie w zimnej szarości i czerni. Ludzie tracą zatrudnienie, dach nad głową. Prosperują za to lombardy Cash Converters… Przy „Kacie Gaudiego" towarzyszyło mi poczucie lekkiego przesytu – w makabrę zbrodni wplecione były wątki masońskie, na to nakładały się halucynacje bohatera zagrożonego chorobą psychiczną. Tu akcja jest bardziej oszczędna, łatwiej ulega się nastrojowi, wczuwając w mechanizmy obronne Malarta. Gdy na koniec dzieci cieszą się, że pada nie deszcz, ale deszcz ze śniegiem, to wykoślawienie katharsis sprawia ból – zamiast wyciszającej bieli namiastka.

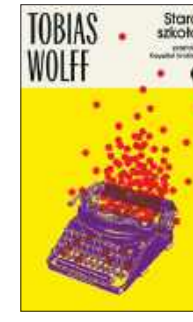
Aleksandra Pańko

Tobias Wolff

Stara szkoła

tłum. Krzysztof Umiński

Czarne, Wołowiec 2026



Portret (początkującego) artysty w wieku młodzieńczym. „Stara szkoła" Tobiasa Wolffa to misternie skonstruowana i na wskroś amerykańska opowieść o dojrzewaniu, która chwyta za serce od pierwszej strony. W końcu to też opowieść o świecie nie tak odległym, a jednak archaicznym. Dzieciaki walczące na teksty, po to by mieć chwilę na rozmowę z ulubionym pisarzem – owszem, książka może się wydawać pretensjonalna, ale czy opowieść o szczeniackich marzeniach może nie trącić manierą? Wolffa także po prostu dobrze się czyta, jednym tchem i z łezką w oku.

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KAROLINA JÓŹWIAK (2), MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 1dd8509f48

Nie masz trenera nad Baska

Emery już z trofeum, Pérez i Arteta w finale



Trener Arsenalu Mikel Arteta świętuje z Nonim Madueke (z lewej) i Declanem Rice'em po meczu Ligi Mistrzów Arsenal-Atlético Madryt na Emirates Stadium w Londynie. 5 maja 2026 r.

Wojciech Kuczok

Unai Emery po raz piąty wygrał Ligę Europy jako trener! Właśnie uczynił to z Aston Villą, a wcześniej z Villarrealem i trzy razy z rzędu (!) z Sevillą, w której zresztą podówczas najlepsze lata kariery przeżywał Grzegorz Krychowiak. Nasz reprezentacyjny pomocnik dwukrotnie zdobywał pod wodzą Emery'ego trofeum i dopracował się jako pierwszy Polak w historii opaski kapitańskiej w drużynie Primera División.

Emery stworzył w Birmingham całkiem poważną paczkę, w której brylują błyskotliwi napastnicy Morgan Rogers i Ollie Watkins, ostoją obrony jest Ezri Konsa, a o sile środka pola stanowi duet Belgów Youri Tielemans i André Onana. A jeśli, jak autor tego felietonu, jest się fanem Gabriela Garcíi Márqueza, zwłaszcza zaś jego „Stu lat samotności", nie sposób nie kochać drużyny, w której gra gość o nazwisku Buendía, nawet jeśli nie ma na imię Aureliano, lecz Emiliano, i nie pochodzi z Kolumbii, tylko z Argentyny. Bramki The Villans strzeże jego rodak, śmieszek świntuszek Emiliano Martínez, mistrz świata z Kataru, człowiek, który po najlepszym finale mundialu wszech czasów obnażył przed światem „wzwód Złotej Rękawicy".

W środowy wieczór rywale z Freiburga w finale Ligi Europy zostali odarci ze złudzeń już przed przerwą za sprawą cudownego woleja Youriego Tielemansa i jeszcze piękniejszego strzału w okienko rzeczonego Buendíi. Egzekucja dopełniła się przed upływem godziny gry, gdy Morgan Rogers wpakował piłkę z kilku metrów przy słupku. Nasz rodak Matty Cash nie ma w drużynie równowartościowego zmiennika na swojej pozycji, dlatego jest pewniakiem w składzie, ale po sezonie to może się zmienić, bo wiosną nasz reprezentacyjny obrońca zgubił formę. Finał za jego sprawą mógł się

FOT. IMAGO/DAVID KLEIN/EAST NEWS

eprasa.pl 1dd8509f48

potoczyć zgoła inaczej, ponieważ już w 21. minucie Polak zaatakował wyprostowaną nogą rywala i sędziowie wykazali się olbrzymią pobłażliwością albo chwilowym rozkojarzeniem, bo żółta kartka spokojnie mogła być poddana weryfikacji VAR i zmieniona na czerwoną.

Wśród wiernych fanów drużyny z Birmingham, obecnych na wszystkich najważniejszych meczach, jest książę William. Upatrzył sobie tę ekipę przed laty, kiedy The Villans byli uosobieniem przeciętności, bo uznał, że kibicowanie piłkarskim potęgom jest nudne. Innymi słowy – w czasach, gdy wszyscy jego szkolni koledzy kibicowali Chelsea lub Manchesterowi United, ówczesnym potentatom, książę zapragnął się odróżnić od pospólstwa i dokonał wyboru hipsterskiego. Tyle że w ostatnich latach gracze Aston Villa doszlusowali do angielskiej czołówki i stali się jedną z europejskich potęg (są rekordzistami pod względem liczby zwycięstw w europejskich pucharach w ciągu ostatnich trzech lat – pod wodzą Emery'ego wygrywali w Europie 27-krotnie!). Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że jedną z nielicznych ekip, którym udało się ich pokonać w pucharach, była warszawska Legia – we wrześniu 2023 r. rozegrała jeden ze swoich najlepszych meczów w historii i zasłużenie wygrała 3:2.

Tej wiosny Ikurriña – flaga Kraju Basków – powiewa nad każdym z trzech europejskich finałów. Już w środę w Lipsku o zwycięstwo w Lidze Konferencji zmierzą się londyński Crystal Palace z madryckim Rayo Vallecano, który prowadzi Bask ñigo Pérez. O specyfice klubu z robotniczego dystryktu Madrytu i ultralewicowych przekonaniach jego fanów pisałem już jesienią, przy okazji meczu z Lechem Poznań, wygranym przez Rayo (w drodze do finału Hiszpanie ograli także Jagiellonię w Białymstoku). Na sektorze fanów madryckich Bukaneros zawsze widać flagę „working class", a kibice, zamiast lżyć przeciwników, skandują hasła antyfaszystowskie i równościowe. W świecie futbolu zawłaszczonym przez dziarskich chłopców o nacjonalistycznych poglądach, w świecie prawicowego fundamentalizmu, fani Rayo są osamotnionymi dziwadłami jak komiksowa wioska Galów z „Asteriksa" – tym łatwiej z nimi sympatyzować.

Ciekawą postacią jest szkoleniowiec Rayo Pérez, Bask z Nawarry, urodzony w Pampelunie. To trener bardzo młody, ma 38 lat, karierę sportową zakończył przedwcześnie z powodu przewlekłych kontuzji. Rayo to jego pierwsze miejsce pracy w nowym zawodzie. Niezwykłe jak na człowieka futbolu są jednak jego zamiłowania literackie – nie znam drugiego coacha piłkarskiego, który na konferencjach prasowych cytuje poezję (jest wielbicielem Antonia Machada), a zapytany, co ostatnio czytał, podaje tytuły esejów południowokoreańskiego filozofa i krytyka neoliberalizmu Byung-Chul Hana. Rayo Vallecano wyróżnia się zatem zapleczem kulturowym i społecznym – to klub lewicowy z trenerem intelektualistą – jakże im nie kibicować?

W sobotę najważniejszy z finałów rozstrzygną między sobą obrońcy tytułu, wspaniała ekipa Paris Saint-Germain, którą prowadzi Luis Enrique, i londyński Arsenal, świeżo opromieniony odzyskanym po 22 latach mistrzostwem Anglii. Podopieczni baskijskiego szkoleniowca Mikela Artety zdobyli tytuł w zeszły wtorek, siedząc przy popcornie przed ekranami i przyglądając się, jak Manchester City gubi punkty w Bournemouth.

W finale mimo wszystko trudno wskazać faworytów – co prawda PSG ma za sobą kosmiczny dwumecz z Bayernem i gra najpiękniej na świecie, ale wiemy przecież, że futbol jest okrutny – puchary zdobywa się nie za walory artystyczne, lecz za skuteczność i spryt. Paryżanie mają w składzie artystów ze zdobywcą Złotej Piłki Ousmane'em Dembélé i połową reprezentacyjnych składów Francji i Portugalii na czele, ale dzisiejszy Arsenal to także nie ułomki. Jeśli ktoś wygrał Premier League, może wygrać wszystko. Paryżanie są zmuszani do wysiłku właściwie tylko w meczach pucharowych, na własnym podwórku bawią się na luzie – w ostatnich 13 latach zasilani katarskimi petrodolarami tylko dwukrotnie pozwolili sobie odebrać tytuł mistrzów Francji.

Arsenal czaił się na tytuł od kilku sezonów, grając w najbogatszej i najsilniejszej lidze świata i co tydzień mierząc się z ekipami, których lekceważyć nie wolno. Trzon zespołu stanowi żelazny blok obronny z bodaj najlepszym obecnie stoperem świata Williamem Salibą, którego wspiera filar reprezentacji Brazylii Gabriel. W środku pomocy rządzi Declan Rice, mistrz stałych fragmentów gry, playmakerem ekipy jest norweski kapitan Martin Ødegaard, a po skrzydle zasuwa niezmordowany Bukayo Saka.

Tej wiosny ikurriña – flaga Kraju Basków – powiewa nad każdym z trzech europejskich finałów.

Aby oddać sprawiedliwość talentom tych ekip, należałoby właściwie wymienić obie jedenastki w komplecie. Na tym poziomie kluby mają w kadrze same gwiazdy światowej piłki, także w rezerwach. Nie spodziewam się finału tak jednostronnego, jak to miało miejsce przed rokiem, gdy Paryżanie zdemolowali Inter 4:0.

Renoma baskijskich szkoleniowców nie jest w futbolu niczym nowym, ale ich szansa na potrójną europejską koronę to wydarzenie bez precedensu. A mamy jeszcze Xabiego Alonsa, który co prawda sparzył się w Realu Madryt, ale ten gwiazdorski bajzel bywał toksyczny już dla wielu wybitnych fachowców. Wcześniej Alonso wygrał we wspaniałym stylu mistrzostwo Niemiec dla Leverkusen, a w przyszłym sezonie będzie się starał odbudować potęgę Chelsea Londyn. Z kolei Andoni Iraola doprowadził Bournemouth, największą sensację tego sezonu w Premier League, do drzwi Ligi Mistrzów (czy przez nie przeszli, miało się okazać w miniony weekend). Nie masz zatem w Europie trenera nad Baska! ■

eprasa.pl 1dd8509f48



Misja Apollo 17, 1972 r.

NA PODBÓJ ÓSMEGO KONTYNENTU

Dlaczego pragniemy ponownie odwiedzić Księżyc

Rebecca Boyle

Odlatując z Księżyca w 1969 r., Neil Armstrong i Buzz Aldrin pozostawili na nogach lądownika Eagle tabliczkę upamiętniającą. Zawierała ona imiona i nazwiska oraz podpisy członków załogi Apolla 11, a także ówczesnego prezydenta Richarda Nixona. Mieściła też prosty rzut dwóch półkul Ziemi, pokazujący wszystkie lądy zgodnie z ułożeniem płyt tektonicznych z 1969 r. Wygrawerowano też zaokrąglonym fontem z lat 60. słowa: „Tu ludzie z planety Ziemia / Po raz pierwszy postawili stopę na Księżycu / W lipcu roku pańskiego 1969 / Przybyliśmy w imię pokoju dla całej ludzkości".

Lądowanie na Księżycu nastąpiło podczas (a także z powodu) zimnej wojny. Zatem w pewnym sensie to imponujące, że znalazł się tam zapis „dla całej ludzkości" (niestety płciowo dyskryminujący). Urzędnicy NASA nie musieli decydować się na takie hasło. Mogli zamiast tego umieścić srebrno-czarny grawer amerykańskiej flagi. Ale powołali się na cały świat, ponieważ nawet w uniesieniu kosmicznego wyścigu uznali, że jeśli Księżyc należy do kogokolwiek, to przynależy na równi do każdego człowieka na Ziemi.

Być może nigdy nie mielibyśmy możliwości wpatrywania się w wierzchołki i doliny Księżyca w takich detalach, gdyby rzemieślnicy z Mezopotamii nie wpadli na to, jak wymieszać piasek, sodę i wapno, by powstało szkło. Wyliczenia trajektorii lotu Apolla 11 wykonane przez Katherine Johnson, zwaną „komputerem" NASA, opierały się na matematyce Greków i Babilończyków, którzy nauczyli się liczb dzięki mierzeniu czasu. Projekt Apollo można by uznać za efekt amerykańskiego wysiłku (poniesionego z pomocą kilku niemieckich ekspatów), ale osiągnięcie to należało do całego świata.

Jednak na początku XXI w. Księżyc przez wielu postrzegany jest jako miejsce, na którego powierzchni można budować, z którego można coś wydobywać, by się wzbogacić, lub z powodu którego można umrzeć, próbując się dorobić.

Obecnie część współczesnego środowiska naukowego twierdzi, że powinniśmy przenieść pewną część brudnej produkcji z naszej kruchej planety na jej jałowego towarzysza. Ludzie zaczynają zdawać sobie sprawę, że Ziemia rzeczywiście jest wyjątkowa, i nie dostaniemy drugiej szansy. Coraz więcej osób (nawet jeśli nie tych, które są u władzy) zaczyna głośniej domagać się ochrony Ziemi i jej zasobów. Jednak – jak twierdzą – Księżyc nie jest tak cenny. (...)

Ludzkość dotknęła Księżyca – Amerykanie tego dokonali – ale w XXI w. to nie wystarcza Chinom ani Indiom, a nawet Stanom Zjednoczonym. Przywódcy tych państw chcą, by to właśnie ich marki butów zostawiły ślad na powierzchni Księżyca, a ich własne imiona i nazwiska z XXI stulecia wygrawerowano na tabliczkach na zawsze wetkniętych w księżycowy pył. Musimy się zastanowić, z jakich naprawdę powodów pragniemy ponownie odwiedzić Księżyc i co zrobimy, gdy już na nim wylądujemy. Czy wrócimy tam, bo wciąż jest to trudne do wykonania? Bo mamy coś do udowodnienia, chcemy zaimponować jakiemuś bliżej niesprecyzowanemu wrogiemu krajowi? Ponieważ chcemy pozyskać skały w imię nauki? Bo chcielibyśmy zarobić? A może z ważniejszego, bardziej niewymownego powodu?

Od „Snu" Keplera, przez marzenia von Brauna, po program Artemis – nowe misje NASA, dzięki którym

FOT. NASA

eprasa.pl 1dd8509f48

Amerykanie wrócą na Księżyc w latach 20. XXI w. – nasz kosmiczny towarzysz nie może się pozbyć zbudowanego wokół niego mitu. Księżyc zawsze pełnił wyjątkową, duchową rolę, nawet kiedy był narzędziem władzy. (…) Obecnie loty w kosmos zapewniają pewnego rodzaju transcendencję i stanowią niejako formę świeckiej religii we współczesnej Ameryce. Nowoczesna eksploracja kosmosu wiąże się – czasami wprost, w zależności od tego, kto mówi – z ideą nieśmiertelności, metodą opuszczenia Ziemi, która uwieczni światło ludzkiej świadomości nawet po tym, jak nasza planeta stanie się niezdatna do życia. Według niektórych kosmicznych turystów i orędowników podróży w kosmos właśnie toczy się gra o przetrwanie gatunków. Innymi słowy, kosmos może być naszym wybawieniem. (…)

Na początku lat 20. XXI w. prywatne przedsiębiorstwa de facto są arbitrami przestrzeni kosmicznej otaczającej Ziemię. Firma przemysłu kosmicznego SpaceX kontroluje prawie jedną czwartą wszystkich lotów w kosmos i do 2022 r. wyniosła na niską orbitę okołoziemską 3,4 tys. miniaturowych satelitów nadających internet. Celem prywatnych spółek jest wystrzelenie również satelitów i oprzyrządowania naukowego na Księżyc w regularnych odstępach do połowy lat 20. XXI w., ale istniejące międzynarodowe rozporządzenia dotyczące Księżyca są niejasne.

Niecałe dwa lata przed tym, jak Apollo 11 poderwał się z Ziemi, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich podpisały traktat o przestrzeni kosmicznej, zgodnie z którym żadne państwo nie może zająć terytorium na ciele niebieskim, wykorzystanie przestrzeni kosmicznej powinno służyć dobru wszystkich państw, a eksplorację kosmosu należy prowadzić pokojowo. Niemniej traktat ten napisany jest językiem, który prywatne przedsiębiorstwa – oraz władze amerykańskie – mimo wszystko uważają za środek do ochrony swoich terytoriów. Klauzula wzywa sygnatariuszy (113 podmiotów i 23 sygnatariuszy, stan na marzec 2023 r.) do unikania działań szkodzących eksperymentom naukowym lub bazom na Księżycu należącym do innych państw. Oznacza to respektowanie zasady, że, przykładowo, nikt nie może lądować w czyjejś bazie ani nawet wystarczająco blisko, by istniejący sprzęt nie został zniszczony.

Jak bowiem przekonali się Alan Bean i Pete Conrad podczas misji Apollo 12, lądowanie na Księżycu i start z jego powierzchni wywołują potężną burzę piaskową, a szybko rozwiewający się pył księżycowy jest w stanie porysować statek kosmiczny – lub obiekt mieszkalny – niczym metalowy druciak. Zatem klauzule o braku ingerencji w traktacie o przestrzeni kosmicznej mogły zasadniczo oznaczać, że ten, kto pierwszy wyląduje gdziekolwiek na Srebrnym Globie, ma do niego prawo, być może na zawsze. Będzie to problem w przyszłości, ponieważ różne kraje i prywatne firmy interesują się tymi samymi obszarami.

W takiej sytuacji każdy, kto umieści sprzęt na tych obszarach, zawsze będzie miał do niego dostęp i nikt inny nie będzie mógł go tknąć – jak podają niektóre interpretacje traktatu o przestrzeni kosmicznej. Wyobraźcie sobie, że ktoś wznosi teleskop słoneczny na jednym z wiecznie osłonecznionych cypli. „Jego praca wymagałaby braku zakłóceń, dlatego Peak nie mógłby być odwiedzany przez innych, co skutecznie ustaliłoby roszczenia do tego miejsca”, zauważa w artykule naukowym z 2016 r. Martin Elvis, astronom z Harvard-Smithsonian Center of Astrophysics.

Amerykańska agencja kosmiczna także jasno wyraża swoje zamiary na XXI w. i tym razem nie zamierza przysłużyć się całej ludzkości. W 2020 r. NASA ogłosiła własny system umów dwustronnych – niektóre spośród nich uwydatniają postanowienia traktatu o przestrzeni kosmicznej, część natomiast jest nowa. Umowy agencji

W XXI w. Księżyc postrzegany jest jako miejsce, na którego powierzchni można budować, z którego można coś wydobywać, by się wzbogacić.

Wiele różnych państw i prywatnych korporacji w nadchodzących latach planuje misje kosmiczne, które skupią się na tych samych terenach, często są to bieguny, szczególnie Basen Biegun Południowy – Aitken. Nieustannie zacienione kratery księżycowe, miejsca, gdzie inklinacja orbity jest tak skrajna, a góry tak wysokie, że Słońce nigdy nie dociera na ich dno, będą kolejnym priorytetowym celem. Tak samo jak Peaks of Eternal Light (szczyty wiecznego światła), kilka „promontorów” Thomasa Harriota, na które zawsze świeci Słońce. W stale zacienionych kraterach lód wodny może pozostać uwięziony w pyle, gdzie teoretycznie można by zainstalować wydobywające go maszyny i użyć go jako paliwa rakietowego lub do innych celów. Promienie słoneczne padające na Peaks of Eternal Light mogłyby zostać pochłonięte przez panele słoneczne i wykorzystane do zasilania łazików i prawie każdego innego sprzętu.

będą wymagały pokojowego wykorzystania przestrzeni kosmicznej, ochrony miejsc dziedzictwa, takich jak lądowiska Apolla oraz ostatnie miejsca spoczynku różnych łazików, oraz uzgodnienia takich kwestii, jak kosmiczne śmieci i akcje ratunkowe w kosmosie. Porozumienie zawiera jednak dwie kwestie, które powinien odnotować każdy, komu zależy na Księżycu. Jedna z nich dotyczy tego, że systemy kosmiczne powinny być „interoperacyjne”, co oznacza, że bazy mogłyby używać uniwersalnych systemów dokowania lub innych technologii nadających się do współdzielenia. Może to faworyzować amerykańskie przedsiębiorstwa, przywykłe do tworzenia technologii nadającej się do udostępniania amerykańskim statkom kosmicznym. Zgodnie z drugą klauzulą traktat o przestrzeni kosmicznej pozwala na „wydobywanie i używanie zasobów kosmicznych”. Mówiąc wprost: górnictwo.

eprasa.pl 1dd8509f48

Księżyc, nasz srebrny brat i cichy, odwieczny towarzysz, pod koniec lat 20. XXI w. może zostać placówką górniczą, tak jak chilijska Pustynia Atakama lub pola naftowe w Iraku. Prywatne firmy wykonały pierwsze kroki w tym kierunku pod koniec 2022 r., wraz ze startem finansowanego ze środków prywatnych japońskiego lądownika transportującego łazik ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich (choć misja się nie powiodła i zakończyła katastrofą podczas lądowania). (…)

Część najbardziej entuzjastycznych orędowników księżycowej eksploracji ma nadzieję na szybki powrót na ziemskiego satelitę, jeszcze za ich życia, by stworzyć nową gospodarkę, opartą na Księżycu. Miliarderzy, tacy jak Jeff Bezos z Amazona, planują misje, a agencje rządowe, takie jak Europejska Agencja Kosmiczna, liczą nawet na całą księżycową wioskę zamieszkaną przez astronautów, naukowczynie, naukowców i przedsiębiorców. (…)

„Ekonomiczne korzyści z misji Apollo były ogromne. Wytyczyły zupełnie nową ścieżkę miniaturyzacji elektroniki. Nasze telefony komórkowe istnieją dzięki Apollo", powiedział Clive Neal, księżycowy geochemik z Uniwersytetu Notre Dame i orędownik eksploracji Księżyca. Jednak rządowe inwestycje na tak dużą skalę raczej się już nie powtórzą, ponadto wciąż mowa o przeważnie kapitalistycznym społeczeństwie kierującym się korzyścią. „Nowe komercyjne zaangażowanie jest tym, co sprawi, że eksploatacja Księżyca będzie zrównoważona", dodał Neal.

Jeden z największych zwolenników wydobywania księżycowych zasobów, Paul Spudis, twierdził, że surowce naszego srebrzystego sąsiada pozwolą nam zostać cywilizacją prawdziwych kosmicznych nomadów. (…)

Księżycowy regolit składa się m.in. z tlenu, helu-3, krzemu, aluminium i żelaza, co pozwala na wyprodukowanie paliwa, materiałów budowlanych i paneli słonecznych. Jak często powtarza to Spudis, zysk na Księżycu niekoniecznie równa się pieniądzom w banku. Korzyść może oznaczać możliwość pozyskania czegoś w kosmosie, np. paliwa rakietowego, które byłoby o wiele mniej kosztowne od dostarczania wszystkiego, czego potrzeba, z Ziemi.

Do swojej śmierci w 2018 r. Spudis żarliwie nawoływał do powrotu na Księżyc także z powodów naukowych. Jest to naturalne laboratorium planetologii oddalone tylko o trzydniowy lot. Dowodził, że powinniśmy je wykorzystać do badania Słońca, Księżyca, Ziemi i nas samych.

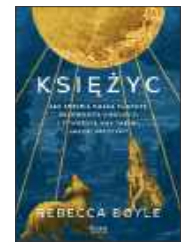
Zdecydowana większość osób badających Srebrny Glob oraz tych, które troszczą się o niego i jego przyszłość, należy do środowiska naukowego, tak jak Spudis. Wielu ludzi liczy, że Księżyc może stać się czymś w rodzaju naukowego rezerwatu, który będzie można odwiedzać w ekstremalnych, surowych warunkach i gdzie będzie można prowadzić badania dla dobra i korzyści wszystkich. W tym scenariuszu ziemski satelita byłby czymś w rodzaju Antarktydy. Byłby niczym ósmy kontynent oderwany od Ziemi, oddzielony od siedmiu pozostałych, które płyty tektoniczne Wegenera dają nam obecnie.

Pod koniec lat 20. Księżyc może zostać placówką górniczą, tak jak chilijska Pustynia Atakama lub pola naftowe w Iraku.

Chiny już teraz skupiają się na odległej stronie Księżyca, przygotowując sprzęt, który będzie potrzebny, by wysyłać tam tajkonautów. Obecnie Chińska Narodowa Agencja Kosmiczna skupia się na badaniach, a jej wypowiedzi podszyte są fałszywą skromnością, jednak wielu amerykańskich obserwatorów sądzi, że ambicją Chin są eksploatacja i ostateczne osadnictwo na Księżycu. W 2018 r. kraj ten przyśpieszył prace nad rakietą Chang Zheng 9 (Długi Marsz 9), o rozmiarze podobnym do Saturna V startującego w misjach Apollo. Chińscy urzędnicy powiedzieli, że rakieta ta zasili pierwszą misję na Księżyc w latach 30. XXI w. W styczniu 2019 r. chińska sonda kosmiczna Chang'e 4 (bogini Księżyca w Chinach) i łazik Yutu-2 (Jadeitowy Królik) wylądowały w Basenie Biegun Południowy – Aitken, realizując pierwszą w historii misję, w ramach której wylądowano na odległej stronie Księżyca. Było to niebosiężne osiągnięcie i zarazem poważny krok w długofalowych planach księżycowych Chin. (…)

Władze wielu innych krajów także spoglądają na oddaloną stronę Księżyca.

W 2019 r. Claudio Maccone, naukowiec z Narodowego Instytutu Astrofizyki we Włoszech, wezwał do stworzenia strefy wolnej od transmisji radiowej na odległej stronie Księżyca. Sam ziemski satelita osłoniłby całą półkulę przed jakimikolwiek ziemskimi zakłóceniami, umożliwiając działanie największego radioteleskopu w Układzie Słonecznym, nowego obserwatorium, dzięki któremu można zajrzeć w najciemniejsze jądro kosmosu. W kwietniu 2020 r. NASA sfinansowała badania nad zbudowaniem właśnie takiego teleskopu. Radioteleskop LCRT (Lunar Crater Radio Telescope) ma zostać umieszczony w kraterze o średnicy prawie 5 km na odległej stronie Księżyca i będzie mógł przyglądać się wszechświatowi na falach o bardzo małej częstotliwości, zwłaszcza takich, które nie mogą przebić się przez atmosferę ziemską. W 2023 r. agencja kosmiczna ufundowała jeszcze większy teleskop, dzięki któremu będzie można używać gleby z samego Księżyca do budowy ogniw słonecznych, części do anteny i linii wysokiego napięcia na miejscu. Teleskop FarView, bo o nim mowa, będzie mógł zerknąć w przeszłość, do tzw. kosmicznych ciemnych wieków, kiedy zapłonęły pierwsze gwiazdy – do epoki, która do tej pory była niewidzialna, nawet dla potężnego Kosmicznego Teleskopu Jamesa Webba.



Fragmenty książki Rebekki Boyle *Księżyc*, przeł. Monika Skowron, Feeria, Łódź 2025

eprasa.pl 1dd8509f48

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Aj, aj, oberwało się za AI nobliwej powieściopisarce. I może to dobrze, bo odium tym samym przeszło na nią z bezbronnej w gruncie rzeczy poetki, która jesienią przyznała się do współpracy ze sztuczną inteligencją przy pisaniu tomiku wierszy. Poetka nie czyni tajemnicy ze swojej niezamożności, korzysta więc zapewne z darmowego lub najtańszego oprogramowania, które wiersza za nią nie napisze, a jako że poezja obywa się bez przypisów, to i bez szczegółowego researchu da radę.

Poeta może szukać w podstawowych modelach językowych inspiracji, podobnie jak to czyni, przysłuchując się dziatwie – wyłapuje malownicze przejęzyczenia, poszerza pole wyobraźni językowej o lapsusy istot, których język dopiero się kształtuje, które mają ograniczoną świadomość znaczeń i stąd przytrafiają im się niechcący genialne oksymorony, metafory odległe lub zaskakujące porównania. Rozumiem, że „Kubek na tsunami" Justyny Bargielskiej powstał zatem z użyciem AI jako środka dopingującego wyobraźnię, legalnie dostępnego i nieszkodliwego dla organizmu, w przeciwieństwie do alkoholu czy narkotyków, za których używanie gawiedź wszakże artystów języka nieszczególnie potępia.

Poetom jest do twarzy z uzależnieniami, ludzie kochają kaskaderów literatury, co to ich życie było pieśnią śpiewaną na nucie najwyższej i szybko się wypaliło. Wydawcy najbardziej lubią poetów nieżywych, zwłaszcza takich, którym się zmarło co najmniej 70 lat temu, bo choć niewygasła żagiew talentu oparła się czasowi, wygasły prawa autorskie i płacić już nie trzeba. Lud toleruje poetów łacniej, jeśli przyszło im za swoje literackie spełnienia zapłacić cenę najwyższą, wśród czytelników literatury także nie brakuje filistrów, paradoksalnie to oni najbardziej cenią *poètes maudits*, zapijających się zawczasu na śmierć lub dożywających starości w zakładach psychiatrycznych. Ach, cóż by to bowiem był za świat, gdyby poetą można było być bezkarnie, na zdrowe społeczeństwo to mogłoby wywrzeć zgubny wpływ – gdyby poezję można było uprawiać jak zboże i mieć z tego hajs, któż by nie chciał być poetą. Pisać po kilka wersów dziennie, nie klepiąc biedy, nie cierpiąc na depresję ani marskość wątroby. Kara za słodkie nieróbstwo musi być nieuchronna, poeta może więc, a nawet powinien pisać pod wpływem używek, tworzyć poematy w upojeniu, a potem się zatracać ku przestrodze lekkoduchom. Poecie wybacza się peta między zębami, flaszkę na podorędziu, a nawet saszetkę z ziołem niemedycznym, ale bratania się z AI mu się nie daruje. Sztuczna inteligencja ma być domeną inżynierów, prawników, informatyków – ale poeta z ejajem to oszust, jak mu nie starcza wyobraźni, niech się zabierze do łopaty, nie chcemy poetów flirtujących z syntezatorami mowy wiązanej, co to w ogóle ma być, do cholery, powiadają rozczarowani fani literatury, najczęściej „czytający nieosobiście".

Owóż, Olga Tokarczuk wyznała, że sobie sprawiła najdroższy model językowy i jest zafascynowana jego umiejętnościami. Pozazdrościć? No właśnie nie wiem, choć noblistka deklaruje, że używa go wyłącznie do gromadzenia danych, do przyśpieszenia i usprawnienia kwerendy. Niegdyś, aby napisać powieść historyczną, a w takich nasza noblistka w ostatnich latach się lubuje, trzeba było prześlęczeć miesiące, jeżeli nie lata w bibliotekach, dzisiaj laptop wypluwa nam niezbędne informacje i cytaty natychmiast. Nie ma w tym wszak nic fascynującego – wszyscy używamy sztucznej inteligencji, aby mądrzej, lepiej i szybciej pisać – niegdyś rąbałem w klawisze starego Łucznika, a obok maszyny piętrzyła się sterta słowników i encyklopedii, w których sprawdzałem, czym aby nie popełnił jakiegoś błędu ortograficznego tudzież merytorycznego. Teraz w Wordzie jest korektor, który wężykuje błędy. Ale pytanie: „Kochana, jak byśmy to pięknie rozwinęli?" nie jest jednak prośbą o sprawdzenie danych lub skorygowanie faktów, to także nie jest wyrażenie chęci „poszerzenia horyzontów i pogłębienia myślenia kreatywnego".

Jak by to pięknie rozwinąć?

Olga Tokarczuk popełniła sporą nieostrożność w spontanicznym przypływie szczerości i jakiekolwiek tłumaczenia pisarki niewiele tu zmienią. Może się zaprzysięgać po wielekroć, że pisze sama, ale ufność czytelników została podważona, ich pewność zachwiana, niesmak pozostał. Bo jeśli autor się wspomaga, a nawet wyręcza w akcie twórczym, podsuwając myśl do „pięknego rozwinięcia", to mamy do czynienia z ghostwritingiem, a to już jest proceder niezbyt chlubny. Jakoś te opasłe woluminy, przy których ze wstydem przysypiałem, wielkie tomiszcza, na które nie miałem śmiałości narzekać z szacunku dla cierpliwości i pracowitości autorki, nieco straciły na wadze.

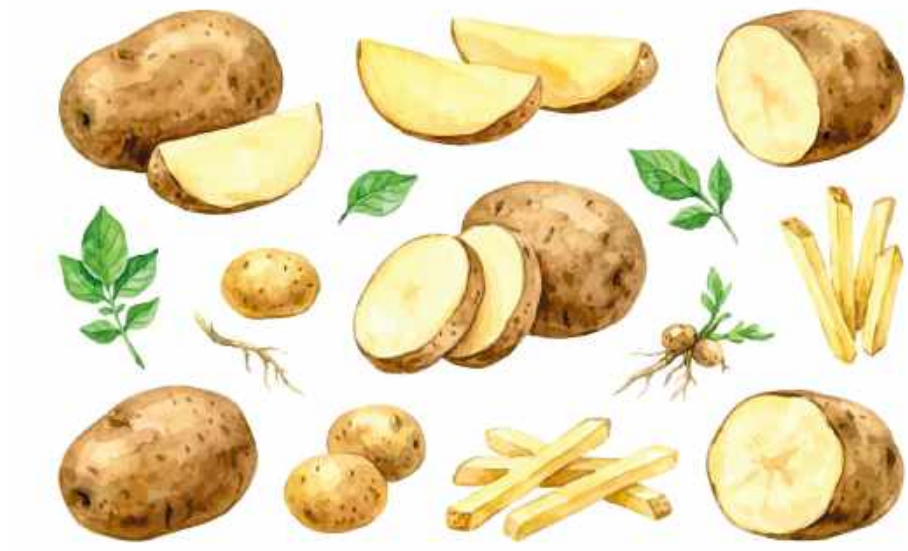
Skądinąd skoro noblistka wyznała, że z AI korzysta, spiskowa teoria może się teraz rozpostrzeć na wszystkich pisarzy i oto doczekamy punktu zwrotnego w dziejach literatury: na spotkaniach autorskich najczęściej zadawanym pytaniem nie będzie już „Ile jest w tej książce prawdy, a ile zmyślenia?", lecz „Ile z tej książki napisała AI?". ■

eprasa.pl 1dd8509f48

KRÓL POD ZIEMIĄ

Gotowany, pieczony, smażony – **ziemniak** potrafi być wszystkim

Paweł Ochman



Niezaprzeczalnie jest królem polskiego stołu. Obecny od kilku wieków w naszych kuchniach. Smaczny, odżywczy i z ogromnym potencjałem kulinarnym. Przebył daleką drogę, by dziś żywić niemal cały świat. Ewoluował, przemieniając się z rośliny ozdobnej i leczniczej w podstawowy produkt spożywczy. (…)

Dziś poznaję ziemniaka w jego regionalnych odsłonach. Podróżując po całej Polsce i biorąc udział w konkursach kulinarnych, spotykam go w każdym zakątku kraju. Panie i panowie z kół gospodyń wiejskich przywracają mu należne miejsce na naszych stołach. Odkrywają stare przepisy i prezentują na festiwalach smaku przywrócone światu ziemniaczane potrawy. Ich nazwy są niebanalne, niecodzienne, nieraz wręcz gwarowe. Niejednokrotnie wywołują uśmiech na twarzy (jak chociażby mordonie, gumiklejzy czy chlastoki).

Co sprawia, że ziemniaki są tak wspaniałe? Na pewno ich struktura i skład, i to, że chłoną smaki innych składników. Poddają się wszelkim procesom obróbki: mogą być smażone, gotowane, pieczone, parowane. Przyjmują kształt kluski, kotleta, ciastek, babki, placka. Smakują na słodko, słono, gorzko i kwaśno. Mogą być podawane na śniadanie, obiad, podwieczorek i kolację. Są uniwersalne w swojej prostocie i wyjątkowości. (…)

•

Jak każdy produkt spożywczy, tak i ziemniak ma swoją historię. Przez lata powstało wiele legend na temat tej bulwy. Dotyczyły one najczęściej pochodzenia oraz czasu pojawienia się ziemniaka na stołach krajów europejskich, w tym Polski. (…)

Do początków XVI w. nikt oprócz rdzennych mieszkańców Ameryki Południowej – i to wyłącznie tych zamieszkujących górskie tereny w Andach – nie słyszał o ziemniakach. Dlatego też nie ma nawet najmniejszej wzmianki o kartoflach w Biblii. Ojczyzną tej bulwy są tereny dzisiejszego Peru, Chile, Boliwii i Ekwadoru. To Krzysztof Kolumb przywiózł pierwsze ziemniaki z Peru, prawdopodobnie w 1567 r. Nie on jeden jednak. Francis Drake, angielski żeglarz, również dostarczył te bulwy na Stary Kontynent, tyle że z Chile w 1585 r. Zanim trafiły do Rzeczpospolitej Obojga Narodów, musiało minąć jeszcze ładnych parę lat.

W Europie najpierw były rośliną ozdobną oraz wykorzystywaną w lecznictwie przez zakonników. Dopiero na początku XVII w. na terenach Wysp Brytyjskich podjęto próby stosowania kartofli w kuchni. Jak opisuje Mieczysław Birecki w książce „Ziemniaki", opublikowanej w 1967 r., kolejnym obszarem, który uległ nowej kulinarnej modzie, była monarchia Habsburgów już na początku XVIII w. Za to w niektórych krajach nazywano je „diabelskimi jabłkami" i podejrzewano, że mają właściwości trujące.

Na polskich ziemiach ziemniak pojawił się po obronie Wiednia przed Turkami, przemierzywszy daleką drogę z ogrodów wiedeńskiego dworu cesarskiego. Przywiózł go król Jan III Sobieski dla wybranki swego serca – Marii Kazimiery d'Arquien. Zasadzony, by cieszył oko w Wilanowie, musiał jeszcze poczekać na swoje kulinarne triumfy.

Za czasów Wettynów, czyli Augusta II Mocnego i Augusta III Sasa, ziemniaki sadziło się już coraz powszechniej. Rolnicy z terenów pozostających pod panowaniem tej dynastii w Saksonii do perfekcji opanowali uprawę kartofli. Odczarowaniem ziemnego jabłka w Rzeczypospolitej zajmowali się z kolei ówcześni naukowcy i właściciele ziemscy. (…) Jednak to XIX w. uznaje się za czas, kiedy ziemniaki wkroczyły na stoły w miastach i wsiach. Najwięcej kartoflanych upraw było na ziemiach zaborów pruskiego (dekrety nakazujące uprawy ziemniaków) i austro-węgierskiego. Nie było jednak tak łatwo. Mieszkańcy wsi z ostrożnością podchodzili do kartofli. Jędrzej Kitowicz w „Opisie obyczajów za panowania Augusta II", tworzonym w latach

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1dd8509f48

1840-1841, opisuje niechęć Polaków do tych bulw, a w szczególności katolickiego kleru, który nazywał uprawę niemieckich ziemniaków świętokradztwem. Dopiero kryzys ekonomiczny i głód na początku XIX w. zmusiły społeczeństwo do uznania wartości ziemniaków.

Gospodarstwa i majątki ziemskie miały ich pełne pola. Bulwa stała się dobrem narodowym i zaczęła wypierać inne warzywa, zwłaszcza w biednych zagrodach. Ziemniaki jadano od rana do wieczora pod wieloma postaciami.

Obie wojny światowe pokazały, że bez kartofli nie ma szans na przeżycie. Wykorzystywano każdy najmniejszy fragment pyry. Przedstawiony dalej przepis na wojenną babkę z Gromca jest dobitnym dowodem, że nawet obierki są produktem wartościowym z punktu widzenia kulinarnego. Dodawano je również do chleba i zup.

A jak wyglądała polska literatura o ziemniakach? Pisano dużo i na potęgę. Książki, artykuły w prasie codziennej i naukowej, kalendarze i wiele innych. Kartofel stawał się głównym bohaterem lub poświęcano mu jeden z rozdziałów. Było kulinarnie, rolniczo i przemysłowo. Prawdziwym hitem okazał się podręcznik wydany w 1823 r. we Wrocławiu, praca zbiorowa pod tytułem „Użyteczność kartofli, czyli dokładne objaśnienie o uprawie roli i sadzeniu kartofli, tudzież robienia z nich łatwym i tanim sposobem ryżu, kaszy drobnéy, makaronu, kluseczek, mąki, krochmalu, chleba, masła, sera, cukru, kawy, syropu, wina, wódki, piwa, octu oraz przyrządzania takowych do potraw rozmaitymi sposobami", czyli jak z ziemniaka zrobić niemal wszystko. (…)

Dwudziestolecie międzywojenne jest prawdziwą skarbnicą przepisów ziemniaczanych. Wydana w roku 1930 książka Elżbiety Kiewnarskiej „Potrawy z kartofli" przedstawia te bulwy w nowym świetle kulinarnym. Są przepisy na kartofle pieczone, nadziewane, gotowane, smażone, zupy, babki, kotlety, racuchy, kluski, pasztety, sałatki, słodkości i nawet porady, jak zrobić ze starych kartofli te młode. Cudowna książka, którą udało mi się zakupić w antykwariacie.

W tamtych latach ważna była również odżywcza rola kartofli, czego przykładem jest książka „Wartość pokarmowa kartofli" z 1938 r. Zofii Kołodziejskiej. Publikacje o kuchni jarskiej Romualdy Tarnawskiej, Marii Czarnowskiej, Fani Lewando, Jana Kazimierza Czarnoty, Janiny Breyerowej czy Ireny Paryskiej zawierały wspaniałe przepisy, które z czasem weszły do kanonu kuchni mieszczańskiej i ludowej. Okazały się bardzo potrzebne w tragicznych czasach II wojny światowej, kiedy ziemniak ratował całe społeczności od głodu i śmierci.

Co sprawia, że ziemniaki są tak wspaniałe? Na pewno ich struktura i skład, i to, że chłoną smaki innych składników.

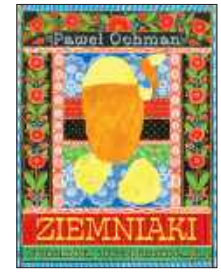
(…) Współcześnie ziemniak nadal jest popularny. Dzięki kołom gospodyń na nasze stoły powracają dawne pyszności. Ziemniak ma nawet swój dzień – 30 maja. Ma również instytut, który powstał w 1966 r. w Boninie, a obecnie funkcjonuje pod nazwą Instytut Hodowli i Aklimatyzacji Roślin – Państwowy Instytut Badawczy Oddział w Boninie. Placówka wydaje kwartalnik „Ziemniak Polski".

Kartofel przebył zatem daleką drogę, by dziś być bohaterem śniadań, obiadów, kolacji i podwieczorków. Frytki, pyzy, placki, kluski śląskie, purée czy babki były, są i pozostaną z nami i z kolejnymi pokoleniami. We wszystkich regionach Polski potrawy z ziemniaków występują w rozmaitych konfiguracjach smaku i kształtu. Liczba ich jest nieprawdopodobna i o wielu z nich niemal nikt nie słyszał. Choć jedne dania są znane w całym kraju, jak kluski śląskie, kopytka, pyzy czy placki ziemniaczane, a inne tylko w konkretnych regionach, jak choćby rejbak, prażuchy czy ciapkapusta, to są i takie, które występują tylko w jednej lub w kilku miejscowościach, np. zawijasy nasutowskie, byczki, urzecka sytocha lub mordonie.

Bywa i tak, że ta sama potrawa ma różne nazwy. Przykładem może być danie sporządzane z gotowanych ziemniaków, do którego jeszcze podczas gotowania dodaje się mąki. Nazywane jest porką (południowe Mazowsze), prażuchą (Łódzkie), prandzonkami lub pranzunkami (Śląsk Opolski) i prazokami (Świętokrzyskie). Nazwy potraw często odzwierciedlają ich smak lub wygląd i w wielu przypadkach mają pochodzenie gwarowe. (…)

Najpierw na ziemniaczane bulwy mówiono tartofle lub kartofle, choć w potocznym języku używano również określenia jabłka ziemne. Pod koniec XIX w. na co dzień można było usłyszeć nazwy regionalne i gwarowe, a najczęstsze z nich to ziemniaki, sulki, grule, pyry, sasy, pantówki, pulki, bałabany czy zimnioki. W 1893 r. ukazała się znamienita książka Erazma Majewskiego „Nazwy ludowe kartofla i ich słoworód". Autor wymienia tam m.in.: bambry, harcaki, gajdaki, knule, marmurki, modrzaki, parczochy, rozkule, pyrzaki, bulwy. Wiele nazw odnosi się do kształtu bulw (sulki, rożki), czasu ich sadzenia lub wykopywania (świętojanki, pośpiechy), barwy skórki i miąższu (modrzaki, burki), kraju lub miasta pochodzenia (amerykany, berliny) czy wielkości (funtówki).

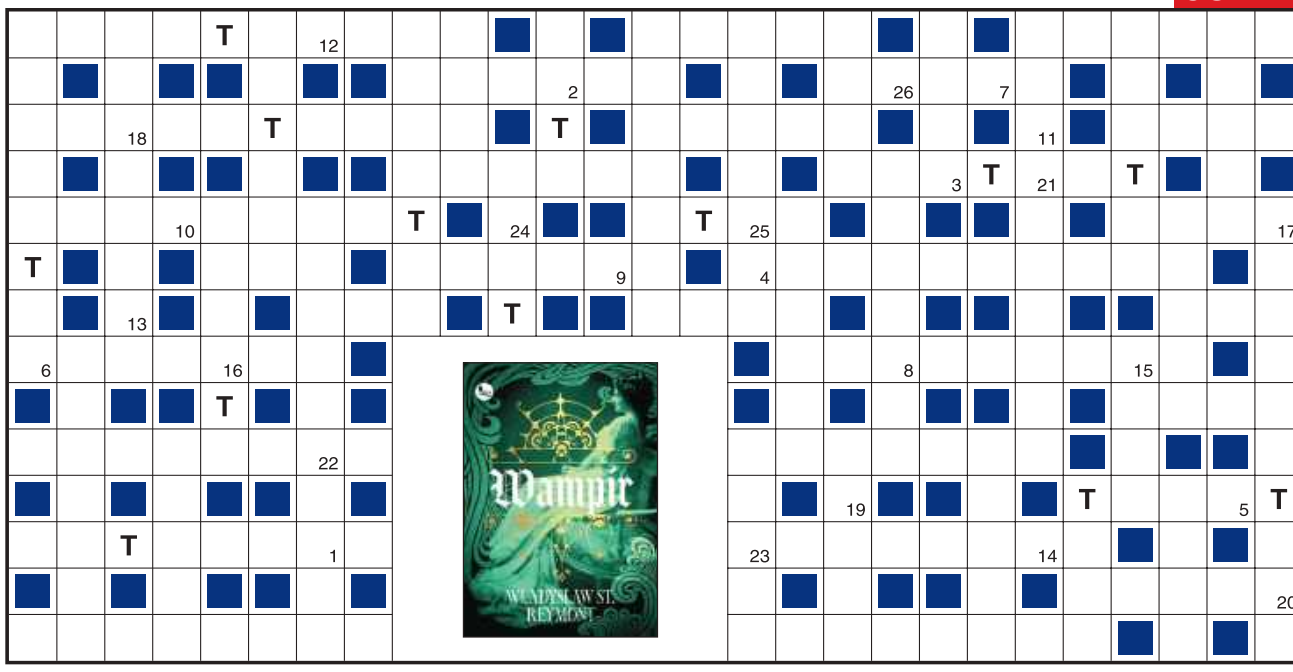
Kuchnia regionalna nie istniałaby bez ziemniaczanych potraw. Wynika to z powszechności, przystępnej ceny i ogromnych możliwości kulinarnych kartofli. Jak pisał w 1901 r. Konrad Prószyński w „Jak się żywimy, a jak żywić się i o co starać się trzeba": „Ludziom się spodobało, że tanio i ze smakiem można niemi żołądek napchać". Trafia więc ziemniak do potraw powszednich i świątecznych. Do propozycji wytrawnych i słodkich deserów.



Fragmenty książki Pawła Ochmana *Ziemniaki w roślinnej kuchni regionalnej*, Marginesy, Warszawa 2026

eprasa.pl 1dd8509f48

JOLKA



1	2	3		4		5	6	7	8	9	10		11	12	13	14	15	16		17	18	19	20	21		22	23	24	25	26

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą końcowe hasło.

- zamiennik żelatyny z wodorostów
- ze słowa laka zrób ptaka
- odkryć ją – stwierdzić oczywistość
- fioletowy kamień półszlachetny
- Maria… – ścięta królowa Francji
- rumuńskie miasto, dla Lajosa Kossutha węgierska Golgota
- na wschód od Europy
- oberżyna, psianka podłużna
- przedstawicielstwo urzędu lub firmy w terenie
- spacerowa ulica kurortowa
- na ten instrument „Syrinx” Debussy'ego
- przednia część ciała pajęczaków
- rejwach, zgiełk
- urządzana urodzinowa lub sylwestrowa
- córka bez rodzeństwa
- za zdradę dostał 30 srebrników
- jej plantację miała Karen Blixen
- zaczątek rośliny
- puszysty ogon
- na jedno… – według jednego wzorca
- tafla lodu na wodzie
- odłączył się od oddziału lub się guzdra
- kilkunastoletni las
- niskotemperaturowa metoda konserwacji żywności
- nadwodny pas terenu
- część uprzęży lub czapki przeciwsłonecznej
- izotoniczny, chłodzący lub wyskokowy
- pasza dla koni
- „A na ścierniskach pozapalały się…”
- pętle sieci, krople tłuszczu
- bardzo wystraszony trzęsie się jak ona
- imię młodego piłkarza Pietuszewskiego
- zaostrzony pień wbijany w ziemię
- do gotowania paszy dla zwierząt
- misterny, filmowy lub zajęć
- ilość towaru do sprzedaży
- treser dzikich zwierząt
- …karne – obszar pod bramką
- rytmicznie melodeklamuje
- pojazd gąsienicowy do ubijania śniegu
- hiszpański region winiarski wzdłuż Ebro
- afrykańska wyprawa myśliwska
- zamykająca się automatycznie pułapka kłusownicza
- wieprzowina na kotlety
- wada przedmiotu w postaci rysy, plamy
- ziemska lub żółwia
- węgierski nazywany jest pusztą
- podpowiedź, podsunięcie pomysłu
- używany zamiennie z terminem emirat
- chciałby ją trafić gracz w Lotto
- gościniec, szlak komunikacyjny
- pusty w czasie bezkrólewia
- Łesia… – poetka, pisarka
- …publiczny numer jeden
- w niej żywność przechowywana w chłodzie
- obszar, w granicach którego coś działa
- płacić jak za nie – bardzo drogo
- kamyki na alejki

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1275”. Do rozlosowania książki „Wampir” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 31 maja 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1272” z nr. 19: *Podróże kształcą.*
Nagrody otrzymują: Jadwiga Ciechanowicz z Dąbrowy Górniczej, Tadeusz Dolik z Nosalina, Jolanta Nowak z Bełchatowa.

eprasa.pl 1dd8509f48

Adam Daniel Rotfeld

Dziś o sprawach przyjemnych. Prof. Adam Daniel Rotfeld uhonorowany został tytułem doktora honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego. Uroczystość otworzył rektor UW, prof. Alojzy Nowak. Powitał gości, w tym trójkę byłych premierów: Hannę Suchocką, Włodzimierza Cimoszewicza i Marka Belkę, obecnego szefa MSZ Radosława Sikorskiego oraz rektorów warszawskich uczelni.

Laudację wygłosił prof. Roman Kuźniar, promotor doktoratu h.c., o naukowych osiągnięciach profesora mówiła zaś prof. Katarzyna Kołodziejczyk, dziekan Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW.

Potem głos zabrał prof. Rotfeld, racząc zgromadzonych wykładem o współczesnym świecie, w którym runął układ powojenny. Wśród wielu myśli wyróżnijmy dwie. Pierwsza: „Dla państw należących do europejskich wspólnot – Unii Europejskiej, Rady Europy, OBWE, a w szczególności NATO – sprawą priorytetową staje się wypracowanie wspólnej strategii, w której wartości będą zajmować równie ważne miejsce jak siła, czyli potencjały i interesy narodowe".

I druga: „Polską racją stanu jest to, by przekonać na nowo Polaków, że nasz interes narodowy wymaga w obliczu nowych zagrożeń przezwyciężenia wewnętrznej partyjnej polaryzacji. Wymaga takiego wzmocnienia bezpieczeństwa gospodarczego i militarnego, by Polska stała się państwem niezbędnym dla Europy i całej społeczności międzynarodowej".

Oto więc zadanie dla państw europejskich – wspólnie działać. A dla naszej dyplomacji – znaleźć takie miejsce dla Polski, by stała się ona elementem niezbędnym.

A jak to osiągnąć? Przypomnijmy, prof. Rotfeld jest autorem jednej z najważniejszych myśli dotyczących polskiej dyplomacji. Otóż mówił on, że Polska jest średnim krajem, a to oznacza, że musi mieć szczególnie dobrą dyplomację. Państwa wielkie, z racji swojej wielkości, potęgi, mogą sobie pozwolić na błędy, bo i tak inni muszą do nich się dostosować. Państwa małe mają ograniczone pole działania, więc i tak wielkiej gry nikt od nich nie oczekuje. A państwa średnie muszą nadrabiać swoje braki świetną dyplomacją. Czy taką ma Polska?

Częściowo odpowiedź na to przyniósł wykład profesora i jego wezwanie do przezwyciężenia politycznej polaryzacji. I to nie są puste słowa. Adam Daniel Rotfeld w 2001 r. został wiceministrem spraw zagranicznych i do dziś Włodzimierz Cimoszewicz mówi, że zaproszenie profesora do kierownictwa MSZ było jedną z najlepszych jego decyzji. Potem, w 2005 r., gdy premierem był Marek Belka, Rotfeld samodzielnie kierował MSZ. To był dobry czas dla polskiej dyplomacji. Weszliśmy do Unii, zostaliśmy dobrze przyjęci. A w MSZ nie dzielono pracowników na naszych i obcych. Adam Daniel Rotfeld nie tylko był wielkim znawcą stosunków międzynarodowych, ale i dobrze zarządzał ministerstwem. Nie patrząc, kto i kiedy do MSZ zapukał. Jan Truszczyński był więc wiceministrem, Witold Waszczykowski wicedyrektorem Departamentu Afryki i Bliskiego Wschodu, a Ryszard Schnepf pełnomocnikiem ministra ds. obchodów 25-lecia NSZZ Solidarność. Dziś to rzecz niewyobrażalna, ale wtedy i ta trójka, i wielu, wielu innych pracowało pod jednym dachem.

Można? Można.

Attaché



Z ręki do ręki. Władimir Putin i Xi Jinping podczas ceremonii podpisania umowy międzypaństwowej. Pekin, 20 maja 2026 r.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 1dd8509f48







Monde diplomatique

PEDRO SÁNCHEZ,
PREMIER HISZPANII

Unia Europejska powstała w wyniku trudnej lekcji: nieograniczona rywalizacja dwukrotnie doprowadziła do katastrofy. Prawo międzynarodowe, wspólne instytucje i połączona suwerenność nie były zatem idealistycznymi aspiracjami. Były one przede wszystkim narzędziami przetrwania – a później dobrobytu. (…) Dzięki wspólnym zasadom i instytucjom państwa europejskie przekształciły kontynent naznaczony kiedyś piętnem wojen w kontynent cechujący się współpracą, integracją i rozwojem. Dzisiaj kraje europejskie plasują się w czołówce światowych rankingów dobrobytu, średniej długości życia, rozwoju społecznego i demokracji. Przede wszystkim jednak zachowały pokój na kontynencie, który przez wieki był epicentrum globalnych konfliktów.

press

JACEK NIZINKIEWICZ,
PUBLICYSTA

Artykuł o depresji polityków nie był tekstem newsowym. Był apelem o zwracanie uwagi na problem depresji, również wśród polityków, i apelem do polityków o nagłaśnianie trudnego tematu. Wątek z Hołownią przykrył główny temat. To była podwójna porażka. Pokora i skrucha nie należą do typowych dziennikarskich cech. To my zadajemy pytania, oceniamy, komentujemy, analizujemy, demaskujemy itd. Dziennikarstwo jest zawodem zaufania publicznego. Ja zawiodłem. Chciałbym zapewnić, że więcej żadnego błędu nie popełnię, ale to byłoby kłamstwo.

Twój STYL

MAREK KAMIŃSKI,
PODRÓŻNIK

Najtrudniejszy był ostatni dzień, 31 grudnia. Szliśmy 14 czy 15 godzin. Pogoda się zmieniała, ciało było na absolutnej granicy wytrzymałości, zmęczenie narastało z każdą minutą. Cierpieliśmy fizycznie i mentalnie. Wydawało się, że gdy dojdziemy na biegun, po prostu padniemy. Wtedy przekonaliśmy się, jak ważna jest psychika. (…) Wspólny trud dodatkowo nas połączył. I obudził w Kayu coś fundamentalnego – gotowość do brania odpowiedzialności, doświadczenia. Gdybym dziś miał wybierać między sfinansowaniem synowi studiów na Harvardzie a wyprawą, bez wahania postawiłbym na Antarktydę. To najlepsza inwestycja, jaką mogłem zrobić jako ojciec.

PANI

KINGA PREIS,
AKTORKA

Nie każdy nadawał się do pracy z Jarockim czy kilkoma innymi reżyserami, z którymi zdarzyło mi się spotkać. Ale dziś wpadliśmy w drugą skrajność. Większość powstających obecnie produkcji zaczyna się od szkolenia, jak trzeba, a jak nie wypada się zachowywać na planie. A przecież to wynika z elementarnych zasad wychowania i szacunku dla innego człowieka… Tylko efekt jest taki, że aktorzy boją się dotknąć drugiego aktora czy aktorki bez pytania o pozwolenie, bo to mogłoby być odebrane jako przekroczenie granic. Zdaję sobie sprawę, że ta asekuracja wynika z wielu lat przekroczeń, jakie zostały poczynione bezkarnie, ale jeśli ktoś sam z siebie nie czuje, co jest dobre, a co złe, to żadne szkolenia tego nie zmienią. (…) Na szczęście jestem dość silna psychicznie. Potrafię wyraźnie postawić granicę i do tej pory nikomu nie udało się mnie zgnębić czy złamać.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, POLSKA ORKA POLITYCZNA

eprasa.pl 1dd8509f48

UWAGA, BYK!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów.
Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.



					K

* wiedeński z rodzinkami

	M					

* kolor różowoczerwony z filetem

				Ł				

* konta – przed jazdą

ROZWIĄZANIA: SERNIK, AMARANT, SIODŁANIE



Aby język giętki…

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI
O WOJNIE NA UKRAINIE

Będzie trwała i trwała, ponieważ Trump jest całkowicie pochłonięty czym innym.

PŁK KRZYSZTOF PRZEPIÓRKA
O KAROLU NAWROCKIM

Polityka nie polega na tym, żeby się bezrefleksyjnie płaszczyć przed Trumpem. Płaszczy się on i cała jego kancelaria.

RAFAŁ WOŚ O BARBARZE NOWACKIEJ

Jest prawdziwą prymuską. Umie doskonale antagonizować środowisko i zrażać do siebie nawet takich ludzi, którzy są zdecydowanie dalecy od prawicy.

JOANNA KULIG O KARIERZE

Nieustannie biorę udział w wyścigu. Nie można dać się zwariować. Nabrałam dystansu.

ANNA SENIUK O MARZENIACH

Wszystkich marzeń nie spełnimy nigdy, ale to nie jest powód do rozpaczy. Marzenia są po to, żeby marzyć.

KUBA WOJEWÓDZKI O DZIADKU

Mawiał: „Kiedy byłem młody, byłem biedny, ale po latach ciężkiej pracy już nie jestem młody".

MAŁGORZATA POTOCKA O POCZUCIU HUMORU

Nie ma mowy, by być w związku z kimś, kto nie ma poczucia humoru. Humor przełamuje lody, „rozbraja" wszelkie napięcia.

LIDIA BOGACZÓWNA O ŻYCIU

Uważam, że kształtujemy się do śmierci. Od nas zależy, ile z tego życia zrozumiemy i kim chcemy być.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Beata Igielska, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 1dd8509f48

Lato (według Jeana-Baptiste'a François Désorii)



EWA JUSZKIEWICZ

Bez tytułu (według Élisabeth Vigée Le Brun)



Twórczość Ewy Juszkiewicz (ur. w 1984 r. w Gdańsku) przyciąga uwagę międzynarodowego świata sztuki mistrzowską techniką inspirowaną dawnym malarstwem, którą artystka posługuje się do prowadzenia dialogu z historią europejskiego portretu i do refleksji nad sposobami przedstawiania kobiet. Reinterpretuje klasyczne wizerunki, dekonstruuje utrwalone kanony piękna i społeczne wyobrażenia kobiecej tożsamości. Charakterystyczne dla jej obrazów są przesłonięte twarze, zastępowane ornamentami, roślinnością czy strukturami organicznymi. 20 starannie dobranych obrazów składa się na monograficzną wystawę w madryckim muzeum, zorganizowaną w ramach programu prezentacji zbiorów Blanki i Borji Thyssen-Bornemisza.

Museo Nacional Thyssen-Bornemisza w Madrycie
26 maja – 6 września



Bez tytułu (według Josepha Wrighta)



Bez tytułu (według Josepha van Leriusa)

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1dd8509f48


Tom
Jones
COME GATHER ROUND
23 lipca
SOPOT, OPERA LEŚNA
Bilety: ticketmaster.pl / livenation.pl
OPERALEŚNA
powered by Energa
LIVE NATION

TEATR CAPITOL

ZAPRASZA



PÓŁ ŻARTEM...

tłumaczenie tekstu i reżyseria OLAF LUBASZENKO

autor PETER QUILTER

Tego lata wszystko może się zdarzyć

Warszawa: 18, 19 i 22 czerwca

Warszawa: 10 i 11 lipca

Warszawa: 8, 27 i 28 sierpnia

Mały Widz, wielka przygoda!

Dzień Dziecka w Teatrze Capitol!

sobota, 30 maja

Calineczka

Akademia pana Kleksa

niedziela, 31 maja

W 80 DNI DOOKOŁA ŚWIATA

TAM I Z POWROTEM

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

• KUP BILET TEATR CAPITOL •

www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 1dd8509f48